

414.

**SEZONOWA MIŁOŚĆ.**

GABRYELA ZAPOLSKA.

---

---

# SEZONOWA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Z przedmową


Zdzisława Dębickiego.

---

TOM II.

---

99034

WARSZAWA  
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.   
1905



268955/2

Дозволено Цензурою.

Варшава 22 Декабря 1904 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145770

W/162/03/268956

XV.

Wśród nocy rozległ się krzyk.

Jeden—drugi—potem cisza. Potem znów krzyk i walenie pięścią we drzwi, to znów przekleństwo i cisza.

Wreszcie pies wyć zaczął i zawtórowały mu inne psy, a był ich cały chór.

Tuśka i Pita równocześnie porwały się z posłania.

— Czy to do nas?—rzuciła gorączkowo Tuśka, szukając zapalek.

— Nie wiem, mamusiu—odparła Pita.

Błękitna struga księżycowego światła zalewała podłogę, wpływając przez okno. W świetle tem twarzyczka Pity wydawała się tak delikatną i śliczną, jak wizja leciuchno w przestrzeń rozwiana.

Wreszcie Tuśka znalazła zapalki i zapaliła świecę. Uderzenia ponowiły się. Tuśka odziała się pośpiesznie w niebieski flanelowy szlafrok i zarzucała na plecy długą pelerynę.

— Ty leż w łóżku—wyrzekła do córki—ja zobaczę.

Miała w sobie odwagę nerwowych istot, które nie mogą czekać na niebezpieczeństwo, lecz idą na przeciw niego.

Otworzyła drzwi do sieni. Ze świecą w rękę we drzwiach pokoju stał aktor. Widocznie porwał się także ze snu, odziany pośpiesznie, w serdaku, narzuconym na ramiona.

— Co to? — spytała Tuśka — Dom rozbijają?

— Nie wiem, ale to nie do nas. To zdaje mi się do chałupy gazdów. Zresztą zobaczą...

Wyszedł przed sieni, stawiając świecę koło roweru błyszczącego przy ścianie.

Zostawił drzwi otwarte, i teraz wycie i naszczekiwanie psów, zmieszane z odgłosem walenia we drzwi, wpadły z całą siłą razem z pędem chłodnego, ostrego powietrza w głąb sieni.

— Ozwieraj!...—pieni się głos mężki.

I znów krzyk.

Tuśkę ogarnia strach i ciekawość. Wysuwa się na dwór. — Srebrno i błękitno. Cała kaplica! cała baśń czarodziejska zaklęta dokoła. Nic nie zdoła wysłowić uroku takiej powodzi, takiej topieli, opływającej ziemię. — Smreki szafirowe zda się zawisły w przestrzeni i pławią się nieruchomo przepojone rozkoszą.

Wrażenie, jakie odnosi Tuśka, jest tak wielkie, że chwilowo zapomina o tych hałasach, które ją z domu wywabiły. Ogarnia wzrokiem srebrną ton i wypływające z niej chaty o szpiczastych, ostrych dachach. Niedaleko stoi smukła postać Porzyckiego i on zdaje się wynurzać z fali srebra. Stoi nieruchomo i patrzy w stronę, z kąd dochodzą krzyki.

Tuśka postępuje także parę kroków i znajduje się przy aktorze. Oboje są jeszcze ciepli od snu i mają w sobie to rozmarzenie, jakie się zawsze wynosi z nagłego przebudzenia. I oboje są bardzo ładni w tem błękitnem świetle, z wyrazem niedokończonych snów w oczach...

Do chałupy, w której mieszkają Obidowscy, dobywa się ktoś zacięcie. Ale drzwi zamknięte, okna zawarte i z wewnątrz domostwa ciemno.—Zdaje się

ot—mogila. Ten, który się dobywa, ochrypli jest i niepewno stąpa. Ale bije pięścią, ciupagą, kolannem we drzwi i chrzypi:

— Ozwieraj!...

Dziki wrzask z chałupy zawartej jest jedyną odpowiedzią.

— To Józiek wraca do domu! — odzywa się wreszcie Porzycki.

— Ładny powrót!... — dziwi się Tuśka.

Aktor odwraca się ku niej i wesoly śmiech rozjaśnia mu twarz.

— Baba mści się — mówi — za to, że się chłopak zawieruszył w górach. Nie chce go wpuścić do domu.

— Dobrze robi!—wyrokuje Tuśka.

Oczy Porzyckiego powiększają się w dziwaczny sposób.

— Pani także taka niepocziwa? To źle. Najpierwszą zaletą kobiety jest łagodność i wyrozumiałość.

— Nie w tych wypadkach.

— Właśnie, w tych głównie. A... to pani taka zacięta.

Patrzy na nią i śmieje się. Ona mimowoli także się uśmiecha, choć całą siłą woli pragnie zachować się seryo.

— Ale gdybym ja był mężem pani, tobym panią przerobił...

— Wątpię.

A Józek wali tylko we drzwi i krzyczy „ozwieraj“... a głos jego chrypliwy niesie światło srebrzyste w dal, w dal i rozwiewa mgłę mleczną.

— Niechże pan go uspokoi!—zwraca się Tuśka do aktora.

Lecz ten zaczyna się śmiać.

— Nie przeszkadzajmy... niech się spełni przeznaczenie—mówi Maeterlinck...

— Ależ to wstrętne...

— Co? takie temperamentowe wybuchy? Przeciwnie, to ożywia, jak dzbanek wody

Józkowi widocznie sprzykrzyło się bezowocne we drzwi walenie. Tu i owdzie po willach zaczynały błyskać światła. U płotów pojawiali się ludzie, słuchali, odchodzili, śmiejąc się, wzruszając ramionami.

— Widzi pani — nikogo to nie wzrusza — wyrzekł Porzycki.

— Ale mnie wzrusza. Ja nie lubię scen... to takie niemile.

— El... pani jest przeczulona!

— Nie — tylko nie jestem do tego przyzwyczajona.

Ostatnie słowa wymówiła Tuśka, starając się przybrać ton dość wyniosły. Lecz aktor popatrzył na nią z pod zmrużonych powiek i z ulicznikowskim wyrazem twarzy.

W świetle księżycy mimika jego nabierała ogromnej plastyki. Zdawał się twarzą białą Pierróta urągać jej grzecznej poprawności, z którą nagle wyjechała, pragnąc mu zaimponować. W tej krótkiej chwili zrozumiała, że nie zaimponuje mu niczem.

Józef tymczasem przestał walić we drzwi i majstrował coś koło nich, przykucnąwszy do ziemi.

Próbował je widocznie podważyć.

Silne były i dobrze zamknięte.

Mocował się z niemi czas jakiś i nagle odskoczył, odsadził się i z całą siłą rzucił się ku oknu. Głowę opuścił i z wściekłością pijaka cisnął się nią o szyby. Cała chałupa zdawało się, że zatrzęsa się, brzęk szkła tłuczonego przeciął powietrze. Józek ryknął, odskoczył, ponowił napad i przez wybity otwór ręką usadziwszy ramę, szarpnął, wyrwijając okno. Z wnętrza chałupy odpowiedział mu dziki wrzask. Józek, ze zwinnością kota ścisnąwszy się w kłębek, przez otwór okna wewnątrz chałupy wskoczył...

Tuśkę przeszył zimny dreszcz.

— Jezus Maryja! — wybelkotała przerażona.

— Nie wzywaj Boga nadaremno — zaśmiał się Porzycki.

— Jakże... nadaremno... on...

Nie dokończyła.

W chałupie aż się zagotowało.

Pisk dławionego zwierzęcia, charczenie, łomot, walenie ciała o ławy, o ściany — i to wszystko w ciemności, którą siała tajemnicza chałupa w ostry cień spowita.

Tuśka mimowoli porwała za rękę Porzyckiego.

— Niechże pan idzie — zawołała.

— Tam?

— Tak... on ją zabije.

Aktor zaśmiał się swoim szczerym, serdecznym śmiechem.

— Nie, ale ją zbije.

— No... więc...

— Wielka awantura!

— O!...

— Tak, tak... co mnie wchodzić pomiędzy małżeństwo, a zresztą, widzi pani, już po krzyku.

Z chałupy, tryumfalnie, rozwierając szeroko wrota, wyszedł Józek Obidowski i stanął, poprawiając serdak i szukając fajki. Księżyc bił prosto na niego i wydobywał jego mężką, posagową piękność z nadzwyczajną siłą. Góral dyszał ciężko, jakby się spracał.

W chałupie była cisza zupełna.

Wreszcie Józek dostrzegł widocznie Tuśkę i Porzyckiego, stojących w topieli księżycy, bo rzucił ku nim w formie uspokojenia:

— Zbilek babę, posadziłek na murku i niek siedzi.

I oparłszy się o żerdź, zapalił fajkę.

Porzycki ku Tuśce się zwrócił.

— Widzi pani, jakie to proste. — Zbił ją, ona siedzi na murku, on pali fajkę, za chwilę zaczną się godzić, i nim słońce znów zaświta, *la comedia e finita*...

— Zawsze, jednak...

— E! proszę pani, w małżeństwie dumy i obrazy niema. Co warte małżeństwo, jeśli na *savoir vivre* i na pomadkach oparte. Ot, szczerze, poprostu z mostu...

— Bić!...

— Chociażby... aby się później godzić!... Pani nie lubi się godzić? To takie miłe...

Tuska przygryzła wargi.

— Nie wiem o tem. Ja się z moim mężem nie kłócę, więc się i nie godzę.

— To pani źle robi. Ja się często umyślnie z kobietą pokłócę, żeby się z nią przeproszać. Zgniewa się, a ja ją za rękę i wycaluję.

Porwał rękę Tuski, podniósł ją do ust i całować zaczął. Ona zadrżała cała i zaczęła mu rękę wyrwywać.

— Proszę pana... co to?... Przecież my się nie gniewamy.

— Ale! a o tę bombonierkę?

— Wszak wzięłam.

— Ale przedtem... a potem pani ma atlasową skórę na rękę, to pani wina... Zresztą księżyc świeci... moja złota pani, jeszcze trochę...

I znów grad pocałunków zasypał rękę Tuski, biegnąc dreszczem dziwnym aż do ramienia, aż do łopatek, ledwo odzianych peleryną.

— Zimno mi — niechże pan mnie puści.

Maskowała przed sobą wrażenie, jakie odnosiła z przyłgnięcia jego ust do swej ręki, pozorami dreszczu, powstałego z chłodu.

W oddali ciągle jakiś pies wyl przeraźliwie i roztałzał tym jękiem wrażenie przejmującej melancholii.

Światła gasły kolejno—na drodze, całej mlecznej i jakby mgłą pociągniętej nie było nikogo.

Przed nimi ogromne pole owsa ludziło pozorem rozlanego morza. Za niemi wznosiły się góry dziwnie potulne, miękkie, a te dalsze rozwiewne, prawie przejrzyste...

Tuska uwolniła swą rękę z dłoni aktora. Uczyniła to prawie bez tchu. Zwróciła się ku domowi i szła wolno z głową opuszczoną. Za nią szedł aktor i mówił niskim głosem:

— Czemu pani już idzie do izby? Taki cudny wieczór... Możemy trochę posiedzieć na dworze.

Tuska w duszy miała ogromną ochotę zostać, ale zdawało się jej, że gdy zostanie, to popelni coś bardzo złego.

— Nie... nie... nie mogę.

— E!... panie z Warszawy jesteście śmieszne i dzikie. Co się pani stanie? — Rozmarzy się pani trochę, potem będzie pani lepiej spała. Czego się pani boi?

Tuska wyprostowała się i odparła dumnie:

— Nie boję się, ale mi zimno

— To ja pani dam swój serdak. Mnie gorąco.

— Cóż znowu? Pan się przeziębi.

Doszli już do domu i stanęli teraz przy drzwiach wejściowych... Każde z nich było oparte o ramę drzwi. Patrzyli tak przed siebie na drogę, na ciemną wilę pani Warchlakowskiej, ale w gruncie rzeczy widzieli się doskonale tym podwójnym wzrokiem. Jaki mają zwykle mężczyzna i kobieta, gdy są sam na sam.

— Niech pani będzie odważniejsza — zaczął znów aktor—i z sądami ludzi się nie liczy. To dyabła wartel! Ja to już dawno wyrzuciłem za plot i dziś cenię tylko kobiety, które mają odwagę swoich postępów. A zresztą, tu na wiledziaturze świat nie jest tak srogi... Tu wszyscy są na wakacjach małżeńskich, prawda?...

Smiał się, wciągał w płuca zimne, trochę wilgocią przesiąknięte powietrze.

— U nas za kulisami inny świat, inna moralność. Daję pani słowo! Kobiety stanowczo lepiej umieją kochać i są szersze.

— Aktorki?

— Tak, tak! Ja to mówię z doświadczenia. Lubię się kochać w aktorkach. U nich niema ani odrobiny pozy w pożyciu domowym. A wie pani dlaczego? Tak się wygrażą na scenie, że odpoczywają w domu. A *damy z mondu*...

— Z czego?

— Z *mondu*, no! ze świata, takie, jak pani, to grają ciągle, a głównie z nami...

— Jakto i ja?

— Ach! pani — nie, bo przecież nie żyjemy ze sobą, ale gdyby się zaczął między nami romans, zaraz paniby zaczęła...

— Co?... co pan mówi?!!!

— O! o!... tylko wspomniałem o możliwości, a pani już wchodzi na koturny! Tak, tak, tylko aktorki zostawiają mi przyjemne i dobre wrażenie; to są dobre, mile, proste kobiety...

Patrzył teraz wprost przed siebie i uśmiechał się, jakby do nadzwyczaj miłych wspomnień,

Tuśka, nie rozumiejąc dlaczego, uczuła się ogromnie dotknięta.

— Czy to z nimi tak pan się często gniewał i przeproszał? — zapytała, siląc się na obojętność.

— O... i jak często! One mają temperament — nie liczą się ze światem — i mają coś żywiołowego w sobie, gdy kochają się w nas, aktorach. Klóćmy się strasznie, ale i strasznie kochamy... Jedno za drugie zginie, naturalnie narazie,

— I... bijecie się! — sztychła Tuśka.

— Nie. One mnie biły — odparł z prostotą! — Ja nigdy nie uderzyłem żadnej, a to dlatego, że jestem bardzo silny. Gdybym uderzył w pasy, mógł-

bym zabić. Więc wołałem wszystko w żart obracać.

— Pan... pozwolił się u-de-rzyć?

— Kobiecie? Tak! to bardzo przyjemnie. Zawsze wtedy zemściłem się tak, że złapałem i strasznie wycalowałem. A tak!...

Wsadził ręce w kieszenie od spodni i kołysząc się, zapatrzonny w dal, mówił, jakby do siebie:

— Jestem strasznie erotycznie usposobiony. Od dziecka. To już predestynacja... Wiecznie się muszę w kims podkochiwać. Oddaję się spirytyzmowi. Czasem... Otóż duchy powiedziały, że z „chwilą śmierci zaczyna się niewola.“ Tak powiedziały duchy. I dalej dodały: „szczęście tylko w miłości.“ Więc... ja się kocham i pozwalam, aby mnie kochano... I kocham nie tylko kobiety, ale wszystko. Życie, świat, teatr, publiczność... siebie... moje wady, moje błędy, moją głupotę i ludzką głupotę... I ludzkie zło i dobro, i tę możność kochania... i to, żem się wyzwolił z przesądów... Ja wszystko kocham... i tak mi z tem dobrze — i ludziom dobrze, gdy mnie kochają, bo im jakoś weselej i milej...

Umilkł i po chwili dodał:

— Tak mi przynajmniej mówili! Weselej i milej.

Tuśka nie mogła zaprzeczyć.

Tak — bezwarunkowo. Było weselej i milej w zbliżeniu się do tego człowieka. To ogromne, filozoficzne pogodzenie się z życiem i koniecznością egzystencji, to czerpanie całą dłonią tego, co mogło dać zadowolenie i rozwinąć łagodną radość, wchłonięte przez Porzyckiego, zdawało się wypromieniowywać z niego i udzielać się innym. Początkowo mogło działać nawet drażniaco, jak światło słoneczne na źrenice przyzwyczajone do przebywania w ciemności, ale powoli wpływ tego „ciepła“ i zgody życiowej łagodził i uspokajał.

— Byłem dwa lata na wydziale prawniczym — mó-

wił znowu aktor—ale rzuciłem to w ką. I strasznie z tego jestem rad.

Odwrocił się ku Tuście i zapytał jej tryumfująco:

— Pani się dziwi, że ja byłem na prawie?

— Trchę.

— Niby dlaczego? Czy dlatego, że poszedłem do teatru, zamiast zostać adwokatem? — To nie dziwnego. Ja zawsze lubiłem swobodę. Tak jestem *liber baron*. Zle mi... zabieram manatki pak i noga! A jakże! Co mnie wiąże? Cygan jestem... co?...

Był jasny i wesoly ten cygan w ubraniu cyklisty z ładną falą włosów, w angielskich pończochach i woniejący dobrą kolońską wodą. Złote płomby świeciły mu się chwilami w zębach jak gwiazdeczki.

Tuśka jednak próbowała zaprotestować.

— Och!... swobodny! To się panu zdaje. A potem, czy panu nie żal?...

— Czego? adwokatury?

— No... tak!

— Ależ pani ma ładne pojęcie o sztuce! To dla pani sztuka aktorska to poniżenie? Ładna historia! Co? historia... awantura pośmiertna Adryanny Lecouvreur, której *grześć* nie chciano w poświęconej ziemi?

— Ale nie to, tylko...

— Ze wyszedłem z — towarzystwa? Co? Ale ja mam swoje towarzystwo, i to mi wystarcza.

— Wierzę.

— Jaka pani złośliwa!... My pomiędzy sobą nietylko się bawimy, lecz żyjemy — rozumie pani? — *żyjemy* pełnią życia.

— I użycia.

Zastanowił się chwilę nad tem słowem, zbyt śmiałem, które się jej wyrwało w jakimś rozgoryczeniu złośliwym.

— Z pani to musi być numer—wyrzekł wreszcie, a twarz jego przybrała dziwny, lekceważący i ulicznikowski wyraz.

— Dlaczego?

— Bo... e!... wreszcie na to pani „użycie“ ja odpowiem pani jednym: Każdy wedle siebie sądzi. Tuśka uczuła się silnie dotkniętą.

— Dobranoc panu! — wyrzekła wyniosłe, zwracając się w głąb sieni.

— O! o!... już się gniewa! — zawołał ze śmiechem.

— I czego? I czego?... A cóż za *noli me tangere!*.. Ależ królowo wszechpiękności, ornamencie człowieczeństwa, zostań! Cofam numer, cofam wszystko — tylko zostań!...

— Pan daruje...

— Nic nie daruję. Księżyc taki cudny—od chęci gadania aż dławi, a pani idzie.

— Trudno!...

Skrzywił się, jak małe dziecko, i rzucił płaczliwie:

— No... a z kim ja będę gadał?

Czuła, że gniewać się na niego nie można. Przynajmniej ona już uczuła się rozbrojoną.

— Niech pan spać idzie...

— Ja? szaleństwo? Na spanie jest zima, nie lato i noc księżycowa w Zakopanem! Pięć lat przyjeżdżam do Zakopanego i zawsze każdą noc księżycową markuję.

— Markuje pan?

— No... niby, jak Marek w piekle. Tylko zawsze staram się znaleźć jakiś flirt, bo samemu w taką noc!.. Pani wie, jak w „Kupcu Weneckim“: w taką noc... kocham się...

Tuśka próbowała się roześmiać.

— Jeżeli pan sądzi, że obecnie ja...

Lecz on jej przerwał wymownym gestem:



— Nie, nie! Pani nie jest podatna do flirtu. Przynajmniej tak sądzę.

— Spodziewam się,

— Och! niema z czego być dumną. Kobieta bez kokieteryi, to jak kwiat bez woni...

— W każdym razie chłodno już — żegnam pana.

Skrzywił się i wzruszył ramionami.

— Pani nie czuje piękności takiej nocy. Szko-da—ale na to, aby czuć, trzeba się podkochać.

I nagle bez namysłu — rzekł:

— Niech się pani zakocha.

Tego już było nadto.

Tuśka cofnęła się w sieni.

— Pan się zapomina. Ja mam męża.

— No, to niech pani kocha się w mężu... Albo co lepsze... niech pani się we mnie zakocha.

Rzucił to głosem rozbawionym, wesołym i zadźwięczało to słowo w srebrze księżycy samo, jak ton srebrnej struny z niewidzialnej harfy.

Tuśkę zdławiło coś w gardle, lecz instynktem czuła, iż należy żartować, aby milczeniem nie upoważnić mężczyzny do sądzenia, iż propozycję jego bierze na seryo.

— Przed chwilą powiedział pan, że nie jestem zdolna nawet do flirtu — wyrzekła trochę drżącym głosem.

— Tak — do flirtu nie, ale do miłości... kto wie!...

Oczy jego pociemniały i stały się tak dziwne, iż Tuśce wydało się, jakby dwa czarne motyle padły mu na źrenice i przyćmiły spojrzenie.

— Ja... już idę — wyrzekła, cofając się ku sieni.

Nie zatrzymywał jej.

Nie podał jej ręki, nie powiedział „Dobranoc“ — tylko skłonił się, a potem w głąb sieni patrzył.

Gdy otworzyła drzwi i w smudze światła zniknęła, uśmiechnął się, pokręcił głową i na progu cha-ty usiadł.

Motyle czarne z oczu mu odleciały. Oparł twarz na rękach, łokcie na kolanach i tak siedział nieruchomy, cichy, rozmodlony ku widmom Tatr, które opłynięte jasnością błękitną, dyszały mgłą srebrną i same zdawały się być jeno z mgły, rozpiętej w przestrzeni.

## XVI.

Pani Warchlakowska zdawała się czyhać na spotkanie się z Tuśką.

Ta ostatnia starannie wymijała swą dawną przyjaciółkę. Natura jej grzeczna i układna wzdragała się na myśl nieprzyjemnej sceny. Ponadto Tuśka bała się czegoś we wzroku pani Warchlakowskiej. Poznanie się i zbliżenie z aktorem nastąpiło niemal wbrew jej woli, a przecież Tuśka czuła jakby jakiś niepokój i zdawało się jej, że nie stoi na pewnym gruncie.

Gdy rano po owej księżycowej nocy zbudziła się z długiego, męczącego snu, miała wrażenie, jakby w życiu jej coś się zmieniło.

Pierwsza jej myśl pobiegła w kierunku Porzyckiego. Ogień uderzył jej do skroni. Jakże się to działo? Dlaczego zasnęła, myśląc o nim i o jego swobodnej mowie, o jego pociemniałych nagle źrenicach i budzi się z tem samem wrażeniem?

Wstała z łóżka powoli, jakby znudzona fizycznie. Zaczęła jednak bardzo starannie obmyślać toaletę

dzisiejszą. Aby usprawiedliwić się z tej staranności, wyjęła i dla Pity nową sukienkę ponsową z kufra. Krepon purpurowy, ozdobiony szerokim, gipiurowym, szarym kołnierzem miał stanowić śliczny kontrast z delikatną urodą dziecka. Szare pończoszki i buciki dopełniały stroju. Sama Tuśka zaczęła przywdziewać biały pikowy kostyum, doskonale skrojony i uciążliwie pomyślany. Pita, zarumieniona i rada z możności ustrojenia się, ze szczególną dbałością rozczesywała swoje złote, długie włosy. Jakież tchnienie kobiecej, miękkiej staranności o własne piękno aż przepelniało pokój. Tuśka, siedząc przed lustrem zapiekała karby włosów, które zaczesywała według mody na czolo. Troszczyła się o to, iż opaliła się trochę. Postanowiła nie używać więcej irysowego kremu, jako podkładu do pudru, aby nie dać więcej sposobności pannom Warchlakowskim nazywania jej „starą aktorzycą.“

Chociaż...

Tylko to słowo „stara“ razilo ją teraz, bo to drugie — to „aktorzycą“, nie zdawało się jej znów tak bardzo obrażające. Wszak według Porzyckiego, te kobiety miały pewną wartość wewnętrzną, bo jak mówił — były szczerę.

Ręka Tuśki z żelazkiem opadła na stół, zastępując toaletkę.

— Szczerę?

Tak. Lecz czem manifestowały tę swoją szczerłość? Czy tem, że oddawały się takiemu Porzyckiemu bez zastrzeżeń, że nie kryły się ze swą miłością, że nie walczyły z poczuciem obowiązku, tylko były... szczerę...

Czy to go w nich tak zachwycało? Ilez jednak musiał już mieć kochanek ten człowiek! Mówił o nich jak o legionie, lub o klombie kwiatów, który niegdyś widział. Dzielił je na dwie kategorie: aktorki i damy z *mondu*. Były dla niego zbiorową masą. Niczem więcej... Jakże to dziwne i straszne.

Pierwszy raz w życiu Tuśka tak bezpośrednio zetknęła się z możliwością miłości jakiejś innej, niż ta, o której słyszała. Jak karty w pasyansie, tak były podzielone kochanki Porzyckiego. A może i nie kochanki, może flirty...

To znów przecież nie jest tak zdrożne i to utarte, głupie, szablonowe słowo, które brzęczało często koło uszu Tuśki, zaczynało obecnie przyoblekać jakieś kształty. Czy wczorajsza jej rozmowa z Porzyckim była właściwie flirtem? — Chyba — nie. Wszak on twierdził, że ona do flirtu nie jest zdolna. Ale za to do...

Nie kończy nawet tej myśli.

Spojrzała w lustro,

I zdawało się jej, że teraz na jej oczy padły dwa czarne motyle, tak pociemniały nagle jej źrenice pod wpływem tego słowa,

Zmieszana, odwraca się ku Picie.

Dziecko już ubrane, w czerwonej sukience i popielatych pończochach, wygląda, jak mak świeżo rozkwitły o szarej lodyżce, na który padł złoty promień słońca jej włosów,

Czuje, że jest śliczna i dżwiga z' godnością zaszczyt swej śliczności.

— Idź, Pito, na dziedziniec... pospaceruj trochę.

Pita wychodzi natychmiast, szczęśliwa z pozwolenia.

Przy drzwiach się zatrzymuje.

— A proszę mamy — pyta — czy, jak ten pan aktor do mnie co przemówi, czy ja mogę mu odpowiedzieć?

— Naturalnie! sama grzeczność tego wymaga. Jak może Pita się o to zapytywać?

Dziewczynka przez mgnienie oka ma zdziwioną minkę. Z wrodzoną skrytością hamuje ten odruch i układnie wysuwa się z pokoju. Za chwilę słyhać, jak wita się z Porzyckim, który siedział na belkach

nowo budowanej chałupy i kozikiem wycinał gwiazdy, poprawiając i stylizując „zdobnictwo ludowe.“

Tuska zwłóczy z ubraniem się. Wyjść jej z pokoju niesporo. Coraz więcej traci wielką pewność siebie przeciętnej Warszawianki. Kładzie i zdejmując muślinowy krawat, na twarz jej wystąpiły wypieki. Puder nie może zetrzeć tych śladów. Tuska odnajduje w sobie wrażenia pensjonarki. Jest na siebie zła i gniewna. Wreszcie decyduje się wyjść frontem i usiąść na werandzie. Bierze książkę, robotę i wychodzi. Odrazu dostrzega panią Warchlakowską, także w białym pikowym kostymie. Obszerna dama wygląda, jak tłusta kaczka. Złudzenia dopielniają bardzo żółte bućki na rozstawionych szeroko nogach. Pani Warchlakowska ma kapelusz heliotropowego koloru i pozakręcane, a mocno wytłuszczone esy nad czołem. Czeka widocznie na Tuskę, bo ujrawszy ją, puszcza się pędem w tym kierunku.

— Pani daruje... dwa słowa.

Tuska wyniosłe spogląda z pod przymrużonych powiek.

— O co chodzi?

— Zachodzi jakieś nieporozumienie. Panienci moje powiedziały mi, że ten brutal i bezczelnik napadł je i zwymyślał. — Właśnie chcę iść na skargę do Klimatyki. — Ten pan się myli, sądząc, że jestem z rzędu tych kobiet, które mają znajomość z aktorami...

— Proszę pani, to...

— Tak... ja i moje córki jesteśmy coś innego i taki pan nie powinien się odważać nawet mówić do nas! Są dla niego inne, odpowiedniejsze damy... Żegnaj panią!...

Zakręciła krótką spódnicą. Ukazały się jakieś szydełkowe „tiuliki“ dość podejrzanej czystości.

— Wątpię, czy mężuś pani będzie bardzo zadowolony — rzuciła na odchodnym.

Tuska nie zatrzymywała jej. Weszła na werandę i usiadła na swoim krześle. Rada była, iż uniknęła konieczności robienia tej pani wymówek i rozmazywania tego, co jej córki mówiły.

Usiadła na krześle i usiłowała nie patrzeć na willę Warchlakowskiej. Zarazem jednak czuła, że obecnie „weradowanie“, zamiasć przynosić jej przyjemne uczucie, będzie ją raczej kosztowało dużo przymusu i przykrości.

Lecz postanowiła nie ustąpić. Skoro wrogi obóz nie ustępował, dlaczegoż ona miała właśnie? Wyprostowała się dumnie i przybrała wyraz ironiczny.

Było jej jednak tak, jakby miała za ciasną i niewygodną sznurówkę.

Z werandy naprzeciw strzelały ku niej trzy pary oczu złośliwie i nie bezskutecznie. — „Żydówka — stara aktorzyca“ — zdawały się mówić na odległość drogi. Leciały te szkaradzieństwa przez białą wstęgę gościńca, pod rozchwiane smreki, oblane jasnością złotą. I były one ni to żab rechotanie, bo w rechocie żab jest jakaś słodycz szklanej harmoniki, zdaleka grającej. Tam nie było nic, tylko brzydactwo natur płaskich, rozlubowanych w dręczeniu istot „grzecznych“...

I to było brzydkie, zwłaszcza w tem słońcu, w tem pięknie, w tem rozleniwieniu letniej rozkoszy, jaką niosą ze sobą łąki szmaragdowe, na których liliowe kwiecie ametystami grają.

Nagle z po za chałupy w podskokach wypadł Porzycki z Pitą. Trzymali się za ręce i pędzili na złamanie karka.

„Swir, swir za kominem“...

przyspiewywał aktor.

Pita zanosila się od śmiechu.

Twarzyczkę miała różową, jak malwa przed oknem dziewczyny. Złote włosy wiewały chmurą

pegi. Była tak śliczna, że aż Tuśka została uderzona jej wdziękiem. Oczy dziecka błyszczały zdrową, szczerą radością.

„Swir, swir za kominem“..

Lecz Pita dostrzegła matkę.

Natychmiast zwolniła kroku, poprawiła włosy, przybrała minę dobrze wychowanej pani.

Lecz niełatwo było zbić z tropu Porzyckiego. Pociągnął dziewczynkę i w susach wpadli, jak wicher na werandę.

— Tak pędzi wiatr halny! — zawyrokował aktor, padając na krzesło.

— Co pan robi?... jakże można! — upominała go Tuśka.

— Co? niby, że to ludzie mogą widzieć? No więc co? Czy to komu zaszkodzi? czy odbierze mu sławę? Czy wpędzi go w gruźlicę? Czy zrujnuje majątkowo? Czy odbierze mu wiarę? Czy.... Co? Prawda, panno Pito?...

Dziewczynka już siedziała na krześle, ale oczy jej jeszcze biegały i uśmiechała się do swego przyjaciela.

— Pani ma szampańską córeczkę! — zdecydował Porzycki, przypatrując się z przyjemnością Picie.

Tuśka zwróciła się ku córce.

— Pito, jak ty wyglądasz?... Czerwona, jak upiór... Czy to ładnie?

— Bardzo ładnie. Świeżo, zdrowo — podchwycił aktor.—Dlaczego pani chce z dziecka zrobić wymoczka? I pani zdałoby się trochę pobiegać i podokazywać. Co!... swir, swir, swir za kominem..

Pita dusiła się ze śmiechu.

— No... już niech pani się rozchmurzy. Panno Pito! buch na szyję mamusi!

Podchwycił Pitę i rzucił ją na kolana Tuśce.

Obie zażenowane usunęły się z grzecznym przeproszeniem.

— Przepraszam mamusi!

— Przepraszam cię, moje dziecko!

Aktor patrzył na nie zdumiony.

— A to co za Wersal?—zawołał z podziwem.

— Między matką a córką jakieś „przepraszam!“ — Mamę chwytła się za szyję—raz dwa... całuje w oczy, w nos, w uszy, w ręce... i po krzyku...

Tuśka przygryzła usta.

— Co pan mówi!.. co pan mówi!..

— Mówię, co wiem...

Przypatrywał się przez chwilę matce i córce.

— To dziwne! — wyrzekł po chwili.

— Co dziwne?

— Nic. Skoro dobrze wszystko zrozumieć, to pani powiem, co mi się dziwne wydaje. Ale na dziś tylko pani powiem, że ja pani nie zazdroszczę...

— Dlaczego... i czego?

— Że pani jest taką, jaką pani jest. To musi przecież zmęczyć.

Tuśka spojrzała na niego zdziwiona.

— Jakaż ja jestem?..

Aktor głową kiwał.

— Ja już wiem... Pani jest *sztuczna*. A pani mogłaby mieć naturalną, szczerą duszę i naturalne, szczerze rumieńce... Pani woli się różować i być nie-naturalną moralnie. Zrozumiała mnie pani?..

Tuśka uczuła, że jest dziwnie zgnębiona.

— Proszę pana... — zaczęła.

Lecz on nie dał jej dokończyć.

— Niech się pani nie obraża, bo ja pani prawdę mówię... a za prawdę tylko głupcy się gniewają. Nagle Pita powstała i dyskretnie usunęła się z werandy.

Porzycki patrzył na nią, jak zaczęła chodzić powoli po ścieżce, wijącej się dokoła domu.

— Co za takt w tem dziecku!—powiedział z zachwytem. — Czuje, że nie powinna słyszeć, jak się strofuje matkę i odeszła.

Tuska brwi zmarszczyła

— Jeśli dziecko ma takt, to pan go nie masz. Mówisz mi impertynencye...

— Nie—ja pani mówię prawdę. Ale co za szkoda, że ta dziewczynka jest w pani rękach. Pani ją tak sztucznie tresuje, że formalnie robi się z niej lalka na sprężynach. Gdyby pani raz sama przestała być sztuczną i żyła życiem naturalnem, poznałaby pani, jaka to jest rozkosz i swej małej nie bronilaby pani całe życie być... sobą.

Tuska doznawała wrażenia, jakby ktoś zdzierał z niej powoli otulające ją przed zimnem osłony.

— Ja jestem szczerą—odparła powoli—i dzieci moje są szczerę. Owszem, ja z mężem kładziemy nacisk na to, aby panowała u nas szczerść.

Czuła, że kłamie w tej chwili i policzki jej rozpałały się powoli płomiennym rumieńcem.

Aktor kręcił głową.

— Ja się nigdy nie mylę. Jeżeli jesteście tacy względem siebie szczerzy, to dlaczego dziecko pani nie śmiało rzucić się pani na szyję i całować jej tak, jak córka matkę całować powinna?

— Pan daruje, ale my nie mamy zwyczaju demonstrowania swych uczuć hałaśliwie na zewnątrz.

Aktor klasnął w rękę.

— No... no... więc... nie kijem, to go palką. Do wód jeden, że skrywacie swoje przywiązanie, bo przecież musicie się kochać? co?..

— Pan chce mnie uczyć wychowania dzieci?

— Widocznie, że znajduję potrzebę.

— A dużo pan w swoim życiu dzieci wychował?

— Racya fizyka... Nie chowałem, dzięki Bogu, ani jednego.

— No... więc...

— Co? co?.. ale sam byłem cudownie, szczerze, doskonale wychowany...

Tyle było dźwięku w jego głosie, jakiś zachwyty, wzruszenie, coś porywającego, że to, jak fala ciepła, oddziało na Tuskę.

Spróbowała się jednak ustroić w pancierz ironii.

— No... żeby pan był tak doskonale wychowany — zaczęła, lecz on jej przerwał szybko:

— E! pani sądzi tylko według form zewnętrznych. Widzi pani, że siedzę w tej chwili z nogami wyciągniętymi, rękoma w kieszeniach od kurtki, że mówię do pani tonem naturalnym i nie dobiegam słów. Co? o to pani chodzi?

— !!!

— Ale wie pani, dlaczego mi to pani wszystkim wybacza? Dlaczego pani taka cacana, taka grzeczna i dobrze ułożona, nie każe mi ztąd odejść precz? Bo panią pociąga moja szczerść i to jest właśnie to doskonale w mojem wychowaniu. Ja mówię „psia krew“, gdy chcę tak powiedzieć, ale ja nikomu nie nastąpię na duszę podstępnie. *Dixi!*

Znów patrzył na Pitę i uśmiechał się z lubością do tego krasnego maku na szarej łądźce, na który padał snop złocistych promieni.

Przez dziedziniec przeszła gaździna.

Szła jakoś lekko i milej, niż zwykle. Nie wbiła tak nóg w ziemię, nie niosła swej ogromnej postaci rozniewanego Aszanta ze wściekłą złością. Choć to nie było święto, odziana była wspanialej, niż zwykle. Koszulę miała czystą, która odbijała jeszcze straszniej żółtość jej cery. Nowy serdak, z lilią wyszytą na zgarbionych plecach, żółty był, czarnym barankiem podbity. Włosy czarne, wysmarowane, świeciły zdaleka, jak atlasowa krymka.

Uroczysta była, zadumana i jakby przez anioły niesiona.

Wyszła na dziedzińczyk, podniosła rękę, popatrzała na drogę, skapała się w słońcu i stała tak,

patrząc głębią czarnych źrenic na smreki, dyszące zarem.

Porzycki natychmiast ją dostrzegł.

— Dzień dobry, gaździno! Gdzie Józek?

— Spi... — odparła Obidowska.

I nagle, spotkawszy się ze wzrokiem aktora, roześmiała się szczerze, serdecznie, młodo.

Uśmiech ten rozświetlił ją nagle tak, jakby kto wewnątrz jej istoty rozpalil wielką, cudownie płonąca lampę.

— A cóżecie dziś taka piękna? — rzucił znów ku niej aktor.

Ona roześmiała się jeszcze milej i bez słowa odpowiedzi cofnęła się w głąb chaty.

— Co jej się dziś stało?—spytała Tuśka — czy to dla niej jakie święto?..

— Nie — ale po kłótni nastąpiła zgoda i to ją tak wypiękniło. Widzi pani, miałem rację, mówiąc, że zakochani powinni się jak najczęściej kłócić...

Twarz jego przybrała wyraz rozbawionego dziecka.

— I pani, żeby się częściej kłóciła z mężem, toby nie potrzebowała używać różu...

— Ja się nie różuję.

— Bajki, prześwietny sądzie. Mnie na to pani nie weźmie.

— Ja panu ręczę, że ja się rumienię naturalnie.

— Tak—gdy się pani rumieni. I to jest śliczne, ale nie wtedy, gdy się pani różuje, a to jest brzydkie. O! teraz pani się rumieni i jest pani prześliczna.

Rzeczywiście Tuśka oblała się łuną. Uszy, szyja, ręce, całe różowe były, jak jutrzenka.

— Niech się pani nie odróżowia — mówił Porzycki. — Tak miło patrzeć na zapłonioną kobietę... Tylko...

— Tylko — co?

— Tylko, dlaczego pani nie ubiera się czarno? To byloby pani bardzo do twarzy. Jedyne czarno ubrana kobieta mi się podoba. To kontrast z jej wdziękiem i w tem jest ogromnie coś ładnego.

Tuśka w tej chwili postanowiła sprawić sobie czarną suknię.

— Mam czarne tualety, tylko mi jeszcze nie nadeszły...

— Tem lepiej. Niech pani sprowadzi sobie białową tualetę czarną. Pójdziemy na bal — do Morskiego Oka.

— Ja na bale nie chodzę.

— Tu w Zakopanem się nie liczy. Zresztą te bale, Boże się zmiłuj. Ale właśnie dlatego pójdziemy.

— Więc po co iść?

— Będziemy się z innych naśmiewać.

— Al..

— A teraz niech pani siedzi cicho, a ja panu coś ładnego przeczytam. Chce pani?

Wyjął z kieszeni niedużą książkę. Położył ją przed sobą.

— Rozumie pani dobrze po francusku? Tylko niech pani będzie szczerą. No... rozumie pani?

— Tak!

— No, to niech pani słucha. To są *Complaintes* Jules Laforgues'a. On umarł, ale to był najtragiczniejszy ironista na świecie. Blazen, odziany w żałobę... Niech pani słucha.

I monotonna a kunsztownie rzecz Laforgues'a czytać zaczął.

O drzemających na stawach liliach wodnych, zdziwionych, gdy z pod nich wypływa Ofelia, rzecz o fortepianach, dźwięczących smutnie w oddalonych dzielnicach, gdy wieczorem deszcz siecze i po szy-

bach źle domkniętych okien splywa, rzecz o umarłych, którzy w noc chmurną biegną szybko do swych dawnych domów i kołącą leciuchno do drzwi, a nikt im nie otwiera...

Przeciwnie, drzwi się szczelniej zamykają.

I o dziewczynach anemicznych, bladych, w których źrenicach turkusy płowieją, a pierś wysycha i marnieje, jak kwiaty różowej azalii, bo o te dziewczęta nie zapyta nikt i wiedną w sutenenach życia, codzien smutniejsze i cichsze. Cała masa melancholii sunie chmurą dokoła werandy. Tragiczny kłown zmarły szepcze swe *Complaintes* i zaćmiewa niemi słońce. Krepę ducha roztoczył, szare skrzydła rozpiął. I niema nie! nie!

Ani jaśni, ani zieleni, ani zapachu żywicy, ani widma szafirowego gór.

Jest wielki, smutny Ból...

Aktor książkę na bok odłożył.

— Piękne? co?

Tuśka patrzyła na twarz Porzyckiego i chłoneła w siebie zmianę, jaka w niej zaszła.

Był smutny, prawie się postarzał, lecz z tym smutkiem było mu bardzo pięknie.

— Psia krew...—wyrzekł jakby do siebie—a to człowiekiem targnie taki pan.

Chwilę siedział zaszepiony.

Nagle podniósł głowę, wciągnął w siebie szeroko powietrze, załamał ręce nad czołem i zaczął się śmiać serdecznie.

— Uf!... jak dobrze coś takiego czasem przeczytać. Przez krótką chwilę wrażenie grobu, śmierci, smutku, a potem słońce miłsze i życie droższe, i Pita piękniejsza, i pani jeszcze różowsza...

Śmiał się, oddychał, pławił cały w weselu i w słońcu.

Tuśka mimowoli uczuła się porwaną. I jej słońce wydało się więcej złote, życie miłsze, a twarz aktora bardzo piękna, w kontraście z poprzednią smutną i zgnębiającą maską.

Roześmiała się także.

Pita, zwabiona tym śmiechem, weszła na werandę.

— Jedźmy gdzie — zaproponował nagle Porzycki — zróbmy jaką wycieczkę.

Tuśce aż serce zabiło, taka ją ogarnęła chęć do owej wycieczki z tym wesołym człowiekiem.

Ale zaprotestowała.

— Nie można. Jestem niezdrowa, a Pita osłabiona...

— Co znowu! Pitę wezmę na barana i tak na Giewont zaniosę.

— Może .. później.

— No, to dziś — do Kuźnic, na podwieczorek ze mną.

— Nie wiem...

— Co? dlaczego?...

Picie, aż się oczy śmiały,

— Z panią Prosiątkiewiczową pani była.

— Bo to kobieta...

— E! sensu niema. Kto w Zakopanem na takie rzeczy uważa? Tu panuje mądra swoboda. Cóż za grzech, że pojedziemy wypić kawę i zjeść rogalik? Dobrze... Zresztą nie będą się pytał. Po obiedzie na rowerze polecę, dorożkę sprowadzę i pojedziemy.

— Dobrze — ale ja z Pitą, a pan na rowerze.

— Po co?

— !!!

— Dla konwenansu? Co za obluda! Czy nie miałem racji w nocy, kiedy mówiłem, że panie z *mondu* nie są szczerze. A zresztą — niech i tak będzie. Honor będzie ocalony!

— Pan ciągle sztydzi z kobiet ze świata. Widać mamy co ochraniać i dlatego chronimy.

Aktor popatrzył na nią z pod przymrużonych powiek.

— To niby znaczy, że tamte — *nasze*, nie mają honoru. — Mają, mają i bardzo dużo. Tylko wy chcecie mieć wszystko i honor i przyjemność flirtu, czy tam czego... Ot co!

— Proszę pana...

Tuśka wskazała na Pitę.

— No... dobrze, dobrze... już nie nie mówię, ale myślę...

Zbliżał się listonosz.

Przez balustradę podał Tuśce gazety, które jej mąż regularnie z Warszawy wysyłał, a Porzyckiemu tęczową, barwną korespondentkę.

Wielka, nieklamana radość ożywiła twarz aktora. Zaczął czytać kartkę uśmiechnięty, rozpromieniony.

— Dobra nasza! — wykrzyknął, kładąc kartkę na stole.

Tuśka poznała odrazu pismo kobiece, to samo, które czerniło się i na poprzedniej kartce.

Z trudem przez stół odcyfrowała:

— „*Mój najdroższy!*...

Dalej czytać było trudno. Kolory kartki mieszały się i utrudniały rozpoznawanie liter.

Tuśce zrobiło się czegoś przykro. Ta kartka, to było wtargnięcie obcej kobiety w ich słoneczne miłe sam-na-sam. A potem radość i ten wzrok, którym Porzycki ogarniał kartkę, dowodziły jasno, jak blizką jego sarca była ta kobieta.

Tuśka powstała nagle z werandy.

— Chodź, Pito — wyrzekła do córki — gorąco.. kurz nieznośny.

— W chacie jeszcze goręcej! — zauważył Porzycki.

— Nie u nas. Mamy franki. Żegnam pana.

Aktor wstał.

Wziął kartkę. Przyglądał się jej ciągle—mimo to jednak nie zapomniał o popołudniowym spacerze.

— No, a Kuźnice?..

— Trudno,.. przytem głowa mnie boli.

— Więc nie pojedziemy?

— Zdaje się, że nie.

## XVII.

A jednak—pojechali.

Kiedy po południu aktor przyszedł pod okno i zaczął nudzić, molestować, prosić, przymilać się po dziecinnemu, Tuśka nie miała już siły się oprzeć. Przed sobą jednak starała się, jak mogła, wytłumaczyć.

— Robię to dla Pity. Skoro już nie ma towarzystwa panien Warchlakowskich, musi choć tak się rozerwać.

Tłumaczyła sobie tak owo ustępstwo, nakładając kapelusz. Przed chatą czekała „dorożka“. Dwa chabety, zaprzęgnięte do ohydnegu pudła, obitego welwetem. Wrostek w serdaku trząsał z bicza i wiązał coś kawalkiem sznurka przy uprzęży.

Tuśka i Pita pod wzrokiem badawczym a przezywającym rodziny Warchlakowskich, wsiadają do dorożki. Porzycki z rowerem stoi obok i rozmawia z wyrostkiem. Mimowoli Tuśka spogląda ku willi. Spotyka ironiczne, złe ślepie. Doznaje wrażenia, jakby ją ktoś uderzył po oczach. Siada do dorożki i woła na wyrostka:



Jedźmy!

Lecz nic nie zdoła otrząsnąć z flegmy górala. Mota, sznuruje, wiąże powoli swoją wspaniałą uprząż. Porzycki tymczasem wskakuje na rower.

Pędzę *en éclairneur!* — woła, wywijając czapczką.

Wreszcie jadą.

Drogą do Kuźnic odbywa się formalne *corso*.

Chwilami Tuśce zdaje się, że jest w alejach Ujazdowskich.

Wypancerzone, wystrojone kobiety, dzieci modnie ukrane, siedzą wyprostowane, jak lalki na pokaz w brudnych dorożkach. Mierzą się wzrokiem, taksują, starają się przeczuć, wyczytać, kim się jest, z kąd się przybywa, ile się ma w kieszeni. Żadnej swobody, żadnego szerszego oddechu, ciągle kontrola modnie skrajanej szmaty i modnie ufasonowanej duszy.

Smieszne nagrawanie się z odpoczynku i wejścia ściślejszego w łączność z przyrodą.

Mężczyźni daleko więcej mają swobody. Odziani sportowo, łączą się chętniej z naturą i żyją z nią w bliższem porozumieniu. Gdzieniedzie nieśmiałe usiłowanie kobiety. Suknia krótsza, brak gorsetu, kapelusz bez ciężących ozdób. Ale jakby zaleknione, skradające się, niepewne — jakby ta kobieta wstydziała się, że ma odwagę, że chce wśród tłumu lalek zachować cechę człowieka.

Tuśka i Pita siedzą wyprostowane w swej dorożce, baczne na każde spojrzenie pochlebne, rade, jeśli zatrzyma się na nich dłużej jakiś wzrok, przyjaźnie dla ich urody usposobiony. Nic nie zdoła oddać podniecenia, jakiego doznaje kobieta w takiej właśnie chwili. Nerwy naprężone, jak struna, a cała jej istota wewnętrzna tkwi, jak w futerałce zbyt ciasnym i z udręczeń złożonym. Lecz podniecenie to, choć męczy, upaja kobietę, jak zapach silnych kwiatów. Zna je dziecko folwarczne, gdy włoży na

Wielkanoc nową spódnice i buty, zna je dama z *mondu*, gdy roztoczy dokoła siebie falę inkrustowanych gipiurą irlandzką muślinów na szeleszczącej, jak woda morska taflicie. Zna ją dziewczynki małe, toczące kola w alejach parku i całe *greenwajowskie* w swych motylích empirowych sukienkach, znają je staruszki, gdy wchodzą na bal obwieszone rodzinne mi brylantami z gronostajami na dekoltowanych ramionach.

Lecz dziś do owego podniecenia Tuśki dołącza się jeszcze inne uczucie. Sledzi wprawdzie wzrok przechodniów, żebrze w duszy o wyraz zachwyty u przejezdnych, ale wybiega myślą ponad chabety góralskie, które wyrostek leniwo pogania — tam, gdzie wśród powozów i dorożek dzwoni leciuchno rower i mknie trochę schylona postać cyklisty w jasnej, narzuconej na ramiona kurtce.

Tuśce robi to przyjemność, iż ten zgrabny cyklista do niej niejako należy i stanowi jej straż przyboczną. Sledziła go wzrokiem, gdy zjawiał się nagle dziarski, zwinny, zgrabny, manewrując rowem z wielką sprawnością. Chwilę przyszedł jej na myśl mąż i uśmiechnęła się z pewną melancholią.

— Chciałabym go widzieć na rowerze! — pomyślała z litością.

W takim usposobieniu zajęła z Pitą i Porzyckim stolik na werandzie w Kuźnicach. Aż wrzało tam od paplania i szumu. Ciekawe spojrzenia, jak iskierki, migotały w powietrzu. Każda przybywająca grupa stanowiła wraz z rogalkami i czekoladą żer dla tych, którzy, już ogień przeszedłszy, usadowili się przy swych żłobkach.

Gdy Porzycki przechodził werandę, rozległ się ogólny szmer:

— Porzycki!...

Tuśka odwróciła się zdziwiona.

— Jak pana znają...

— Spodziewam się—wyrzekł aktor, wysuwając pierś naprzód—Od czegoż jestem aktorem?

I szedł pomiędzy stolikami, dumny, tryumfujący, rozdając niedbale uśmiechy pomiędzy wlepione w niego oczy kobiet.

Duma Tuśki doznała niezdrowej podniety. Ta teatralna sława Porzyckiego spadała na grunt dobrze przygotowany. Gdy usiedli, zwróciła się ku aktorowi jakoś poufalej, bliżej, jakby chcąc zaznaczyć, wobec patrzących może z zazdrością kobiet, że ów „Porzycki“ jest jej oddany.

Porzycki rzeczywiście zajmował się nią bardzo, robił wiele hałasu, zwracał na ich stolik dużą uwagę. Odżyła w nim natura kabotyńska. Wystarczyło małe wzniesienie w formie sceny, trochę publiczności, zaszemrania nazwiska, a aktor zapomniał o kontakcie z naturą, z którą wszedł w tak blizkie porozumienie i stawał się komezydentem, garnącym ku sobie uwagę widza.

Gdy rzewnie nastrojona „cepculka“ z melancholią postawiła przed nimi czekoladę i rogaliki, już na całej werandzie istniał tylko stolik Tuśki, Pity i rowerzysty z jowialną a ładną twarzą świeżo ogolonego imperatora.

Nagle Porzycki przybrał „pozę“ i mrugnął na Tuśkę i Pitę.

— Nie ruszajcie się, panie.

— Dlaczego?

— Fotografują nas.

Z jakiegoś dolnego stolika rzeczywiście wzniesiono ku nim lunę fotograficznego aparatu.

Pita była zachwycona. Tuśce także ten epizod przypadł do smaku, lecz zmieszał ją cokolwiek.—Dlaczego, nie umiała sobie zdać z tego sprawy.

Co chwila nadjeżdżały nowe dorożki, wysiadały nowe grupy, suknie szeleściły, dzwoniły magazyny breloków zawieszonych u łańcuszków, migotały śliczne bluzeczki, z których nie jedna przedsta-

wiała sumę całomiesięcznej pensji urzędnika. Z nie-dbałą nonszalancją prezentowały kobiety swe stroje i z tą pewnością siebie, jakby te wspaniałe czapra-ki, w które się przybierały, zdobyły pracą własną i wyłączną swoją zasługą. Ponsowa sukienka Pity i złote włosy Tuśki, wyzieraające z pod ślicznego kapelusza, obrzuconego wieńcem cieniowanych róż i motylami koronek, dominowały jednak do tej chwili na owem targowisku próżności. Porzycki powiódł wzrokiem naokoło i zdecydował:

— My jesteśmy najszykowniejsi!...

Lecz nagle szumno i gwarno zajęchały dwie dorożki.

Zaczęły z nich wyskakiwać *pâte - male* kobiety i mężczyźni z gwarem, szumem, śmiechem. Porzycki aż się uniósł na krześle i zawołał radośnie:

— Nasi!

Szykowne, ogromnie malarskie i całe w liniach kobiety, zaczęły wchodzić na estradę. Umiały wchodzić i wlec za sobą ładne i doskonale zrobione suknie. Barwy były umiejętnie dobrane. Nie były w oczy, jednak patrzeć kazały. Szczególnie były piękne fryzury tych kobiet. Jedna, ubrana czarno, miała małą twarzyczkę, okoloną puklami włosów, jakby z pastelu pani Lebrun zdjętą. Strój jej, obrzucony pailletkami, nadawał jej postać węzową. Duży kapelusz Lamballe ocieniał niepewną barwę włosów. Ta kobieta nie miała lat. Zdawała się być skamieniałą w pewnym stadium swego życia. Delikatnie upudrowana, patrzyła przed siebie dużemi, ciemnymi oczyma.

Całe towarzystwo przesunęło się obok Tuśki i zajęło miejsce opodal. Idąc, witali wszyscy poufale Porzyckiego ze śmiechem i radością.

Tuśka poznała w niektórych ową „bandę“, powracającą z wycieczki. Przypomniał jej się gest, jakim Porzycki obejmował jedną z tych kobiet. Zaczęła błędzić wzrokiem, szukając, która to z nich

była wówczas ową wybraną. Lecz poznać nie mogła.

I to ją zasmuciło.

Obecnie cała uwaga publiczności zwróciła się na aktorki. One grały tak, jak przed chwilą grał dla „galeryi“ Porzycki, i obserwowaly pilnie i starannie gesty i układ sukien. Aparaty fotograficzne wymierzono ku nim. Porzycki uśmiechał się i widocznie był duszą przy „swoich“. Tuśki różę i Pity purpura zeszyły w cień.

Tuśka uczuła żądło zazdrości i przybrała minę zdetronizowanej królowej.

— Chodźmy już...— rzuciła przez zęby.

Porzycki spojrział na nią zdziwiony.

— Dlaczego?

— Bo—nudno tu.

— Co znowu! Teraz właśnie zaczynają się zjeżdżać wszyscy.

— Och!... wszyscy!

— No tak. Teraz dopiero *nasi* przyjechali. Wiądzi pani? Ta w lila to pani Zajączkowska, a ta w białem to Orsetti, a ta...

— A ta w czarnem?...

— O! to nasza kochana Sznapsia.

— Jak? co?...

— Nazywa się Szapkiewicz, więc ją tak nazywamy.

— A dlaczegoż... kochana?

— Bo to najlepsza istota pod słońcem, miła, dobra, poczciwa... o! niech pani patrzy, jak ona się do mnie śmieje.

— Rzeczywiście. Lecz jeśli to ma być dowód poczciwości...

— Niech pani da pokój. My ją bardzo kochamy.

— I pan... także?

— Naturalnie. Ześmy z sobą zerwali, nie idzie zatem, ażebyśmy się mieli nienawidzić. U nas

w teatrze inaczej, niż na świecie. — Kochamy się, rozchodzimy, ale pozostajemy przyjaciółmi. Czy nie lepiej?

— Nie wiem.

Tuśka zaczęła pić wodę i przygryzać usta, co było u niej znakiem szczególnego zdenerwowania. Widziała, że Sznapsia patrzy na nią uważnie i kilkakrotnie oczy ich już się spotkały.

Rzecz dziwna jednak, że Tuśka we wzroku aktorki wyczytała, oprócz pewnej dozy ciekawości, jakby litość i ubolewanie.

Zaczęło ją to wszystko drażnić w niewypowiedziany sposób. Zmieniła się, zbladła. Czuli się chora, przebiegały ją nerwowe dreszcze. Słyszała turkot odjeżdżających dorożek. Widziała jak opróżniały się powoli stoliki. Słyszała głos Porzyckiego, który zaczął opowiadać seryę zakulisowych anegdotek. Lecz ponad wszystko górowało w niej uczucie odczucia smutku i pewnej litości, jakie promieniały ku niej we wzroku siedzącej naprzeciw niej aktorki.

Kilkakrotnie chciała zirytowana odezwać się do Porzyckiego: „Czego chce odemnie ta wasza Sznapsia?“ lecz głos wiązał jej w gardle.

Bo ona bezwiednie czuła, czego chce od niej tamta, która może niedawno, może dni temu kilka, „zerwała“ po przyjacielsku z tym rozgadany i ładnym aktorem.

Tamte ciemne oczy z pod kapelusza Lamballe mówiły — och! ile — cały może dramat, umiejętnie ukryty i przyjaźnie upudrowany...

Tuśka to instynktem kobiety czuła i młkła, ziębła, bladła, jakby powiał na nią chłodny, północny wicher, o smutnym, przeciągłym jęku.

## XVIII.

Pita zasnęła, lecz Tuśka, ubrana ciągle w swój biały kostium, snuje się po izbach. Ustawia drobiazgi, bez potrzeby przegląda suknie w szafie, spogląda niekiedy w lustro.—W niepewnym świetle dwóch świec widzi swą twarz jakąś zmienioną, niespokojną, powleczoneą mgłą.

Zdaje jej się, że ma gorączkę i drzemie. Oczywiście zimno jej. A przecież nie zamyka okna. Przez firankę bije srebrnymi snopami pęk księżycowych promieni.

Tuśka czuje, że tam po za oknem jest srebro, mgła, czar...

Stała i w czar ten daleki patrzy.

Patrzy i myśli, że tam na Wareckiej przed srebrem księżycy zasłania się wszystko szczelnie, jak przed mikrobami, które wdrzeć się w zdrowy organizm mogą. Zasłania się rolety w dzieciennym pokoju, okno zawiesza się jeszcze pędem. Żebrowski mówi, iż księżyc mu spać nie daje, a on biedny musi się przed biurem wyspać. Potem — ten księżyc, który zawisa nad dachami, ociekłymi deszczem i pyłem węgla, jest inny, nieprzyjacielski, zimny, jakby z musu zjawiający się o oznaczonej porze. Światło jego nie otula, nie przemka słodczą niewymowną, lecz jest natrętne, wrogie, zbyteczne.

I dlatego się przed niem okna tak szczelnie zasłania, dlatego tak się dusze od niego chroni...

To myśli Tuśka i w okno niezasłonięte patrzy. Jakiś cień miga.

— Pani jeszcze nie śpi?

Porzycki odsuwa bez ceremonii firankę.

W narzuconym na ramiona serdaku stoi w obramowaniu okna.

— Niech pani wyjdzie przed dom... tak ślicznie — porozmawiamy trochę.

— Chłodno jest.

— Niech się pani czem otuli.

Aż ciągnie ją w ten czar i do tej rozmowy. Lecz zarazem tak, jak ten, który czuje, iż nenufar nęcący go rośnie na błotnej głębinie, Tuśka zbiera siłę woli i opiera się pokusie.

— Nie. Dzisiaj nie! Wolę pozostać w domu. Mówi to głosem słodkim, tak, jakby lękała się, że on odejdzie.

Lecz on nie odchodzi, stoi ciągle w oknie.

— Szkoda! — mówi — sądziłem, że pani pójdzie się przejść. Nasi proponowali mi dziś spacer nocny daleki...

— To niech pan idzie.

— Może pójdę.

Opiera się jednak o ramę okna i nie odchodzi.

— Pani nie umie żyć! — mówi, patrząc na nią uważnie.

— Ja? Ależ ja żyję tak, jak wszyscy w mojem położeniu.

— Otóż to, otóż to — jak wszyscy. A każdy człowiek powinien przefasonować sobie życie do swojej indywidualności. W tem cała filozofia.

— Ja muszę się stosować do raz przyjętych zobowiązań.

— A w czemże im pani uchybi, jeśli pani choć trochę przestanie więzić i krępować siebie?

— O!... tak się panu zdaje.

Zbliża się ku niemu, jakby zwabiona czarem jego głosu. Stała prawie przed samem oknem. Światło po za nią uwydatnia linie jej ciała. Włosy złote przeświełają aureolą. Twarz jej tonie w cieniu. On głowę przechyla, patrzy na nią i uśmiecha się przyjaźnie.

— Pani jest ładna—mówi z przekonaniem.

— O!...

— Tak. Ładna, tylko nie szczera. I to wszystko psuje. Ja z pani muszę zrobić szczerą kobietę... Pst!... proszę nie mówić. Ani się pani nie opatrzy, jak się pani przerobi. I mąż pani będzie mi wdzięczny.

To słowo „mąż“ pada po raz pierwszy w ich rozmowie. Jest to naturalne, że mówią o nim, a przecież Tuškę jakby to uraża. Nie rozumie dlaczego.

— To musi być dobry człowiek!—dorzuca Porzycki.

Tuška chce odpowiedzieć „bardzo“, ale znów jakieś nieokreślone uczucie więzi jej słowa.

— Ma pani jego fotografię?

— Mam.

— I chłopców?

— Mam.

— Niech pani pokaże.

Tuška zbliża się wolno do stołu—szuka w teście fotografii męża i dwóch chłopców w szablonowych pozach, lecz ogarnia ją pewne uczucie wstydu.

Zebrowski na tej fotografii wygląda mizernie, nędznie, jak suchotnik i jak kancelista. To nie jest ten „mąż“, który mógłby zaimponować i ją samą w dobrym świetle postawić. Natomiast fotografie chłopców są bardzo *correct*. Mają miny poważne, szczególnie starszy w mundurku; młodszy jeszcze zdejmowany w Van Dyckowskim guście, to jest w aksamitach i koronkowym kołnierzu. To można zaprezentować. Bierze fotografie synów i wręcza je Porzyckiemu. Ten wsuwa się prawie w okno. Przygląda się chłapakom uważnie.

— Ładne dzieci, ale strasznie marmurkowane.

— Jakie?

— No... marmurkowane! Pani nie wie, co to są bracia marmurki?

— Nie.

— To mniejsza, bo i ja nie wiem. Ale synowie pani, to tacy bracia marmurki... Do kogo podobni? Do pani? może do męża? A gdzie fotografia męża?

— Nie wiem... gdzie była...

— A to nieładnie! Powinna stać na stoliku razem z dziećmi. Tak zawsze panie robią na wiledziaturze...

Śmiać się zaczął.

Tuška odebrała mu z rąk fotografię chłopców.

— Widzi pan, że mam rację, nie stawiając fotografii na pokaz. Śmiały się pan i ze mnie.

— Nie. Z pani nie mam prawa.

— A z tamtych?

Zmierzyli się oczami.

— Może...—wybąknął mężczyzna.

Tuškę przeszył dreszcz.

— Szkoda, że one tego nie słyszą — wymówiła gorzko, wkładając fotografię do teuszki.

Twarz Porzyckiego zmieniła się, jakby pod uczuciem wstydu.

— Ja... przecież... nie wymieniam nazwisk!

— No, tegoby brakowało.

Tuška czuła w tej chwili jakąś swoją wyższość, niedościgłość i zdała się sobie ogromnie dumna, a łaskawa.

— Biedne kobiety! — wyrzekła, kiwając głową.

Lecz i on już odzyskiwał pewność siebie.

— O! o!... biedne... ofiary!... co znowu! Żadna z nich tragicznie tego wszystkiego nie brała. Czasem popłakały, ale zapudrowały noski i były jeszcze ładniejsze.

Tuško przed oczyma nagle przewinęły się żręnice czarno ubranej kobiety, która tam przed werandą kuźnicką patrzyła na nią z pod runda kapełusza z jakimś smutkiem i litością.

— I pan myśli, że one wszystkie zapomniały?

— Naturalnie!  
— A... Sznapsia?

To imię wyrwało się nagle i padło trochę ciężko, jak ptak o zwichniętym skrzydle pada nagle na ściernisko.

— Sznapsia?  
— No... tak... ta w czerni... aktorka.  
— Ależ Sznapsia to *nasza*, to co innego.  
— Przepraszam, to także kobieta.  
— Naturalnie! I jaka!... Ale ona się nie liczy,

To nie był flirt.

— Więc... ona... nie zapomniała?  
— Naturalnie, że nie. Jakże pani chce? Wspólna bieda, nędza, prowincya. Gotowała sama na maszynie naftowej. Często nie było co. — Zimno! Za kulisami mróz. Ona zawsze dobra, wierna...

— A pan?  
— Ja?... było różnie. Ale przeważnie byłem jej wierny...

Oczy aktora przybrały pewien wyraz rozmarzenia. Nie były to czarne motyle, które padały mu chwilami na oczy, przeciwnie, źrenice jego jaśniały, widziały coś w oddali.

— A przecież pan przestał ją kochać... — wyszeptala Tuśka.

— Cóż? — miało być na całe życie? — odrzucił już weselej Porzycki. — Cały sezon trwało, aż wreszcie ona dostała engagement gdzieindziej, ja gdzieindziej i skończyło się. Wiadomo... sezonówka...

— Co takiego?

— No — sezonówka — sezonowa miłość... U nas w teatrze liczą się miłości na sezony... teatralne. Mówi się: kochali się pół sezonu, cały sezon — to takie żniwo dla sezonowej miłości...

— !!!

— Och! jakie pani robi oczy! Pani w to nie wierzy? Dokoła aż się roi w taką księżycową noc od flirtów... A to wszystko *sans consequences... pour*

*passer le temps* — oktawę. Fortepian otwarty — artysta z nalogu rzuca jeden pasaż. *La chose est faite!*... Widzi pani. — Z kurtuazyą, galanterią... *Voilà!*

Był znów zupełnie pewny siebie, wesoly, rozbowiony.

Laweczka stoi pod oknem.

Osunął się na nią i bardzo wdzięcznie i miło na rękach twarz swoją o krawędź okna oparł.

Tuśka stała wciąż przy stole, oszołomiona, ogłuszona jego werwą, jego pustotą.

Od pewnego czasu w Warszawie zapanowała karawaniarska atmosfera, przemieniająca poprzednie warsalskie flirty w upierne, fatalne, tragiczne konflikty. — Tuśka asystowała zdaleka tej przemianie, i jak poprzednio, przetrawiała „flirt“ jedynie w wyobraźni, tak zawsze teraz „rozwiane“ i „rozpienione“, „posklebiane“ piekła namiętności pozostawały dla niej jedynie w krainie druku i sceny, lub *faits divers*, zanotowanych pośpiesznie w wiadomościach dziennikarskich. Nie miała jednak nigdy wielkiego pociągu do owych farandoli śmiertelnych. Czula w nich jakby pozę, jakby ktoś zmuszał się do gry zbyt męczącej. A choć właśnie była sztuczną i nie-naturalną, lecz tylko w drobiazgach, chętnie zadawała sobie ten przymus. W wielkim jakimś fackie życiowym nie miała poprostu pojęcia, czy zdobyłaby się na „pozę“.

Ciągnęło ją jednak chętniej ku łatwym i wesolym flirtom. Było w nich więcej pudrowanej grzeczności i powierzchownego sentymentu.

Czytała z przyjemnością książki, traktujące zapalczywie o tym sporcie i śledziła często czy to na spacerze, czy w salach widowisk flirtujące pary. — sama nie zawiązała nigdy podobnej nitki. Sposób ich życia od pierwszej chwili ukształtował się lodo-wo i atmosfera ta przyłgnęła do jej gestów i zachowania się całego. Tem odstręczała zawodowych flirtowców. Zamało miała inteligencyi, aby natrafić

i rozgrzać coś niezwyčajnego. I tak pozostała w roli widza, śledzącego zdaleka wypadki miłosnej areny. Niemniej przecież z trwogą odwracała się od hufca „rozpienionych i splątanych w wyjące sarabandy” krzykaczy miłosnych.—Flirt był łagodniejszy, przystęp lżejszy dla niej i nie tak skomplikowany. Ztąd—Porzycki i jego manewry, przynoszące pewne rozflitrowanie, zaczynały trafiać na dobry grunt.

Tuśka wkraczała powoli na arenę.

Nieśmiało, cicho, wbrew woli.

A przecież...

Na laweczce siedział tak naprzeciw niej, czarne oczy jego śledziły ją bacznie i zarazem owijały jakby ciepłą, miękką tkaniną.

I nagle rzucił ku niej cichym, miłym głosem:

— No... kiedy się pani we mnie zakocha?

Aż ją ścisnęło za gardło; czuła, że powinna rozgniewać się, kazać mu iść precz, lecz już nie mogła.

Wolała obrócić to w żart.

— Sezonową miłością?—zapytała.

— Naturalnie. Przecież nie wymagałbym od pani nic więcej... Ot... jakby trochę kwiatów...  
A zresztą...

— Co zresztą...

— To samo przyjdzie!

— Co?

— To, że się pani we mnie zakocha.

Uczuła się dotknięta.

— A ja panu mówię, że nie przyjdzie!

Głos jej aż drżał, gdy to mówiła.

Porzycki uśmiechnął się wdzięcznie.

— Założmy się.

— Pan jesteś cynikiem.

— Dlatego, że chcę, ażeby pani wyszła trochę z tych modnych form, z tej sztywności nieznośnej i żeby pani była więcej... kobietą?

— Pan nazywa poczucie obowiązków w kobiecie zanikiem kobiecości!

Czarne oczy aktora rozszerzyły się od zdumienia.

— A któż każe pani zapominać o obowiązkach? Ja?—Niech mnie Bóg broni. Nie mam na sumieniu ani jednej mężatki, któraby przezemnie porzuciła swe stanowisko matki i żony. — Pani zaraz dosiada tragicznego rumaka i pędzi ku... przepaściom! No... czyż nie mam racji, że pani jest pozująca i nieszczerą?

Tuśka nie odpowiedziała nic. Czuła, iż zaczyna obracać się w jakimś błędnym kole, że ten czar lekkomyślny i dziwny, jaki Porzycki roztacza naokoło, nie dozwoli jej zdać sobie trzeźwo sprawy z sytuacji, w jakiej staną oboje naprzeciw siebie. Ogarnia ją trochę lęku, lecz ufa swoim siłom. Tyle lat przeszła bez zboczenia z prawej drogi, dlaczegoż teraz miało stać się z nią to straszne zło?

Może Porzycki ma rację.

Może nie należy brać tak tragicznie jakiejś drobnostki, która w gruncie rzeczy nie przynosi nikomu krzywdy, a jej pozwoli przyjemnie porozmawiać i spędzić parę tygodni weselej, niż w towarzystwie z panią Warchlakowską.

Patrzy na Porzyckiego i stara się wmówić w siebie, że ten czar, bijący od niego z taką siłą, to tylko miły przyjacielski wdźwięk.

A to co on mówi—to są słowa bez znaczenia.

Ależ tak, tylko słowa!

Porzycki wyciąga ku niej rękę.

— Gniewam się?

— Co znowu?...

— No... dzięki Bogu! Bo mi pani z tą swoją pruderyą zaczynała coś prowincyę przypominać. Nie mogłem się w pani jakoś doszukać warszawianki... No—proszę dać łapkę na zgodę!...

Z pewnym wysiłkiem, ale udając swobodę, zbliża się Tuśka i podaje mu rękę.

— Na zgodę!

Sądzi, że będzie to tylko uściśnienie ręki, ale aktor ujmuje jej rękę, całuje długo każdy palec z osobna i zaczyna się przyglądać paznogciom.

— Cacane pazurki! — mówi dziecinnym głosem.

Tuśka chce mu wycofać rękę. Ogarnia ją jednak słodkie rozmarzenie. On z taką naturalnością całuje w dalszym ciągu jej rękę, bez żadnego zmieszania, bez miłosnych spojrzeń, że i ona się powoli uspakaja. — Pozostawia tak rękę w jego dłoni, a on, jakby rozzuchwalony, głaszcze swoją twarz jej ręką.

— Co pan robi?

— Popieścić!... — mówi z przymileniem. — On taki biedny! Nikt go tak dawno nie pieścił.

Tuśka gwałtem chce wyrwać mu teraz swą rękę.

— Proszę... niech pan puści!...

Ale on wygodnie ulokował swój policzek na jej dłoni i przymknął oczy.

— Nic niema miłszego, jak taka śliczna, dobra, pocziwa kobieca ręka!... — mówi głosem jakby sennego dziecka.

I mileży — siedzi tak cicho przytulony do jej ręki, z oczyma zamkniętymi, zmęczony, jakiś nagle postarzały.

Wypoczywa.

Tak mu z tem dobrze, takie to widocznie dla niego naturalne, nie karygodne, proste, że Tuśka poprostu nie śmie wpaść w tę prostotę ze swą obrażoną godnością. On jej nawet ułatwia sytuację.

— Pani ma dobrą i przyjacielską rękę.

Otóż to.

Padł wyraz, który jej podaje deskę ratunku.

Przyjaźń.

Tak. Pomiędzy nim a nią zawiązuje się... przyjaźń. Nic więcej.—Tuśka chwyta się tej szablonowej deski z zapalem każdej kobiety, brnącej w błotko w kaloszach koniecznej cnotliwości. Ma jednak tyle taktu i sprytu, że nie wymawia tego wytartego, jak liczman, słowa, lecz pozostawia je w głębi swej duszy. Boi się odegrać roli niemodnej romantyczki, ofiarowując mężczyźnie... przyjaźń, lecz postanawia sama przed sobą, iż tak uczyni — nie inaczej.

W program tej przyjaźni może przecież wejść przyjaźność ręki, na której spoczywa gładki, jak atlas, świeżo ogolony policzek artysty. Skoro to jest uczucie przyjaźni... nic w tem niema zdrożnego.

I wewnętrzne usposobienie Tuśki, stygnące i prawie spokojne, dodaje jej otuchy, iż to, co postanowiła, jest wykonalne.

Wprawdzie... podobno przyjaźń mężczyzny i kobiety nie istnieje, ale ona właśnie dowiedzie, iż tak być może.

Zresztą, ten człowiek musi być od niej młodszy. Kto wie—może znacznie. Patrzy na niego w świetle mizernem świecy i nie umie rozpoznać jego wieku, a może przekroczył trzydziestkę...

Ta jego wesołość, dziecięcy chwilami uśmiech, wybryki chłopaka, to wszystko jeszcze młode, bardzo młode.

Natomiast pewne charakterystyczne bródzdy koło nosa, wychudzenie szyi po za uszami, pomimo silnego karku, rzadkość włosów, to już oznaki wędnięcia.

A więc?

Tuśce to jest obojętne.

Choć wolałaby, żeby on był człowiekiem dojrzałym.—Przyjaźń zawiązywać z dzieciakiem, to śmieszne i niemożliwe...



W każdym razie furtkę do wyjścia z sytuacji znalazła.

I zaraz mówi tonem życzliwym, przyjacielskim.

— Niechno pan idzie spać... Pan senny!

— Kiedy mi tak dobrze!

— Ale to nie ma sensu. Pan się przeziębi. Nie można rozsypanie się na powietrzu.

— Albo to prawda... Właśnie w Zakopanem każą spać przy otwartych oknach... Ja tak śpię zawsze.

Chwilka milczenia, a potem znów senny, miły głos.

— Pani mnie lubi?

— Lubię.

— Bardzo?... Bo jak nie bardzo... to ja pójdę na jakie Liliowe albo Pomarańczowe i prasnę się łbem na dół...

— Ależ lubię pana bardzo, tylko gdy pan posłuszny.

Podniósł głowę, spojrział na nią zamglonymi oczyma.

— O!... pani tak do mnie mówi, jak moja mama. I... wie pani co... albo nie...

Tuskę niemile dotknęło to macierzyńskie porównanie.

— Pan ma mamę?

— Spodziewam się!

Ożywił się nagle, otrząsnął, porwał się na nogi.

— Idę spać!—zawyrokował.

— Dobranoc!

— Dobranoc!

Zawrócił się z drogi.

— Niema pani co słodkiego? Tak przywykłem, że mi matka zawsze coś słodkiego przygotowuje przed zaśnięciem. Jak się roli uczę, to jem, i czas mi się nie dłuży.

— I owszem, są pana cukierki.

Podawała mu sławną bombonierkę z czerwoną kokardą. Zdawał się jednak jej nie poznawać.

Znów sen go ogarniał. Nadstawił po dziecinemu usta.

— Wybrać samej...

Podawała mu do ust cukierek. Ugryzł ją nagle w palec, roześmiał się, otworzył szeroko oczy i wionął połamami serdaka.

— A co? nabrałem panią! Wcałe mi się spać nie chce. Idę na rozdobędę.

— Na co?

— Na rozdobędę! Dogonię swoich. Pójdziemy piechotą na Czerłę. Bajeczny widok! Wrócę rano.

Miał minę cygana i nic nie zdoła określić tego tonu, jakim mówił „idę do swoich“.

Tusce zrobiło się nad wyraz przykro.

A więc nie zdołała go na tyle zająć, aby zapomniał o tych swoich, którzy wydawali jej się coraz nienawistniejsi, coraz więcej ohydni i zagadkowi.

— Położyłby się pan spać spokojnie—wyrzekła białym, bezdźwięcznym głosem.

Zmiana jej głosu była tak widoczna, iż on dość subtelnie odczuł, że Tuśka doznaje w tej chwili przykrości.

Zbliżył się do okna.

— Nie chce pani, ażebym szedł w góry?...

Patrzył na nią przenikliwie. Coś jakby uśmiech leciuchny przesunął mu się pod skórą. Tuśka cała splonęła, doznając wrażenia, że ktoś poprostu rozbiera ją wzrokiem.

— Cóż znowu?...—rzekła, siłąc się na spokój—Zkąd panu to przyszło do głowy? Powiedziałam to jedynie z życzliwości dla pana, bo zdawało mi się, że pan rujnuje sobie zdrowie takim życiem...

— Co pani nazywa: *takie* życie?

Nie chciała mu powiedzieć, co wyobraża sobie pod temi włóczęgami nocnymi w zaułkach drzemających gór, w morzu kosodrzewiny, w czarnej, świę-

tynnej ciemni smreków. Ogarnął ją wstyd. Przed jej oczyma mignęło rozłożone ognisko, butelki wypróżnione, śpiewy dwuznaczne i gesty niehamowane. Lecz tego wszystkiego ona przecież jemu powiedzieć nie mogła.

Milczała, pamiętna poprzedniej z nim rozmowy.

— Niech pani będzie pewna — wyrzekł — iż ja wiem, gdzie jest granica zmarnowania się i na niej, jak juhas na krawędzi skały, zatrzymam się w tempie! Pani nas, młodych, jeszcze nie zna. My umiemy się bawić, ale... w miarę. — Te bohemie rozwichrzone to mity... klechdy... bajdy...

— Och! proszę pana... cóż mnie to właściwie obchodzi?

— Widocznie panią obchodzi, skoro pani nie chce, żebym ze swoimi na Czerłę spacerował. Ja nie umiem obejść się bez towarzystwa, a właściwie bez kobiecego towarzystwa. Po za tem jestem *solid*, jak c. k. urzędnik, wzdychający do złotego kolnierza. — *Voilà!*

Tuśce jakoś zepsuło to ów rozwichrzony obraz żywiołowca, jaki się już przed nią zarysował i z którym się pogodziła.

— Nie bardzo temu wierzę! — wyrzekła z uśmiechem.

— Jak pani chce. Ale skoro pani mnie pozbawia towarzystwa innych kobiet, to niech pani idzie ze mną.

— Dokąd? Na Czerłę?

— Niech Bóg broni. Ale pojutrze naprzykład do Morskiego.

Aż jej serce zabiło, tak jej się uśmiechała ta wycieczka.

— Nie — odparła smutnie — to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Boże mój... nie wiem... ale to niemożliwe.

— Niby przez przyzwoitość?

— Może!

Aż w ręce klasnął.

— No, wiecie, to już przekracza imaginację. Ależ będzie Pita, a chce pani, to przedstawię pani jakiego wzorowego kolegę, on pójdzie z nami jako *przyzwoitka*.

— Ależ to jeszcze będzie gorzej. Dwóch panów i ja...

— I tak źle i tak nie dobrze. — Co za prowincya! A ja muszę być w tym roku przy Morskiem. — Czy tak, czy tak — pojadę...

— To już rzecz pana.

— Jaka pani niedobra. Ale ja lepszy, nie pójde na Czerłę, skoro to pani przykróś sprawia... Dobranoc!... idę lulu... Pa... lulu, Pa!...

Ręką od ust się jej pokłonił, a potem nagle złożył jej sliczny menuetowy ukłon.

— *Bonne nuit, marquise!*

Cofając się — znikł w sieni.

Posłyszała, jak cichutko przeszedł się, wszedł do swego pokoju i drzwi zamknął.

Ogarnęło ją wielkie uczucie wdzięczności i spokoju.

Zamknęła okno, spuściła storę i weszła do pokoju, w którym spała Pita.

Dziewczynka leżała z otwartymi oczyma.

Widoczne było, iż pośpiesznie rzuciła się na poduszki. Musiała siedzieć w łóżeczku i starać się przysześć, o czem rozmawia matka z ich nowym przyjacielem. — Tuśka w pierwszej chwili chciała rozgniewać się na córkę za to, że nie śpi, lecz jakiś wstyd ją ogarnął, pewne zmieszanie wobec pytających oczu dziewczynki, zwróconych na jej twarz splonioną.

Odwróciła się szybko, udala, iż nie dostrzega czuwania dziecka. Wzięła w rękę notatkę, usiadła na łóżku i zaczęła machinalnie obliczać wydatki.

Lecz myśl jej błądziła gdzieindziej...

## XIX.

Czarna tualeta Tuśki pożarła okazałą sumkę, choć była bardzo skromna i z taniego materiału zrobiona. Czarny batyst w czarne grochy polyskujące prezentował się jednak niezłe i rzeczywiście Tuśka, wracając od „miary“, była zadowolona. Tylko — ten budżet...

— Więc co? Napiszę do męża, niech przysle. Rzeczywiście bez czarnej sukni nie mogą się obejść. Przyda mi się... To nie jest zmarnowane.

Tłómaczy się tak przed sobą, idąc drogą ku Skibówkom. Zostawiła Pitę pod opieką Porzyckiego. Mieli siedzieć na werandzie i Porzycki miał Picie dawać lekcje rysunku. Okazało się bowiem, że aktor i ten talent posiada. Narysował bardzo elegancko i miło profil Pity i z po za niego wysuwający się profil Tuśki. Na blade błękitnem, a raczej lawendowem tle, masy złotych włosów, szeroko otwarte lawendowe oczy, noski zadarte z garbkami niewielkimi i usta z wierzchnią wargą cokolwiek wysuniętą... A nadewszystko te podbródki okrągłe, śliczne, u matki pełny i jakby nasycony, u dziecka delikatny i jakby nieśmiały. W liniach jednak podobne i jednakowe, tylko w wyrazie różne i stanowiące dwa osobne światy.

Pod temi dwoma profilami Porzycki podpisał:

„Tuśka i Pita.  
Dziecko, kobieta  
Poemat i dramat.  
*Beatus qui amat.*“

Tuśka postanowiła w duszy zatrzeć przed przyjazdem do Warszawy ten napis. Obecnie jednak pozostawiła go tak, jak był.

Idąc drogą, pod osłoną białej parasolki, wpatrzona w biel swych bucików, Tuśka myśli ciągle o Porzyckim. Poprostu myśleć o czem innym nie może.—Tłómaczy to sobie (bo Tuśka wciąż jeszcze szuka przed sobą samą wytłómaczenia) niezwykłością zbliżenia się swego do tego zagadkowego tworu, jakim był dla niej zawsze aktor w życiu codziennem.

Gdy była młodą panią, przeszła konieczną w tym okresie lat febrę miłości dla aktora. A więc kochała się w jednym z piękniśków o przesłicznym profilu i nieco gardłowym głosie. Gdy zobaczyła go raz ubranego w perłowy renesansowy kostyum z krymką purpurową aksamitną i w konopiastej peruce, oddała mu swe serce bez podziału. Śniła o nim, rumieniła się, gdy ujrzała jego imię na afisze. Był dla niej tak niedościgły, jak Archanioł z trąbą, stojący u stropu kościoła. Kult miała dla niego, kult i nic więcej. Nie umiała sobie wyobrazić, że ten człowiek jada kotlety cięte i śpi na jasku, a w niepogodę wdziewa kalosze ze zniszczoną, klasyczną, amarantową podszewką.

Gdy go raz ujrzała w jakiejś komedii w tużurku i szarych, przesłicznie zaprasowanych spodniach, doznała wielkiej przykrości. Zdawało się jej, że ktoś zbeszczył jej ideał. Później wyjechała, wyszła zamąż i zapomniała o pięknym aktorze. Pojęcie jej o aktorach nie uległo wielkiej zmianie. Nie żywiła więcej kultu, ale nigdy nie zdawała sobie sprawy, czy ci ludzie mają swoje życie codzienne i wchodzą w linię ogólną całego społeczeństwa. Rampa dzieliła ją od nich, niby jasna linia nieprzekraczalna — rampa ta istniała dla niej zawsze w pojęciach o stosunku aktorów do reszty ludzkości.

Nagle znalazła się w bardzo ścisłym kontakcie życiowym z jednym z takich ludzi. Nie przedstawił się jej z tamtej strony rampy, ale właśnie z tej,

po której ona była. I widziany z tego punktu, nie był panem, noszącym konopiaste peruki, krymki aksamitne i szpencery karmazynowe, lecz człowiekiem z krwi i kości, jak ona...

W dodatku człowiekiem, który zaczynał zabierać jej trochę czasu, myśli. Dlaczego? Czy dlatego, że był tak miły, tak układny, mimo zuchwalstwa, tak sympatyczny? dlatego, że był... aktorem?

Tuśka sama nie wie. Usprawiedliwia się przed sobą, tłumaczy.—Pierwszy raz widzę ich tak blisko...—myśli, lecz myśli równocześnie, iż rada jest, że suknia czarna będzie ładna i po jego myśli, że jej będzie w tej sukni do twarzy i wdzięczna mu jest za to „do twarzy“ ogromnie.

Idzie i mija takie same, jak ona „Tuśki“, które przybyły tu dla „wytehnienia“, a idą śmiesznie zmaglowane z przodu liniami gorsetów, wydęte z tyłu, jak hotentotki, z czołami okrytymi materacem włosów, z kołnierzami pruskich oficerów, okrywającymi żółkniejące z braku światła szyje. Zmęczone, spocone, na francuskich obcasach, stanowią przedmiot szyderstw górali i woźniców, zgromadzonych białemi kupkami koło swoich „furek“. — One idą pewne siebie — storturowane, ledwo dyszające, lecz spoglądające z góry na tę, która ma więcej centymetrów w pasie i nie potrafi z taką forszą i furją ugnieść sobie żołądka.

Puder funtami bywa przez nie zużywany, a bla-doliliwie tony *Eau de lys*, *Eau de perle*, *Eau de fée* litrami spływają z pod woalek w fatalne upały południowych godzin. Ale to nic nie szkodzi. To „ogromnie kobiece“—nie daje za wygrane.—Urąga Tatrom, urąga przyrodzie, urąga słońcu. W pawim majestacie rozsiada się na tronie, wysadzonym imitacją drogich kamieni. Wieczysty karnawał trwa ciągle, przeciągnięty przemocą w dolinę pełną woni żywicy i słodkich błękitów, które od gór wieją, jakby archanielskim skrzydłem.

I nic nie powstrzyma ręki, która gąbkę nasycą ołowianym płynem, zmęczone miejską walką powieki. Stojące na szczytach archanioly, widzialne tylko rozmodlonym w pięknie duszom, gotowe do położenia swych dłoni przebogatych w ukojenie i spokój na zrenicach tych istot, które przypadły do stóp błękitno-sinych gór, czekają miłośnie chwil wielkich, chwil niezwykłych, które snują się nieznużone daremnie oczekiwaniem obok człowieka. W szczyt! w górę wzrok, i w górę serca pełzające wśród bruku, złożonego z chęci dobrych i pragnień nienasyconych.

Ku archaniolom nieruchomym i dziwnych ukojeń pełnym rwą się zrenice. Lecz ciąży na nich olów *Eau de lys*, *Eau de fée*... ku ziemi je gniecie i tam ogryzków życiowych szukać każe.

O! to „ogromnie kobiece“, skrzydłami archaniolom równe, a przecież tak więzione w swych szczytnych objawach patrzenia w jasność swobodną i czystą! O! to „ogromnie kobiece“—zakute w stal, wybielone sproszkowanym ryżem, powleczone węglem, rozjaśnione przymusem i nieszczerością, aż do potęgi, gaszącej świetlane punkty życiowego piękna, o! to „ogromnie kobiece“....

Dochodzi Tuśka do swej werandy i zdaleka już dostrzega samą Pitę, siedzącą przy stole.

Dziewczynka nie rysuje. Jakaś osowiała, podpiera główkę na rączce i ma bardzo znudzoną minę. Gdy matka nadchodzi, wstaje i całuje ją grzecznie w rękę.—Tuśka w tej chwili czuje, że to przywitanie rzeczywiście jest trochę konwencyonalne i chłodne.

— To wpływ Porzyckiego! — myśli i ma ochotę pocałować córkę w głowę, lecz Pita, nie-

przywykła do tych objawów, usuwa się i powraca na dawne miejsce.

— Gdzie pan Porzycki?—pyta Tuśka.

— Poszedł do swego pokoju.

— Dawno?

— Już z pół godziny. Przyszedł ktoś do niego z wizytą...

Pita rączki złożyła w małydrzyk, nóżki wyciągnęła pod stołem, a twarzą jej ma wyraz małego Ajaksa.

Tuśka czuje, że się coś tam po za tą niby spokojną buzią ukrywa, ale pytać nie śmie.

— To pewnie ktoś z aktorów! — mówi, zdejmując kapelusz.

— To jakaś pani — odpowiada Pita i znów patrzy trochę chmurnie przed siebie.

Tuśka nie wie dlaczego, ale jest pewna, że tą panią nie jest nikt inny, tylko Sznapsia. Milczy jednak, zabiera kapelusz i wchodzi do izby. Tam nerwowo sypie na twarz puder, zdejmuje suknie, kładzie szlafrok, przestawia krzesła, drobiazgi i czuje, że jest strasznie niespokojna i prosto chorobliwie podniecona.

— Co mi jest?... Boże!... co mi jest? myśli, sprawdzając, że ręce jej drżą, jak w febrze.

Mimowoli nadśledzuje, czy nie doleci do niej jakiś głos z pokoju Porzyckiego. Lecz jest zupełnie ciszą. Chwilę przemyka jej szalona myśl, aby zawołać gaździnę i poprosić, aby Porzycki do niej przyszedł. Lecz w porę przychodzi opamiętanie. Co pomyśli? Co ona mu powie? Czy nie jest wolny? Czy nie ma prawa przyjmować u siebie wizyt nawet kobiecych? — Jak ona, obca, śmie mieszać się w jego życie?

Usiadła przy stole.

Wzrok jej padł na teczkę. Otworzyła ją. Szuka papieru. Fotografii męża i chłopców leżą na wierzchu. Znane tak dobrze twarze wydają się jej

dzisiaj obcemi. Lecz zmusza się i zaczyna się im bacznie przyglądać, jakby starała się wbić je sobie znów całą siłą w pamięć.

— To *moi* — myśli. — On ma *swoich*, ja mam także *swoich*.

Mimowoli przecież te „marmurkowane“ twarze pozostają jakieś dalekie, zimne i obojętne.—Tuśka czuje, że każda z nich to już odrębny świat i że każdy z jej synów ma także *swoich*, do których dąży.—Atmosfery spójności nie wytworzyło nic od pierwszej chwili i teraz w oddaleniu niema jej i żadnej tarczy stanowić ona nie może dla Tuśki.

Może jej mąż jest jej jeszcze najbliższy, bo najmniej w nim przebija się dążności do wyodrębnienia się. Patrzy na niego z jakimś niezadowolaniem. — Ta mizerna, drewniana figurka robi na fotografii wrażenie kościanego dziadka.

Gdzie czar?

Gdzie wdzięk?

Ach!!!

Tuśka bierze ćwiarteczkę papieru i pisać zaczyna. Ręka jej drży. Myśl rwie się co chwila, ale zmusza się do owego listu, tak, jak do przełknięcia lekarstwa.

„Kochany mężu!... Pisałam do ciebie przed kilku dniami. Dziś piszę znów, choć krótko, aby ci nie zabierać czasu i nie nudzić cię powtarzaniem tego samego. — Pogoda jest znośna, zdrowie moje jednak nie poprawia się. Kaszlę coraz gorzej i, jak ci już pisałam, z rozkazu lekarza wzięłam drugą izbę z werandą, na której ja i Pita musimy przebywać całe dnie dla zdrowia. Pita ma się dobrze i choć, dzięki Bogu, z tej strony jestem spokojna.— Nudzimy się, bo, nie mając odpowiedniego towarzystwa, nie bywamy nigdzie.“

Nie wiedziała, czy napisać mężowi o znajomości swej z Porzyckim. Woląla jednak zamilczeć.

Zdenerwowanie jej wzrastać zaczęło coraz sil-

niej. Zostawiła uchylone drzwi od sieni, aby dostrzedz, kiedy owa „pani“ wyjdzie od Porzyckiego.

Lecz cisza była zupełna.

Tuśka wzięła pióro i znów pisać zaczęła.

„Chwilami jest mi tu okropnie i żaluję, że przyjechałam.—Nie wiem sama, co się ze mną dzieje. Zdaje mi się, że umrę. Na serwo myślę ztąd uciekać i proszę cię, nie zdziw się, jeżeli nas zobaczysz którego dnia wchodzące do mieszkania. Zakopane to piękne zdaleka, ale zblizka nic szczególnego. Zimno, smutno, drogo i tylko bardzo bogaci ludzie mogą żyć tutaj możliwie...“

Dotarła wreszcie do kwestyi materyjalnej. Lecz w tej chwili była tak szalenie zniechęcona, że nie miała ochoty łamać sobie głowy nad znalezieniem środków długiej egzystencji w Zakopanem.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

— Wyjadę! — pomyślała — wyjadę! To będzie najrozumniej. Jeżeli dalej mam być tak zdenerwowana, to należy ztąd uciekać.

Stała przed oknem i spojrzała ku górom, mdlejącym w upojeniu sennem.

— To te przeklęte góry!... one mnie tak denerwują!...

Ogarnęła okiem drobiazgi, porozrzucane w pokoju.

— Spakuję do jutra... wyjadę!...

I znów myślą pobiegła ku drzwiom pokoju Porzyckiego.

— Po co ta kobieta go nachodzi? Dlaczego nie pozostawi go w spokoju? Czy tak być powinno? Nie ma nawet poczucia przyzwoitości! Jeżeli Pita będzie wracała przez dziedziniec, a u Porzyckiego okno otwarte... Bóg wie, co może posłyszeć...

I zaraz sformowało się w niej pragnienie.

— Pójdę, zobaczę...

Znów się usprawiedliwia, że czyni to jedynie ze względu na moralność Pity.

Wychodzi cicho przez sieni i przesuwa się ku szopie gaździny, niby szukając Wikty.

Rzeczywiście okno mieszkania Porzyckiego jest na rozcień otwarte i nawet niezastłonięte firanką. Widać doskonale siedzącą tyłem do okna w kapeluszu czarno ubraną kobietę. Porzycki chodzi po pokoju i mówi coś głośno z ożywieniem.

Wyrazów dosłyszeć nie można, ale z tonu widać, że aktor jest w bardzo dobrym usposobieniu i że mówi z zapalem i wielkim ożywieniem. Kobieta odpowiada mu spokojnie, przyjaźnie. Łatwo Tuśka poznaje w niej Sznapsię.

Tuśka wchodzi do szopy, lecz nie zastaje w niej nikogo. Rada z tego, powraca do domu i wchodzi do swego pokoju trochę uspokojona. Wstyd jej prawie za poprzednie zdenerwowanie. Ta rozmowa daleka, przyjacielska tych dwojga dawnych kochanków nie zawiera w sobie żadnych cech namiętności.

Przyjacielska!...

Tak—lecz jeśli Sznapsia jest w stanie godziny całe mówić z Porzyckim, jeżeli on tak jest ożywiony w tej rozmowie — to znaczy, iż on jest z tych mężczyzn, którzy koniecznie potrzebują wymiany czy to słów, czy myśli z kobietą.—Ona, Tuśka, postanowiła dzisiejszego wieczora być mu „przyjaciółką“. Tymczasem ta druga wkracza w to postanowienie.—Tuśka czuje się teraz dotknięta inaczej, choć równie silnie. Przedtem nie umiała zdać sobie sprawy ze swego wzburzenia, teraz — rozumie i wie — podnieca się więc tem silniej, i bardzo jej przykro.

Tak — przykro.

Do bólu przyznać się nie chce.

Przykro jej, że ta czarno odziana, dawna, a tak serdecznie wspomianana kochanka weszła pod ten wspólny dach, ten ich dach, gdzie znajdowali się

do tej chwili we dwoje razem z Pitą spokojnie i przyjaźnie.

Tak—przykro!

Usiadła znów przy stole i chce pisać dalej, ale nie może, szum powstał w jej głowie, zamęt, trudno jej myśli zebrać. Jedno ma tylko pragnienie, aby Pita nie weszła i nie ujrzała jej tak zdenerwowaną i smutną.

Mija jeszcze pół godziny, w czasie której Tuśka traci miarę czasu. Wreszcie drzwi od pokoju Porzyckiego otwierają się. Szelest sukni.

Krótką rozmowa.

— Bądź zdrów...

— Do widzenia.

— A więc...

— No... to od ciebie zależy.

— Ja już się rozmyśliłam.

— Odmyśl się.

Tuśka odwraca się i widzi, że drzwi jej pokoju, prowadzące do sieni, są prawie otwarte na rozcież. Szybko powstaje, aby je zamknąć, nie chcąc, aby ta nienawistna dla niej Sznapsia zajrzała do wnętrza jej niewykwintnego *interieur*.

Zbliża się, chce chwycić drzwi i jest przytem zmuszona wychylić się aż do sieni, aby dostać ręką do klamki.

I widzi.

Tak, widzi właśnie w tym samym kąciuku, w którym niegdyś widziała Józka Obidowskiego, całującego Hanke, widzi Porzyckiego, trzymającego w objęciach Sznapsię.

Oboje przyłgnęli do siebie i jego ręką, tak, jak ongi ręką górala, bieleje na ciemno odzianych plecach kobiety rozszczepionym liściem.

Z góry pada wążiuchna struga światła.

Stopy ich toną w podściółce wiór.

I oboje, tak, jak tamci poprzednio, zamieniają jakiś krótki szept...

Tuśka cicho przymyka swe drzwi i stoi oparta o ścianę z zapartym oddechem.

Przypomnieli jej najdokładniej Józka i Hanke. Przypomnieli jej także, że miłość jest to jedno, co zmian nie zna.

I przypomnieli jej słowa pełne rezygnacyi Wikty Obidowskiej:

— Ona była u niego pierwsza.

Przeszli w kilka minut obok Tuśki, oddzieleni od niej ścianą i drzwiami.

Ona stała ciągle na jednym miejscu i patrzyła przed siebie, jak spłoszony ptak.

Cóż było jednak naturalniejszego nad to, że ten człowiek zęgnął się tak miłośnie z kobietą, która była dla niego dobra i przeżyła z nim wspólnie tak długi czas.

Sezon!...

Teatralny — więc parę miesięcy...

Tak!

Lecz Tuśka sądziła, że to już wszystko zeszło tylko na stosunek przyjacielski, koleżeński, a te pocałunki...

Wolny jest, niech czyni, co chce!

Gorąco jej.

Podchodzi do stołu. Siada — zaczyna pisać list przerwany. Teraz — nienawidzi znów Zakopanego. Za cenę połowy życia chciałaby już uciec z tej chałupy, z tego ohydneho środowiska, które zaczyna sprawiać jej tyle udręczeń.

— „tylko bogaci żyć tutaj mogą, możliwie.— Pieniądze płyną, jak woda. Wolę więc przerwać kurację i wrócić do domu. Odetchnę, gdy nie zobaczę więcej tych gór obrzydłych i tego wstrętnego otoczenia, do którego nie mogę się przyzwyczaić...

Lekkie pukanie.

— Proszę wejść!

Wchodzi Porzycki uśmiechnięty, wesół, jakby rad z siebie i ze świata.

— Co porabiamy?

Ona uśmiecha się cierpko.

— Piszemy list do męża.

Aktor przybiera minę poważną.

— Bardzo dobrze. Nie przeszkadzam. Posiedzę i poczekam.

— To już skończone. Piszę mu właśnie, że chcę wyjechać.

Gdyby scenicznie ułożyła swój efekt, nie byłaby tak doskonale obmyśliła wrażenia.

Porzycki aż się cofnął.

— Dlaczego? po co?... źle pani?

W głosie jego czuje Tuska żal niespodziewany. Lecz właśnie po kobiecemu ona wzmagą ostrość swych słów i intonacji.

— Zle.

— O cóż pani chodzi? Ja do pani, jak do miodu. Smutno mi jakoś, więc idę tu po to, aby mnie pani podniosła na duchu.

Zaczęła śmiać się sarkastycznie.

— Pan smutny? Nie widać tego.

— Dlatego, że wszedłem tu uśmiechnięty? Miałem panią przerażać swoją karawaniarską miną?

— Sądziłam, że miał pan właśnie towarzystwo, które mogło pana podnieść na duchu...

Nie patrzy na niego i stara się przybrać ton mowy jak najobojętniejszy.

Ale on ma za czule aktorskie ucho, a przysięgam, że wiele wprawy w sprawach miłosnych, aby nie czuć drzeń tych samych, któremi dzwonił jej głos dzisiejszej nocy.

Patrzy na nią przenikliwie i nagle poważnieje. Twarz mu błędnie, jakby stawał w obliczu czegoś więcej seryo, przynajmniej chwilowo.

— To była moja koleżanka... przyszła w interesie. Zawiadomiła mnie, że Lwów potrzebuje tego rodzaju aktora, jak ja, i że gotowi są dać mi doskonałe warunki...

— Czy i ona tam jest angażowana?

— Sznapsia od trzech lat jest na lwowskiej scenie.

— A... rozumiem!

Zbliżył się do stołu i pochylił się nad nią.

— Nic pani nie rozumie. Sznapsia kocha się we Lwowie, w jednym urzędniku z prokuratury skarbu i może za niego nawet pójdzie. Ja obchodzę ją tylko, jako kolega.

Chce mu odpowiedzieć, że koleżeństwo nie wymaga tak gorących pożegnań, jak to, które widziała przed chwilą, ale milczy, ciągle rozgoryczona, lecz już trochę spokojniejsza.

— No... i cóż... jedzie pani?

— Do Warszawy? Jadę!

— Ja nie puszczę...

— Pan?...

Podnosi głowę i patrzy mu prosto w oczy.

Są to oczy tak piękne, tyle w nich nagromadzono łagodnego i miłego czaru, że jest jej rozpaczliwie smutno. Odwraca głowę i ukrywa ją w dłoni.

— Niech pani lepiej pojedzie do Morskiego Oka — słyszy cichy, melodyjny głos — taki cudowny czas, droga, jak po stole, wrócimy tego samego dnia. Ja zamówię i zgodzę konie... No?... co?... dobrze?...

Wziął ją za rękę.

Całuje znów jej palce długo i ciepły prąd płynie z jej ręki wzdłuż całego ciała. Chce na niego spojrzeć. Wzrok jej padł na list do męża. Doznaje akby pchnięcia sztyletu.

— No... do Morskiego Oka!... potem pani po-



Tak.

I to jest wyjście.

Pojedzie do Morskiego Oka i potem ucieknie. Wróci do Warszawy. — To będzie jedyna jasna chwila, którą sobie opromieni życie. Zaczyna w niej rodzić się jakiś bunt za takimi chwilami.

Inne kobiety mają je codzien—myśli—ja mieć będę jedną, jedyną.

I podnosi na niego wreszcie swe śliczne, błękitne oczy, bezwolne już i przepojone jego chęcią.

— Pojadę!...

On, jak dziecko, porywa się i zaczyna tańczyć po pokoju.

— Dobra nasza!...

Podbiega do okna.

— Pito! Pito!...

Dziewczynka ukazuje się w oknie.

— Co się stało?

— Jedziemy do Morskiego.

Pita, jak w ekstazie, rączki składa.

Achl!...

Lecz on zanurza ręce w powódź słońca, w której drobna jej figurka się pławi, porywa ją pod paski i z wionięciem spódniczek wrzuca ją do środka izby. Tam zaczyna tańczyć z nią walca, gwizdząc prześlicznie.

Tuśka mimowoli uśmiecha się do wirującej pary.

Ze stołu zlatują ćwiartki papieru, a między niemi i list Tuśki do męża.

„Odetchnę, gdy nie zobaczę więcej tych gór obrzydłych i tego wstrętnego otoczenia, do którego nie mogę się przyzwy...“

Fruwa kartka, fruwa w takt walca za ślicznymi nóżkami Pity, nóżkami małej baletniczki, osnutej w błękitne pończoszki i obutej w białe sznurowane buciki.

XX.

— Koło wodospadów staniemy!...

— Dobrze! Zdaję się na pana. Ja nie mam pojęcia, jak się to jedzie.

Posuwają się niezbyt śpiesznie. Dnia tego dużo pojazdów jedzie w stronę Morskiego Oka. Dzień cudowny. Szafir nieba ciemny, jednostajny. Na jego tle smreki rozpinają swe wykoronkowane, bogate ramiona.—Co chwila płaty gencyan zdają się być stawami, w których przegląda się szafir nieba,—Snieg leży tu i owdzie w ciemnych, bezsłonecznych zagięciach. I ciągle zmiany widoków, jakby jakieś duchy rozścielały mgłę kobierców, na których utkaly czarujące obrazy. Pachnie świeżością, żywicą, duszą życia, pięknem i rozmodleniem istnienia.

Od wichru halnego, jak pobojuwiska. Całe szmaty lasu stłuczone na miazgę, jakby przeleciał tędy hufiec potwornych rycerzy, walących kopytami rumaków w wyniosłe świerki.

A one—padły całe, nieugięte i teraz trupami zawałyły drogę.

Dokoła nich wachlarzami zielenią się paprocie i rosną kandelabry złotogłowiu. Wieczysta kaplica pogrzebowa, wieczysty strojny katafalk owych drzew poległych.

Powóz, w którym jedzie Tuśka, Pita i Porzycki, przystrojony cały w żółte, ogromne rumianki i paprocie. Ubrał go tak Porzycki olbrzymimi pękami, ubrał, jak na *corso* kwiatowe, bo i konie mają przy uszach pęki kwiecica, a cała buda zamieniona w jeden gaj, stanowi precudne tło dla siedzących w tyle powozu kobiet.

Obie są dnia tego *en beauté*, obie świeże i śliczne. Tuśka zwłaszcza zastanawia urodą swoją. — Rozświecił się w niej coś, odmłodziła.

Weszła w tę „drugą wiosnę“, która ironicznie zjawia się na pograniczu lata i jesieni kobiecego życia.

Dysze cała różową śliczną barwą. Usta naturalnie zarumienione rozchylają się, jakby piły nie tylko słońce, woń i kryształ powietrza, ale i tę resztę piękna z życia, jaką jeszcze pochwycić mogą.

Ubrana czarno, w owej batystowej sukni, do której dokupić musiała kapelusz i parasolkę, wzbudza nieklamany zachwyt w Porzyckim. Aktor literalnie chłonie ją oczyma. Obok niej Pita, jakby dla kontrastu, cała w bieli, w ogromnym białym kapeluszu, jest wiernym odbiciem matki.

Cały ich powóz z Porzyckim, ubranym sportowo, nadzwyczaj solidnie i elegancko, przedstawia się, wyjątkowo szykownie i zwraca ogólną uwagę.

Tuśka i Pita jadą, jak w alejach Ujazdowskich wyprostowane i pochwał żadne.

Powoli jednak poddają się urokowi przepięknego ranka. Majestat gór maleje, natomiast rozciąga się przed nimi nadzwyczaj gigantyczne po prostu rozpanoszenie się roślinnego świata. Cała droga, to jedna aleja ametystowych, topazowych i koralowych kwiatów na podłożu szmaragdowych, lub miedzianych mechów i paproci.

Niektóre gały ociekły jakby krwawą posoką. Wznoszą się, jak ofiarne ołtarze, które zostały się jeszcze w zacienionych świerkowych świątyniach. Krew rubinami w słońcu błyska. Kapłani umknęli, unosząc wybladłe ciało ofiary...

Lecz już pole całe liliowych dzwonek porusza się leciuchno, kołysane wiatrem.

Na Anioł Pański grają cichutko, duchom Tatr na chwałę...

Pita uśmiecha się ku nim przyjaźnie. Porzycki z przedziwną intuicją zgaduje, że dziecko ma w swej duszyce umiłowanie naturalnego Piękna i kilku

zrzuconemi słowami, jak kielich kwiatu, ku słońcu serce dziecka otwiera.

— Góry niestraszne? prawda Pito — zapytuje wrzescie, zasypując sukienkę dziecka gwiazdami cykoryi.

Pita bowiem przyznała mu się, że boi się gór, że ją przygniatają surowością swoją.

Przez kwiaty, przez trawy, przez ich woń świeżą i upajającą, zaznajamia się Tuśka i Pita z górą w ten poranek słoneczny. I znajomość ta powoli przenikać je zaczyna nieznanem a ciepłym uczuciem.

Całe gamy liliowych i fioletowych barw grają w zieleni traw. Pękami zwisają gencyany o lancetowatych liściach. Łęklwie różowe gwoździki mieszają się w fiolet poważny i niemal żalobny. Kielichy naparstnic, podługnie sznwały przykrywają płachty białych rumianków.

I wszystkie te bogactwa kwiatów oplatają gałęzie wijących się lian, które biegną ku białym dnom potoków, szemrzących srebrami na dole wapiennych łożysk.

Tu i owdzie, jakby studnia głęboka, obramowana masą szczawiu, to srebrzy się, to czernieje ciemną zielenią wody.

Tuśka, wsunięta w głąb powozu, co chwila spotyka oczy Porzyckiego. Zarzucona także masą kwiatów chłodzi niemi rozpalone usta i kryje po za nie ciągle rumieńce, na twarz jej bijące. Nie chciała myśleć, że jutro już cała ta wycieczka stanie się tylko wizją, minionym snem. Z całą rozkoszą zanurzała się w terażniejszość, pełną jakiegoś rozmarzenia i wielkiej słodyczy. Nie poznawała siebie. Czula, iż w tej chwili staje się przystępną dla wielu rzeczy, które przedtem dla niej nie istniały. Gwiazdy złotogłowia pieściły jej wzrok i duszę. Widział, jak Porzycki delikatnie dotykał się atlasowych liści, jak wpatrywał się z lubością w ich nad-

zwyczajne barwy. I ona zaczynała *rozumieć* piękno kwiatu i rozkosz, jaką w tem zrozumieniu znaleźć można. To była jedna z wielu tych rzeczy drobnych, a pięknych, koło których przechodziła wyniosła, obojętna. Zapragnęła podzielić się doznaniem wrażeniem z Pitą, lecz spojrzawszy na dziecko, dostrzegła, że i ona miłośnie tuli ku sobie pęki różowych gwoździków i ku nim się uśmiecha.

Przed nią z po za wachlarza olbrzymich dzwonek o brązowej, ciepłej barwie patrzy ku niej oczy Porzyckiego. Patrzy wciąż, uparcie i ona mimowoli wzrokiem odpowiada mu na tę niemą rozmowę ócz, która od początku świata jest prawdziwym Esperanto ludzkości. Sami właściwie nie wiedzą, co przesyłają ku sobie w wymianie tych spojrzeń, lecz nie wyrzekliby się ich za żadną cenę.

I tak rozkosz zagłębiania się w góry, ukochania kwiatów, wymiany spojrzeń, wstrząsających dziwnie całym systemem nerwowym, składa się na całość, pełną niezwalzonego czaru i niezapomnianego światła w szarzyźnie dziennej egzystencji.

Przy wodospadach zatrzymuje się powóz w całej gromadce już odpoczywających. Z zakładu Chramca wycieczkowcy wiodą z sobą muzykę góralską i ta rozsiadła się na belce, rzepoląc jakieś dziwnie spłątane melodye. Lecz tu—na tle smreków, przypartych do górskiej ściany, melodye płyną swoją strugą, jak te potoki, co sączą się srebrną nicią po granitowych złomach.

— Ach! muzyka!... jak dobrze!... — woła Porzycki—teraz już nie nie brakuje...

— Och... muzyka!...

— Pst... niech pani tak nie mówi. Niech pani odejdzie w bok, odwróci się od nich, aby nie widzieć ich otoczenia, wyśle całą swą duszę przed siebie, w zleby, w turnie, w piargi, w upłazy—i niech pani pozwoli, aby cię ta muzyka poniosła taką rozmyśloną w dal...

— No — no — proszę to zrobić... no!...

Ujął ją pod łokieć, Piłę za rękę i odprowadził duży kawałek drogi, idąc stromą ścieżką w dół.

— Gdzie pani ich już słyszała?

— W teatrze!

— Otóż to... gdy grali wyjątki z „Trubadura“, albo „rach, ciach, ciach“!... I pani chce mieć o nich pojęcie.

Wśród limb i smreków zatrzymał się.

Granie dolatywało z oddali.

— A no? a no? — zapytał.

I było w tej nutce zawrotnej a dziwnej coś nadzwyczajnego, coś co duszę człowiekowi z piersi wypróbowało i rwało ku gorze — jak ono „hej!...“ góralskie.

Cała dusza, cała dusza się w tem wypowiada i ze swym smutkiem i ze swą bolesną wesołością, co w pustkę, jak zbłąkany ptak leci.

I dziw nad dziwy!

Niby to góralscy grają na gęślikach i tak swoje piosnki rozżalają, albo rozwichrzają w górskie czary.

Niby to oni jedni bez słów się skarżą, tęsknią, natrzęsają się, ugwarzają, do lotu śmiertelnego gotują...

Niby to oni jedni potrzęsają swe kółka u ciupagi i szeleszczą skrzydłami rozwianych guń.

Niby to oni jedni zawierają wrota swych halnych szafasów i potrącają o kotły, ciemniejące nad rubinem paleniska.

Niby w tej piosence zebrała się cała dusza ich.

A przecież...

Dlaczego Tuškę, dlaczego Piłę, dlaczego Porzyckiego chwytła smętek dziwny, chęć wspięcia się

na szczyty i wyplakania tam czegoś, co pod sercem udęcza?

Zwłaszcza... Tuškę.

Od wczoraj tak ją dławi.

A ta cichutka nuta, wijąca się nad nią po koronkach smreków, rozwiewająca wachlarze paproci, kołysząca liliowe płatki dzwonek i rozciągająca jej duszę na strunach gęślików, przyczynia się niemało do czegoś, co niby żar zaczyna jej palić powieki.

Pita odchodzi parę kroków, aby zerwać kilka kwiatów złotogłowiu.

Porzycki zbliża się ku Tušce.

— No... no... więcej...

Nie patrzy na niego — milczy, taka śliczna w swej czarnej sukni, jakby cień przywiany zdala pomiędzy kolumny drzew.

— Coś tam pod sercem świdruje? prawda? — pyta Porzycki.

Głową tylko skinęła.

Za rękę ją ujął, w oczy chce zajrzeć.

— Proszę na mnie spojrzeć...

Aby przerwać czar, Tuška broni się uparcie.

— Nie! nie — proszę mnie puścić!...

Zaczyna się nawet śmiać z przymusem.

On puszcza jej rękę, mówiąc:

— To nic! to przyjdzie — początek jest... nie pomyliłem się.

— W czym?

— Że w pani jest na dnię więcej, niż sama przypuszczasz.

— Zkąd pan to wiedzieć możesz?

— Bo pani zaczyna odczuwać piękno gór.

— No...

— Pst! nie mówić nic. Być szczerą, pozwolić sobie na zbytek szczerości. Zrzucić pancierz, maskę i wdychać w siebie to, co ku pani płynie...

— Wszystko!...

— I moje uwielbienie.

Znów jej rękę szuka.

Ona prawie rozpaczliwie woła.

— Pito! Pito!...

Popatrzył na nią prawie nieprzychylnie.

— Och! zastawianie się obecnością dziecka, jakież to banalne.

— Banalniejsze to, co pan robisz.

— Że uwielbiam?

— Nie, lecz, że mi pan o tem mówisz!

Pita zbliżyła się.

— Chodź mała!... — wyrzekł Porzycki — w tobie, zdaje się, nie rozrósł się jeszcze z takim przepechem chwast nieszczerości... Chodź! pójdziemy po paprocie!

Pita uczepliła się ramienia aktora. Szybko, zręcznie zaczęli zsuwać się na dół.

Tuška patrzyła na nich, jak tonęli w szmaragdach paproci i wynurzali się z nich jasnymi sylwetkami.

Gęśliki grały ciągle swą dziwną, tęskną i zawrotną melodyę.

I wówczas w źrenicach Tuški zamigotały łzy.

Jakby się ich zawstydzila sama przed sobą, szybko podniosła rękę i rozgniotła je na brzegu powiek.

Nie mniej fakt był faktem.

— Tuška — płakała.

Gęśliki płakały i wyplakały na oczy tej strojnej czarno ubranej pani dwie nieśmiałe palące, drobne łzy.

.....

— Zostańmy tu na noc!

— Na noc?

— Tak! — przespać się można względnie znośnie. Rano zobaczymy wschód słońca. Dziś nawet

nastroju wywołać niepodobna. Za wiele ludzi...  
A ja chcę, żeby pani pokochała Morskie Oko!

— Ależ!...

— Co? ależ... o co chodzi? Puder pani ma przy sobie, a to grunt. A więc...

Pita nic nie mówi, ale aż cienkie nozdrza jej noska drgają, tak bardzo pragnie nocować przy tem Morskiem Oku.

Tuśka zamysła się.

Czy może to uczynić? Wszak w tem niema nic złego. Widzi, iż kilka osób przygotowuje się do przenocowania. Nie wie jednak, dlaczego przez umysł jej przesuwa się pani Warchlakowska i jej córeczki, które w całym komplecie z werandy swojej asystowały ich wyjazdowi do Morskiego Oka.

Odsuwa jednak tę myśl, natomiast to drugie nęcące i mile opanowywa ją całą siłą.

I tak przecież ma zamiar odjechać zaraz po powrocie z wycieczki.

Spogląda więc z kłopotliwym wahaniem na siedzącego naprzeciw niej Porzyckiego.

— Czy ja wiem?... — mówi, a jej spojrzenie, uśmiech zdają się prosić go, aby nalegał, zachęcał.

W lot chwyta on jej myśl.

— Ale ja wiem... to jest my wiemy — Pita i ja, skoro pani mama nie może się zdecydować. Pędzę — zamawiam dwa pokoje — mój na drugim końcu domu... dla przyzwoitości. Rano — przysyłam paniom kawę — i zapraszam mamę na wschód słońca. Pituchna zostanie w łóżeczku, bo będzie ziuziu.

Porwał się od stołu, o mało nie przewrócił kawy, rozrzucił całe snopy kwiatów, które obłożyła się Pita i zniknął w czeluściach hoteliku, z kądem buchaly wonie pieczonej cielęciny, kawy i śmiechy dziewcząt, oraz wchodzących i wychodzących ciągle turystów.

Tuśka czuła się ogromnie znużona fizycznie tym dniem niezwykłym, który ukształtował się obecnie w jej sercu dziwnie, jako połączenie nadzwyczajnego szczęścia i rozpaczliwego, prawie bezdenne smutku. Wszystko to jest w niej mgliste jeszcze — niejasne, ale już jest, już ją dławi i męczy.

Pita wstała od stołu i wzięwszy resztki bułki, poszła po za werandę karmić chude kury. Tuśka powiodła za nią wzrokiem.

Wybornie dostrzegła, iż Pita od chwili zbliżenia się do nich Porzyckiego traci powoli swój piękny układ, że zaczyna się robić jakaś inna, gesty jej są jakby rozluźnione, śmiech głośniejszy, włosy mniej gładkie i chód skaczący chwilami, jak u młodej kozy. Nie robi jej jednak karcących uwag, bo lęka się ściągnąć ironii ze strony Porzyckiego, a przytem czuje się sama znużona i na takim rozdrożu!

Dokoła niej powoli pustoszeje weranda.

Co chwila powstaje jakaś grupa turystów i z hałasem i szumem zabiera się do odjazdu. Dziewczyny usługujące zbierają ze stołów szklanki po herbacie, kawie i kufle od piwa. Dzieci kapryszą, zmęczone i senne. Słychać ciągle nawoływania górali, kręcących się dokoła koni. Z turkotem zajeżdżają powozy i furki. Na jednej z nich lokuje się trochę pijana orkiestra, podśpiewując i wydając niezrozumiałe okrzyki.

Tuśka mętnemi oczyma patrzy na ten ruch — na słońce, które już strzela tylko ostatnimi promieniami, na te grupy zapóźnionych turystów, wybiegających co chwila z gardzieli, wiodącej od podjazdu ku Morskiemu Oku.

Jak sala cyrkowa, tak ukryło się to „Morskie“ i kurytarzem wązkim do niego piąć się trzeba, lub schodzić od niego, jakby po ukończonem widowisku scenicznym.

Tuśka ma oczy pełne szafirowo-zielonej drżającej wody, drżącej bezustannie srebrną siatką, bie-

gnącą błyskotliwie ku brzegom. Nie widzi już teraz nic, prócz tej siatki, tej lśniącej łuski, podobnej do grzbietów jakichś dziwnej piękności ryb, igrających pod powierzchnią wody. I jeszcze pozostały jej w pamięci limby—ciche, spokojne jakies, arystokratyczne i eleganckie. Po za tem nie wie—nic. Przytłoczyła ją masa wrażeń i oczy Porzyckiego, tak uparcie w nią przez całą drogę wpa-trzone...

Teraz z uczuciem ulgi myśli, iż odpocznie noc całą i nie będzie potrzebowała wracać natychmiast.

Na werandzie powoli zapanowała cisza. Pojazdy odjechały jeden za drugim.

Jakies dwie grupy osób nocują i już zabierają się do spoczynku. Są to piesi turyści i widać, że są nadzwyczaj zmęczeni. Nie nadrabiają nawet miną.

Jeden z nich usiadł bez ceremonii na ławeczce przed restauracją, wyciągnął nogi i klnie zapamiętale:

— A niech mnie dyabli!... a niech mnie dyabli!...

Jakaś panna drobna i szczupła, w męskiej dzo-  
kierce i granatowej bluzce przedrzeźnia go, powta-  
rzając:

— A niech mnie dyabli!...

Słońce zaszło już zupełnie.

Ostry chłód powiał. Noc nadchodziła szybko, ciemna i bezksiężycowa. Nie zapadała z góry, lecz zdawała się wysuwać z pod ziemi czarnym, zimnym wałem.

Gasło światło i rozradowanie życiowe. Coś chmurnego, ponurego wypelzało dokoła ludzi. Nawet Pita cichutko i jakoś posepnie wysunęła się z za węgla domu i przy matce usiadła, tuląc się w swój granatowy żakiecik.

Góry upomniały się o swe prawa. Roztoczyły grozę i siłę, którą ukryły przebiegle w gąszczu kwiatów.

Rozsypały je na Tuškę i Pitę, jakby na powitanie, uwiły z nich łuk tryumfalny nad ich głowami, lecz teraz mściły się, stając nagle czarne i pełne grozy naprzeciw strwożonych ich chłodem i ogromem mieszczanek.

Była w tem igraszka potworów, ukrywających się się za dnia w jarach różowych od wrzosów i białych od pni rozszemranych brzoź.

O zmierzchu potwory podnosiły się z legowisk i w całym swym majestacie wznosiły się olbrzymie i napozór niezwalzone.

W głębi swych cielsk miały już próchno rozkładu, rozlatywały się i one miałem z każdym podmuchem wichru, lecz ich śmiertelność zdawała się nieśmiertelnością wobec śmiesznej nędzy ludzkiego istnienia.

Po raz pierwszy może tchnienie i poczucie własnej nicości przenikło duszę Tuški i duszyczkę Pity.

U kobiety zarysowało się silniej, wyraźniej targnęło nią i przejęło rozpaczliwą melancholią.

U dziecka była to mglistość cmentarnych oparów, po za którymi wyczuwa się istnienie czegoś ogromnie smutnego, a przecież nieuniknionego.

Ciche, zdrętwiałe, strwożone siedzą Tuška i Pita, a dokoła nich więdną pęki górskiego kwiecica, które już nadlatującej z nocą grozy, właściwej górom, zasłonić nie są w stanie.

## XXI.

— Puk!... Puk!...  
Zerwała się Tuška.  
Zerwała się Pita.

— Proszę... niech pani wstaje. Lada chwila wzejdzie.

— Dobrze... zaraz...

Pełnemi rękoma, jak żniwiarka klosy, tak ona odgarnia swe jasne włosy od twarzy. Chłód ją przesywa. Lecz niema ochoty położyć się w ciepłe łóżko. Przeciwnie, aż drży cała od chęci wybiegnięcia przed dom i spotkania się z Porzyckim w chwili wschodzącego słońca.

— I to jeszcze! — myśli — i to zabiorę z sobą do Warszawy jako wspomnienie z tej wycieczki.

W nocy śniła o nim prawie ciągle. Zjawiał się jej na tle gór, to znów płynął ku niej po szafirowo zielonej głębi, cały spowity w srebrną drgającą łuskę. Nad ranem, gdy zbudził ją głos aktora, zdawało się jej, że śni tylko dalej — nic więcej.

Pita trochę zadąsana leżała w łóżku.

— Mamusiu!... — wyrzekła wreszcie cicho i widocznie siłąc się na grzeczność — czy mamusia nie byłaby tak łaskawa, aby i mnie z sobą zabrać?

Po raz pierwszy Pita objawiała jakieś życzenie.

Do tej chwili na ulicy Wareckiej nie znano życzenia dzieci. One tylko grzecznie wypełniały życzenia rodziców.

Tuśka już ubrana, upudrowana, w zakiecie, w jakimś apokaliptycznym zwierzu, zarzuconym na ramiona i spiętym pod szyję, odwróciła się ku córce, siedzącej wśród koców i kołder.

— Nie — mogłabyś się przeziębici.

— Ja się ciepło ubiorę.

— Pito!... co to znaczy?

Tuśka zmarszczyła brwi i zmierzyła córkę ostrem spojrzeniem.

Lecz mała wytrzymała to spojrzenie ze zdumiewającą energią.

— Ja też chcę iść!..

To słowo „chcę“ — przeraziło literalnie Tuśkę. Był to jakby dalszy ciąg rozwiczonych gestów i tego jakby rozluźnienia silnie zcementowanych dobrem wychowaniem manier Pity.

Lecz z sieni doleciał głos Porzyckiego:

— Pani Tuśko!... słońce nie będzie czekało!...

Tuśka zgasiła świecę i wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Klucz wzięła do torebki i szła, ciągle zmieszana zachowaniem się Pity. Czula, iż źle zrobiła, nie skarciwszy dziecka za niebawale znalezienie się. Lecz — coś ją wstrzymywało. Coś niepojętego, a w głębi jej tak niewyraźnie nurtującego, iż zrozumieć nawet nie mogła.

W sieni spotyka Porzyckiego. Przeczuwa go raczej, bo ciemno jest zupełnie. On — bierze ją za rękę nerwowo, szybko, niecierpliwie, jakby doczekać się jej nie mógł.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!...

Tuśka ma wrażenie, jakby Porzycki wahał się, jakby chciał wzmocnić czemś to powitanie i zbiera ją lek. Posuwa się ku drzwiom. Szuka nerwowo klamki. W trakcie tego czuje, że jego ramię próbuje otoczyć jej kibić. Zanim jednak to nastąpiło, Tuśka znajduje klamkę i otwiera drzwi od sieni.

Przenikliwy chłód owiewa ją całą.

Wchodzi w jakąś szarość dziwną, nikłą, bezjaśną. Niebo, jak klosz szklany, pokrywa wszystko. Turnie aż sine, tak są szare i niewyraźne.

Odwraca się ku Porzyckiemu:

— Gdzież to słońce?...

— Czekają, aż pani wyjść raczy. Za chwilę podniosą kurtynę. Służę!...

Jest wyspany, zdrowy, widocznie zlany zimną wodą i pełen jakiejś nadziei. Aż bije to od niego i udziela się Tuśce. Chwyta ją pod rękę.

— *En avant!*... — wola z fantazją.

Biegna pod górę po kamieniach, jak dwoje dzieci.

— Mało publiczności!...

— Tem lepiej!...

Ucieszył się.

— Jaka pani dobra—dziękujemy pani!

— Kto — my?

— Ja... reżyser, i słońce — prymadonna.

Mają już wybiedz na szczyt ścieżki, zkąd widać Morskie Oko.

Zatrzymuje ją i otula troskliwie. Zapina apokaliptyczne zwierzę, obciąża rękawy żakietu.

— Jak się to ubrało...—mówi—jak na spacer po Nowym Świecie. Przeziębci mi się, zachoruje.

Jest tyle czułości w jego głosie, że Tuškę ogarnia nieznanne jej uczucie.

Nikt do niej tak nigdy nie mówił.

Mąż zapytuje ją czasem: „Nie zimno ci?“—torem obojętnym, zapinając szczelnie swoje palto pod szyję, ale któż zdoła oddać słodycz tego tonu, troszczącego się o nią, jak o małe dziecko?

— Nie, nie — ciepło mi!... dziękuję!

— A spało dobrze?

— Dobrze!

— A śniło o mnie?

Rumieniec oblewa twarz Tuški.

— No... no...

— Tak!

— To ślicznie. A teraz—do słońca!...

I znów biegna, zlatują na dół, aż wreszcie zatrzymują się koło wielkich głazów, przy których drzemią trawy.

— Tu czekać będziemy.

Siadają oboje na głazie. Jego ręka wsparła się o kamień za jej plecami, tak, że łopatkami ona dotyka jego ramienia. Siedzą nieporuszeni, on trochę cofnięty za nią, wpatrzony w śliczną linię jej włosów.

Tuška—patrzy.

Tak — teraz, gdy wypoczęła, widzi lepiej, jest podatniejsza do przyjęcia wrażeń.

A wrażenia te podwajają się z nadzwyczajną siłą.

Przedewszystkiem to, co widzi w tej chwili, jest zupełnie inne od tego, z czem zasnęła wczorajszego wieczora. Wczoraj Morskie Oko srebrzyło się, drgało bezustannie, rozigrane, ruchliwe, zaledwie po brzegach trochę nieruchome i powagę zachowujące. Dziś zda się być martwe, szklane, zakłętą w nieruchomość bajeczną. I tylko w głębiny zdają się wyrastać nowe turnie, skały, limby—wszystko zapadłe w głębie, przeczyste w odbiciu, bezbarwne i rozlane.

Tylko leciuchna mgła paruje ku górze, ptakiem się ściele, rozpina bezszumnie skrzydła, opada znów ku wodzie i niknie w tafli szklanej, nie pozostawiając nawet oparu, nie mając jej czystości.

Tuška trochę zdziwiona zwraca się ku Porzyckiemu.

— Gdzież słońce?

— W naszych duszach—brzmi odpowiedź.

— Pan żartuje.

— Wcale nie. Mnie bez słońca dziś tak słonecznie, że mógłbym tu rozświetlić całe Tatry... A pani?... no!... odpowiedzieć! Być raz sobą, a nie drewnianym manekinem...

— Co pan chce, żebym mu powiedziała?

— Czy i jej słonecznie?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem. Słonecznie jej, i ciepło, i miło, i dobrze. A kto to sprawił? On—bo stara się, aby ono wreszcie zrozumiało, że drewnem po świecie chodzić to życie marnować. Czemu ono jest takie?



Tuśka sama zaczyna się zastanawiać, dlaczego właściwie ona jest rzeczywiście taka „drewniana“.

— Taki u nas panuje ton!... — mówi wreszcie, pocierając czoło, jakby zbierała wspomnienia — wszyscy jesteście tacy... dzieci... mąż.

— To idzie od was... od rodziców, z góry. Czemu wy się nie kochacie?

— My?

— No—tak—wy. Cała wasza paczka.

— Ależ my się kochamy.

— Tak na chłodno. W drewniany sposób. I to się potem na dzieciach odbija.

Ton jego spoważniał.

— Skoro tak mówimy szczerze — zaczął znowu—to ja pani powiem wielką prawdę, tylko proszę się nie obrazić.

Wyprostowała się, jakby za nadejściem nieprzyjaciela.

— Jeśli to co nieprzyzwoitego...

— Tylko ludzie nieprzyzwoici widzą w rzeczach naturalnych nieprzyzwoitość. Więc niech pani słucha. Są różne dzieci... Dzieci serca, dzieci krwi, dzieci obowiązku. Te ostatnie są najbiedniejsze. Są—drewniane. Najszczęśliwsze są dzieci serca.

Zawiesił głos i dodał z przesliczną prostotą:

— Ja jestem dzieckiem serca!

— A ja?...

— Pani musiałaś być właśnie dzieckiem obowiązku z pewną nieznaną domieszką krwi. Ale życie zatarło wszystko, i dziś pani dzieci są już czystymi dziećmi obowiązku. Dlatego są takie skryte, nieufne, milczące, obowiązkowe i grzeczne. Pani tego nie czuje? co?

Tuśka milczała chwilę.

— Może...—wyrzekła wreszcie — może pan ma i rację, ale...

— Co ale? Pani powie, że tak lepiej? że żyć sercem nie warto? że oszczędza się dzieciom i so-

bie zawodów? Ależ pani jest poprostu ślepa! Pani nie wie, co to jest kochać i być kochanym — jakkolwiek... Czy w rodzinie, czy przy obcych, czy przez rzeczy martwe, czy przez takie słońce...

Ręką ukazał jej szczyty Mięgoszowieckiej turni. — O!... ja kocham to słońce i ono mnie kocha...

Tuśka podniosła oczy i spotkała się wzrokiem z tak wielkim czarem, że aż ku niemu zadrgało coś leciuchno w jej piersi.

Wędrownie, blade góry zarysowały się purpurową przepyszną linią na mleczno - białym niebie. Każda zastona, każdy szczyt, obwiedziony purpurą, zdawał się opalem drogocennym, oprawnym w pasek gorejącego żelaza.

Po za tem ani śladu jeszcze słońca, tylko ten przeblysk purpurowy, gorący i krwawy.

— Widzi pani? Widzi pani?

— Tak!

Nie odpowiedziała mu jeszcze nic, kryjąc pół twarzy w futerko, choć wicher nie powiewał, a dookoła panowała taka uroczysta cisza, że dech w piersiach zamierał.

I w Tuśkę wstępuje przeświadczenie, że stanie się coś wielkiego, coś pięknego, coś, przed czem przechodziła życie całe nie wiedząc, że można wziąć udział w takiej wielkiej chwili.

Wziąć udział!

Bo Tuśka nie czuje się być „widzem“ — ona sama niejako budzi się razem z tem dźwigającym się słońcem i bramuje się tak purpurą linii, jak owe wirchy wysoko na tle lekko krwawiącego się już nieba.

W tej chwili dopiero dostrzega Tuśka, że to, co brała za zatopienie się w szarości i bieli—to był szron, który krystalicznie pokrył mchy, kosodrzewinę, limby, upłazy—wszystko. I nagle rozczzerwieniło się niebo, a od Żabiego ptakiem o szafirowem sercu

i brylantowych skrzydłach wzbilo się z przerażającą szybkością słońce.

— O!...—zawołała mimowoli Tuśka.

Przechyliła w tył głowę i piła te promienie, które zaczynały gnać cienie jakies, nagle wykwitte plamami po stokach gór. Cienie te osuwały się ku wodzie i, wpadając w nią, nadawały jej coraz wspólniejszą, coraz czarniejszą barwę...

Ręka Porzyckiego chwytła rękę Tuśki.

— Patrz! patrz!...

Jakby od góry, od tych skrzydeł słonecznych nagle wstrząśniętych, sypie się deszcz brylantów na skały. Migocze się, zapala się, gra szafirem, rubinem, szmaragdem, tęczą. To szron topnieje i rosą wszystko ocieka. Brylanty te zaczynają spływać strumykami migocącymi ku wodzie i oto woda już zupełnie czarna—porusza się—żyje...

Lekko, leciuchno marszczą się fale.

Zakłete, ciche, nieruchome odbicie skał, limb, smreków, upłazów, mąci się i ginie. Natomiast brylanty rosy wypływają na załamach fal.

Luska świetlana, srebrna, drżąca zaczyna płynąć ku Tuśce, jakby zapędzana niewidzialnym wioślem, lub podmuchem anielskiego skrzydła.

Do jej stóp... do jej stóp...

Pochyla się ku niej Porzycki.

— No... kocha słońce?...

W oczach jego migocą takie same brylanty, jak na powierzchni wody.

Uśmiecha się do niego, do tych słonecznych piękności, które drgają w głębi jego źrenic.

— A jego kocha?... — pyta dalej Porzycki.

Przymyka oczy—nie odpowiada.

On nie nalega — powstaje nawet z kamienia i patrzy jeszcze chwilę na wodę.

Tuśka w tej chwili doznaje wrażenia, że zadał jej to pytanie ostatnie bezwiednie prawie...

— Chodźmy! — mówi Porzycki, podając jej ramię:—co najpiękniejsze jużśmy widzieli.

Tuśka powstaje i opuszcza Morskie Oko, nie oglądając się po za siebie. Czyni to dlatego, ażeby udowodnić przed sobą, iż ta chwila nie jest znów tą wielką chwilą jej życia.

A przecież...

W milczeniu dochodzą do hotelu, przed którym panuje cisza zupełna.

Wchodzą do sieni, i już przy drzwiach, prowadzących do pokoju zajmowanego przez Pitę i Tuśkę, zatrzymują się.

— Bardzo pani senna? — pyta troskliwie Porzycki.

— Nie! — mówi trochę rozczarowana.

Jest tak rozkołysana, rozbrylantowana, że to nawet ciepłe troszczenie się o jej stan fizyczny, tak miłe poprzednio, wytrąca ją z równowagi.

— Za pół godziny możemy jechać? prawda?

— Tak — możemy! — odpowiada machinalnie.

Odwraca się, ażeby włożyć klucze w zamek, gdy nagle czuje, że Porzycki zbliżył się i ustami przylgnął do jej włosów, wysoko podniesionych na karku i odsłoniętych pomiędzy futerkiem boa a rondem kapelusza.

Przerażona, wstrząśnięta do głębi, przekręca klucz, otwiera drzwi i wpada do wnętrza pokoju.

Z po za drzwi słyszy jego głos:

— A więc za pół godziny?...

Chce odwrócić się, powiedzieć mu jakieś słowo rozżalenia, gniewu, ale spotyka się z oczyma Pity, która ubrana, umyta, uczesana siedzi przy stole, otulona pledem.

Te oczy mają w sobie tyle nieokreślonego wyrazu, iż Tuśka rzuca w stronę sieni grzeczne i obłudne:

— Tak! za pół godziny!... Dziękuję panu!...

## XXII.

Powracają w zupełnie innym nastroju, niż jechali poprzednio.

Jeden Porzycki zachowuje równowagę. Nie zrywa jednak kwiatów i nie stroi powozu.

— Nie należy się powtarzać w efektach—mówi, śmiejąc się, do Pity.

Mała jest ciągle nadąsana i choć pokrywa to nadąsanie wrodzoną grzecznością, niemniej czuć przecież niechęć do tej wycieczki, na której była odsunięta od uczestniczenia w najpiękniejszej jej części.

Tuśka czuje wybornie ten stan usposobienia córki.

Słowa Porzyckiego, wypowiedziane do niej nadstawem, kielkują teraz z coraz większą siłą.

— Tak — dziecko obowiązku!—myśli—on miał słusność. W tej chwili naprzykład w jej sercu wre przeciw mnie bunt, a obowiązek każe jej milczeć, więc milczy, ale to nie dlatego, aby mi nie sprawić przykrości, lecz dlatego, ażeby nie wykroczyć przeciw obowiązkowi...

Gorycz przepelnia duszę Tuśki. Patrzy na Porzyckiego, na jego swobodę, wesolość. On nie czuje nawet, jak boleśnie dotknął w niej godność kobiecą tym pocałunkiem rzuconym, jakby ze swawoli! Do

tej chwili ona ma nerwowe wrażenie, iż usta jego wpiły się w jej włosy, i to wrażenie przejmuje ją bólem, wstydem, przerażeniem.

On zaś nie zdaje się nawet pamiętać, że zaszło pomiędzy nimi coś tak ważnego, coś, co zniszczy zupełnie zakres przyjaźni, którym ona tak pracowicie stara się upozorować swoje dla niego uczucie.

Nie innego, tylko—należy wyjechać. Czemprejdek wyjechać z tego Zakopanego, w którym tkwią jakieś czary, rzucające na jej spokojne życie cień niepokoju.

Postanowienie przyspieszenia wyjazdu sprawia jej duży ból, ale zarazem pozwala jej nabrać pewnej swobody.

Skoro za dni kilka i on, i ten nieszczęsny pocałunek znikną z jej pamięci, dlaczego ma znów zatruwać sobie te ostatnie chwile, które mogą być dla niej względnie i miłe i przyjemne?

W takim usposobieniu dojeżdżają do wodospadów. Jest tutaj pustka zupełna. Za wcześniej jeszcze na turystów zakopańskich, którzy dopiero koło południa do wodospadów przybywają.

Niema „gęśliczków“, cisza panuje zupełna.

Porzycki wyskakuje z powozu i zaczyna z wprawą wielką przyrządzać zabrane z restauracji zapasy. Wydziela porcyę góralowi woźnicy, nadąsanej Picie wlewa przemocą w gardło trochę wina, Tuśce na klęczkach ofiarowuje bułkę z szynką.

Wicher od czasu do czasu szumi gałęziami smreków. Słońce ściele się złotą strugą po drodze, a srebrem nabija śnieżne fale wodospadów.

W wykrotach wdzieczą się przytulone do nich dzwonki, gencyany kiściami ku ziemi się chyłają.

— Chodź, Pito!... pójdziemy się przejść — mówi Tuśka do córki.

Mała odpowiada uprzejmie:

— Dziękuję mamusi. Ja posiedzę w powozie.

— Dlaczego? głowa cię boli?

— Trochę!

„Och, Pito“.

„Co ci to“?—dekluje Porzycki.

Ale Pita nie raczyła się uśmiechnąć. Stuliła usteczka, zakiet narzuciła na ramionka, wyciągnęła nożki i jak mały sfinksik — siedzi, patrzy i milczy.

— Chodźmy sami—wyrokuje aktor.

Tuśka ma ochotę cofnąć się od tego spaceru, ale badający wzrok Pity skłania ją do pójścia.

— Pomyśli Bóg wie, co — myśli, schodząc w paprocie—a wreszcie muszę Porzyckiemu powiedzieć, co myślę o jego postępkach.

Ale nic mu nie mówi, pomimo, że uszli już dość daleko, i Pita nic ani słyszeć, ani widzieć nie może. On idzie za nią i przez zęby udaje wybornie świegot ptaka. Tuśka czuje, iż najzupełniej niewłaściwie będzie wpaść z tragiczną miną obrażonej godności w tę swobodę i lekkomyślność mężczyzny, dla którego widocznie ów pocałunek nie miał znów tak wielkiej wagi.

— Co począć?—myśli — co począć? jak zacząć i jak to powiedzieć, aby się nie okazać śmieszną?...

Weszli w ciemną stronę lasu, pomiędzy wykroty odarte z kory, z pod których sterczą grzędami kaczeńce. Jakiś chłód aż niesie od jaworów i świerków, ciężących masą igliwia ku ziemi. Zdaleka dolatuje szum wodospadu.

Czasem zarzy koń przy powozie, i słyhać jakiś jakby jęk, jakby śmiech hulający po lesie.

I cisza, i chłód, i ciemnia rozkoszna.

Tuśka zatrzymuje się przy jednym pnium zielonym. Siada i ciągle myśli, jak ma zacząć to, co *powinna* mu powiedzieć. I ciągle nie znajduje słów.

On natomiast przysiadł na mchu u jej stóp.

— Jak Hamlet!—mówi, śmiejąc się i zdejmując uważnie igły sosnowe ze swych brązowo-zielonych pończoch.

I nagle zapytuje:

— Czemu Pita zła?

— Ma żal, że nie wzięliśmy jej na ów wschód słońca.

— To pretensya!... Trzeba ją było wyklapsać, a potem ucałować. A tak będziecie się boczyły na siebie Bóg wie dokąd.

— Bić taką dużą dziewczynę!

— Wielka opera!

— Dzieci wogóle się nie bije.

— Albo to prawda? Biję się, kocha, całuje, tuli, stawia do kąta, kołysze... wszystko to serce dyktuje. Tylko, że to u was... to...

— To... co?

— No, nic, już o tem mówiliśmy. Niech-no pani zmieni system wychowania dzieci, bo to dla nich na dalsze życie będzie zabójcze. Niech się w którym z nich obudzi kiedy trochę serca i zapragnie nawzajem serca... co będzie?

Milczała.

— Bo jedno niech pani pamięta. Ktoś, co sam serca w sobie nie pielęgnował, naprózno będzie o nie kołatał do innych... Rozumie mnie pani?

Nie odpowiada mu, ale rozumieć zaczyna.

I to także wie, że nie sposób teraz czynić mu wymówki za ów pocałunek—jemu, który tak poważnie daje jej rady co do wychowania dzieci.

Byłoby to śmieszne i nie na miejscu. Gdyby rozpoczął znów ataki, wtedy miałyby pretekst. Ale pierwsza przypominając to, o czem on zdaje się zapomniał, czy nie zrobiłaby wrażenia, iż po prostu chce powtórzenia całej poprzedniej sceny?

— Lepiej może, gdy puszcze to w niepamięć—postanawia—i udam, że nie przywiązuję żadnej do tego wagi, jak on...

— Niech-no pani zbliży się trochę do Pity—zaczyna znów Porzycki — to taka cudowna istotka. Szkoda, żeby stała się drewnianą lalką... Może i sa-

ma być szczęśliwą, i innym dać szczęście... A potem i dla pani będzie lepiej. Przecież pani musi czuć się strasznie smutną chwilami, jeżeli wszyscy tam u was jesteście takie *mumie egipskie*—co?

Nazrywał mchów, dziwnie różowo kwitnących, i delikatnie przetyka niemi koronkowe wstawki, któremi dół jej sukni jest przystrojony.

Tuśka szybko, jak błyskawica, czyni z sobą obrachunek życia i widzi zupełnie jasno, że często czuła się bardzo zdenerwowaną, a w nocy zwłaszcza budzi się z uczuciem strasznym samotności i sercem ogromnie ścieśnionem. Teraz rozumie, dlaczego jej tak było. Za wiele obowiązku, za mało serca.

— Tak...—odpowiada cicho—tak!...

— Co tak?

— Było mi smutno.

— No... więc. Czemu sobie życie zatruwać? To jakby ktoś mógł w piecu zapalić, a siedział w zimnie i marzył. Ja miałem bardzo miłe dzieciństwo. Moi rodzice strasznie się kochali. Widziałem ich zawsze całujących się i mających sobie coś do szepotania. Nie... nie... oni nie byli z drewna ani względem siebie, ani względem mnie.

Zamyślił się chwileczkę i dodał:

— Bardzo, bardzośmy się wszyscy troje kochali!

Tuśka stawała się coraz niepewniejsza.

— A dziś... — ciągnie dalej Porzycki—dziś rezultat ten jest, że się nie mogę obejść bez miłości!

Tuśka podnosi głowę tryumfująco.

— A widzi pan!—woła.

— Co?

— Skutki takiego wychowania... Pan musi dzisiaj ciągle się kochać.

— No... no...

— Jakto--no?... To fatalne. To pana gubi.

Parsknął śmiechem.

— Gubi?

Porwał się. Ukłąkł przed nią w mchach, oczy szeroko otwarte, pełne blasku, wbił w jej zrenice!

— Życzę synowi pani takiej zguby!

— Dziękuję. Moi synowie nie będą donżuanami.

W ręce klasnął.

— Boże! co za słowo!... A moja matka bardzo mnie chwali i nawet jest ze mnie dumna.

— Bo matka pana zapewne nie wie.

— Czego? Moja mama wie, że ja zawsze się muszę w kimś podkochiwać.

Teraz ją wzięła ochota klasnąć w ręce i zawołać: „Co za wyrażenie!“—ale się powstrzymała, tembardziej, że strasznie ją przejęła gorczą myśl o lekkości, z jaką on nazywał swe uczucia.

Podkochiwać się...

Nawet nie kochać, ale podkochiwać.

Powstała z pnia i zaczęła z sukni strząsać girlandę różowych mchów.

— Chodźmy do Pity.

— Chodźmy.

Idą powrotną drogą, ale w niej nagle nurtuje chęć jakiejś zemsty. Za co? sama nie wie, ale nurtuje.

— Przyznam się panu — zaczyna mówić, idąc wśród giazów i paproci — że gdybym była matką pana, nie byłabym znów tak bardzo dumna. Przeciwnie. Takie podkochiwania się dla pana mogą być miłe, a dla innych...

— Niby dla tych, w których ja się podkochuję?

— No... tak.

— Jeszcze miłsze. O!... naprzykład pani... proszę pani powiedzieć, czy pani nie rada, że...

Przerwała mu dość wyniośle:

— Zechce pan mnie w tej chwili nie mieszać. Ja mówię o tych innych. Taka Sznapsia, ja ręczę, ona jeszcze coś dla pana czuje, a pan tymczasem nie jest wolny.

— Ja?

— Tak. Będę szczerą. Przyznam się. Czytałam jedną korespondentkę bardzo czułą, która do pana przysłała. Widzi pan, że jest ktoś, kto ma do pana silne prawa... a pan...

Wybuch śmiechu przerwał jej mowę.

Aż rozegrało się pod smrekami od tego śmiechu.

— A to się pani złapała!...

Tuśka zatrzymała się zmieszana.

— Korespondentka przysłała do mnie przez pomyłkę... — tłumaczyła się, ale on dziecinnie pochwycił jej obie ręce i całować zaczął.

— Nie to!... nie to... mnie to nie obchodzi, że pani cudze listy czyta... nie byłaby pani kobietą... ale mnie to bawi... bawi...

Przestał się śmiać i nagle przybrał poważną minę:

— Więc panią ta osoba interesuje?

— O!...

— No, niech pani się przyzna. Ja nawzajem pani powiem, że jest to kobieta tak dziwnej inteligencji, taka subtelna, taka rzadka, taka inna, że słów nie staje!

Ścisnęło się jej serce nie na żarty, patrzy na pnie świerków, które palą się miedziano-złotą, czarującą barwą.

— Tak?

— Daję pani na to słowo.

— Niech się pan z nią ożeni.

— Ja?...

Nowy wybuch przeciągłego śmiechu i znów powaga.

— Ja się tam kiedyś ożenię może... a co do tej kobiety, to pani ją sama pozna niezadługo.

— Przyjeżdża do Zakopanego?

— Tak.

Tuśka zagryzła usta. Wszystko to wydało się jej niepojętą mieszaniną bólu i miłych uczuć, których już rozróżnić nie może. Oburza ją przecież cynizm tego człowieka. Ja, Sznapsię i tę trzecią — wszystkie razem wiąże w jedno i gra z niemi, jak z temi mchami, które przed chwilą wpinał w brzeg jej sukni.

Teraz znów zapowiada przyjazd tamtej nieznaonej i narzuca ją Tuśce za przyjaciółkę. Tego za wiele.

Ale on nie zdaje się dostrzegać jej oburzenia. Rwie całe masy naparstnic i rzuca na nią tak szybko, iż tehu złapać nie może.

— Zazdrość w żółtym chadza kolorze! powiedział mój przyjaciel Szekspir — woła i chwyta ją pod łokieć, umożliwiając jej zbyt trudne pośród zwalonych pni przejście.

I zaraz woła czystym, śpiewnym głosem:

— Pito!... Pito!...

Dochodzą do wierzchu

Pita siedzi jak Budda w głębi powozu. Nie patrzy w stronę nadchodzących. On podbiega ku niej i wykrzywia pociesznie swoją twarz ruchliwą.

— Panna Zazel! panna Zazel de domo Odętowska herbu Mucha w nosie... Zaraz przeprosić mamusię!... prędej!...

Ale Pita, drewniana i sztywna, patrzy na niego wyniośle.

— Fiu!... co za spojrzenie! proszę siadać!...

Pomaga Tuśce wsiąść do powozu i z ogromną zmiennością przestaje zupełnie zajmować się Pitą.

Natomiast zwraca całe swe staranie ku Tuśce. Podaje jej kwiaty, otula szalem i zaczyna opowiadać niezliczone kulisowe anegdotki, nadzwyczaj dowcipne i zabawne. Jest w nich spryt i wdzięk, jest w nich pewna nutka rozumnej wesołości i Tuśka mimowoli zaczyna brać w nich udział. Zapomina o Sznapsi, o pocałunku porannym, o tej,

kóra ma przybyć — wsluchuje się w dźwięk głosu aktora, patrzy na jego ciemne źrenice, wesołe, różowe usta, szaloną wyrazistość rysów i niejako rzeźbi te wszystkie szczegóły w swej pamięci.

Wymijają całe szeregi powozów, jadących w stronę Morskiego.

Tuśka myśli:

— Wczoraj o tej porze i myśmy tak jechali, dziś wracamy — a jutro...

Już minęli Jaszczurówkę, już są w Zakopanem. Szare jakieś i senne wydaje się Tuśce.

Porzycki milknie i przez chwilę długą patrzy w nią uporzeczywie.

Ten wzrok zaczyna ją mieszać. Wydobywa z niej wrażenie, jakiego doznała, uczuwszy jego usta na swych włosach. Przejmuje ją dreszcz.

On nagle zamyka oczy i siedzi tak chwilę.

— Gdy się na panią zapatrzę — mówi — to potem, gdy oczy zamknę, widzę panią najdokładniej... To bardzo mile.

I otwiera oczy, aby się nią znów napałtrzyć.

Powtarza to kilkakrotnie.

O Picie oboje zapominają zupełnie.

Ona siedzi cicha i prawie nieruchoma.

Oczy ma błądzi po drodze, po smrekach, po przechodniach.

Jest jeszcze więcej zamknięta w sobie, więcej tajemnicza, niż dawniej.

Natomiast Tuśka tonie powoli w jakimś sentymencie skomplikowanym, któregoby określić nie potrafiła. Odrzuca na bok wszystko, co jest złe, i wybiera, jak kwiaty z wędnącego bukietu, samo mile. Nie chce myśleć także, ile ją będzie kosztowała dorożka, która przebyła noc całą przy Morskiem Oku.

— I tak pojedę — myśli, zagłębiając się w białe futerko.

Porzycki w miarę, jak się zbliżają do domu, staje się coraz miłszy, a oczy jego nabierają coraz bardziej ciągnącego wyrazu. Rzuca nawet jedno zdanie, które elektryczną iskrą przebiega po Tuśce: — Kiedy przyjadę do Warszawy...

A więc rzeczywiście. On może przyjechać do Warszawy. Ale cóż ztąd? — przyjedzie jako aktor na występy może. Wpadnie w teatr — w ten wir, chaos, pomiędzy nowe aktorki.

Czy będzie pamiętał o Tuśce, o Morskiem Oku? Jakby w odpowiedzi na jej myśli, Porzycki mówi:

— Przyjdę zapytać, czy pani pamięta, jak słońce nad Morskiem Okiem wschodzi.

Uśmiechnęła się do niego, wysuwając podbródek z puchu futerka.

— Jakże to można zapomnieć! — mówi łagodnie.

— Brawo! postęp!... nie przeminęło.

— Co?

— Wrażenie.

— Czy pan sądzi, że u kobiet wrażenia mijają tak szybko, jak u mężczyzn?

— Nic nie wiem. Mogę tylko sądzić o mężczyznach z siebie samego i wiem, że u mnie wszystkie wrażenia są bardzo porządnie poklasyfikowane, jak u pani w szaszetce rękawiczki. Na starość powyciążam, okurzę i karmić się niemi będę. Zle obmyśliłem? co?

— Nie wiem.

— Tam znajdzie się i dzisiejsza wycieczka.

— Jedna z tysięcy.

— Nie. Ona mieć będzie osobne miejsce. Jest jedną z najmiłszych, a może najmiłszą.

Wbił w nią swe czarne oczy z uporem i patrzył tak długą chwilę. Tuśka chciała ramionami wzruszyć — nie mogła. Choć ją rozbięło. Nagle dorożka stanęła.

— Już?

Zaczęli wstawać, otrząsać się z pledów, kwiatów, serdaków.

Od szopy biegła, waląc w ziemię nogami, Obidowska.

Rzuciła się ku Porzyckiemu:

— Niech wartko idom!...

— Albo co?

— Gościa majom!

— Kto?... może...

— A no... a no...

— Przyjechała?

— A ino, jesse fcora, jakeście u Morskiego balowali.

Nie nie zdoła określić radosnego uśmiechu, jaki rozjaśnił twarz aktora. Porwał swój pled, trochę kwiatów i rzucił się ku chacie.

— Proszę... niech pani go zapłaci, a potem się obliczymy!—zawołał ku Tuśce.

Umówili się bowiem, że on poniesie jedną trzecią kosztów wycieczki.

Nie odpowiedziała mu nic. Zesztywniała cała tą wiadomością, iż owa trzecia, a właśnie najpierwsza, jest już pod jednym z nimi dachem. To był groźniejszy współzawodnik, niż Sznapsia. Tamta była przeszłość, to terażniejszość.

Gdy wchodziła do swoich izb, eskortowana przez gaździnę, niosącą za nią tobołki, zdawało się jej, że wchodzi do jakiegoś grobu. Przeszła jeszcze przykry targ z woźnicą, który jowialnie i pocziwie punktując swoją mowę „hej!“, zdzierał z niej skórę i wreszcie, zamknąwszy drzwi, znalazła się z Pitą sama.

Przedtem jednak rozmowna, a widocznie mająca nagromadzone zapasy wywnętrzania się, gaździna zawiadomiła ją, że pani „naszego pana bandzie spać w jego izbie, a on przylegnie se w komórcie, co je porzomna, jakby izba.“

Tuśka przerwała dalszą rozmowę, nie chcąc nic wiedzieć więcej:

— Proszę was... idźcie, głowa mnie boli.

Gdy aszantka wyszła, Tuśka przedewszystkiem usiadła do pisania nowego listu do męża. Był on już trochę różny od tego, który pisała przed wyjazdem do Morskiego Oka. Nie było w nim nienawiści do gór, ani do otoczenia. Była zato wielka doza melancholii i smutku, rozwinięta na tle ich materialnych stosunków.

— Wiem — pisała — iż dla mnie i dla Pity takie lato, spędzone tutaj w innych, lepszych warunkach, byłoby zbawiennem i postawiłoby nas na nogi, ale czyż możemy o tem marzyć? Bieda na świecie ludziom, którzy muszą się liczyć z każdym groszem! Nawet im chorować nie wolno, bo to za wielki zbytek. Wolę wrócić zaraz i proszę spodziewaj się nas...

Urwała.

Chciała oznaczyć datę — nie mogła.

Coś ją wstrzymało jakby za rękę.

Dodała więc tylko:

— Spodziewaj się nas w tych dniach — i nie dziw się, że jesteśmy mizerniejsze, niż przed wyjazdem. Pomimo wielkiej oszczędności, odmawiałyśmy sobie wielu rzeczy koniecznych tutaj do odzyskania zdrowia. Nic więc dziwnego, że zamiast wzmożnić się, osiągnęłyśmy wręcz przeciwny rezultat.

W tym tonie ciągnął się list długi, dłuższy niż zwykle.

Tuśka ogłuszała się poprostu, pisząc do męża owe jeremiady. Nie doznawała tego zdenerwowania, jakie ogarnęło ją podczas pobytu Sznapsi w mieszkaniu Porzyckiego, ale to, czego teraz doświadczała, było sto razy gorsze.

Jakiś ból tępy, rodzaj rezygnacji w pojmowa-



niu koniecznego położenia, a przytem pewna pogarda i nienawiść dla siebie.

— Dobrze ci tak!... dobrze ci tak!—powtarzała sobie w myśli.

Wstała od stołu, podeszła do okna.

Panie Warchlakowskie siedziały na werandzie i przyjmowały jakąś wizytę. Dama w angielskim kostymie, wiedeńskim kapeluszu, paryzkiej halce, kaukazkim pasku, włoskich kameach i „zakopiańskim“ serdaku, zajadała się ciastkami od Plonki i zapijała kawą. Mama Warchlakowska przez szyby swej lornetki patrzyła uporeczywie na okna Tuški i opowiadała coś ironicznie damie w serdaku. Panniki siedziały rzędem, plotły girlandę z choiny, przetykając ją bibulanami różami i strzygły uszami, jak konie na łące.

Tuška czuła, że to o niej mowa, ale nie usunęła się od okna. Przeciwnie—stała, jak na pręgiem, powtarzając sobie:

— Dobrze ci tak! dobrze ci!...

Nagle z sieni domu wyszedł Porzycki i jakaś kobieta. Tuška nie dostrzegła jej twarzy, bo Porzycki, który niósł jej parasolkę, rozpiął ją zaraz i podał, osłaniając twarz tej damy od słońca.

Spostrzegła tylko Tuška, że była to kobieta smukła, zgrabna, o lekkim, rasowym chodzie. Ubrana w czarną grenadinę i niewielki czarny kapelusz, przystrojony gazą, przesunęła się przez dziedzińczyk i wyszła na drogę. Porzycki szedł obok niej, rozmawiając żywo. Pochylali się oboje ku sobie, widocznie mieli sobie dużo do powiedzenia. Było w nich widocznie to *coś*, co łączy naprawdę ludzi wspólnością życia, uczuć, pojęć i interesów. To czuła Tuška odrazu. Teraz łatwiej pojmowała podobne odcienia. Przypomniła sobie, jak idzie ona obok swego męża, jak oni chodzą wszyscy obok siebie—drewniano—obojętnie—obco...

— On ma słuszność!—pomyślała.

Patrzyła chwilę za nimi, jak szli drogą, i coraz więcej nabierała przekonania, że ci dwoje rozumieją się i nie są dla siebie „mumiami“.

Rzecz dziwna. Ona dla tej kobiety nie czuła tej złości, jaką miała do Sznapisi, lub do innych kobiet z otoczenia Porzyckiego. Może jego słowa o jej wyjątkowej inteligencji i charakterze odrazu postawiły tę kobietę na takim piedestale, że niskie uczucie ze strony Tuški nie mogło się rozwinąć.

Jak było — to mniejsza, dość, że było w tej chwili w Tušce zgnębienie i rozplątanie się w sentymentalizmie nad goryczą losu.

— Dobrze mi tak!...

Dojrzała, iż pani Warchlakowska i cała jej banda śledzi także nieznaną i Porzyckiego. Cofnęła się od okna w głąb pokoju. Czuła się dziwnie samą i opuszczoną. Zajrzała do drugiej izby i tam dostrzegła Pitę, która, umywszy się, przebrawszy, siedziała przy stole i oczekując na podwieczorek, przeglądała po raz setny „Historję o Kasi i królewiczu“.

Tuška byłaby chętnie podeszła do dziecka i zbliżyła się do niej w jakimś ciepłym, moralnym. Ale prosto nie wiedziała, jak się wziąć do tego.

— Mumia!...—myślała, patrząc na nieruchomy profil córki—rzeczywiście mumia!

Umyła się, uczesała, przebrała w szlafrok, starając się zająć mechanicznie, aby nie dozwolić rozegrać się nerwom. Wyciągnęła kufer i zaczęła w nim układać bieliznę. W ten sposób chciała zamianować postanowienie wyjazdu.

Pita spojrzała na to z pod oka, ale nie zapytała o nic, ani nie poruszyła się z miejsca.

Wreszcie Tuškę to milczenie, ta lodowa atmosfera zaczęła dławić nie na żarty.

Wyszła do sieni, spojrzała na drzwi Porzyckiego, i zdawało się jej, że jakaś żelazna zasłona dzieli ich mieszkania. Przede drzwiami dostrzegła nieduże

kalosze damskie, i ten szczegół drobny przedstawił jej przykrość całego faktu w zupełnej nagości.

Wyszła na dziedziniec i skierowała się ku szopie. Chciała, bądź co bądź, porozmawiać z kimkolwiek. Szła do gaździny. Szła kobieta do kobiety.

W zmartwieniu kobiety zapominają o społecznej różnicy.

Garną się do siebie, jak bratki podczas wichrów jesiennych.

Krażą obok siebie, jak liście z drzew strącone, szarpane po tafli błotnistej kałuży. Mają w sobie przytulność zmęczonych duchów, które skrzydła smutku rozpiąwszy, sądzą, iż wzajemny cień będzie im litosny. Idą ku sobie słuchać głosów własnych i w nich doszukiwać się ech bólu, który szarpie w tej chwili ich serce. I w tem znajdują ulgę.

Nie jest to radość z cudzego bólu, lecz ta myśl, że się jest wreszcie zrozumianym, że taki ból już był, przeszedł i rozplynał się w mglistości wspomnienia.

Dlatego Tuśka do gaździny idzie.

To, co szopą nazywała, okazuje się, że jest prostu starą, dawną chatą.

Ile lat stoi ta chałupa, Obidowska nie pamięta. Wie, że się w niej rodziła i wychowała. To wie jedno.

Gdy Tuśka staje w rogu izby, gaździna siedzi na ziemi i skrobie „grule“.

Czarno tu, powietrze stęchłe. Kury po podłodze rozwłóczą własne nieczystości. Tkwią w nich i nogi Obidowskiej, wyciągnięte ku palenisku, na którym leciuchno ogień migoce.

W pierwszej chwili Tuśka nie dostrzega nic, prócz jakichś sprzętów, ciemniejących po kątach. Powoli oczy jej przyzwyczajają się do tego cienia.

Widzi już sosrąb i wyrzynane belki. Czarne wgłębienia gwiazd znaczą się na brunatnem tle drzewa. U nóg Tuśki wala się prześliczny czerpak.

Bibulane, czerwone róże pokryły rzeźby ściienne. Tu i owdzie mech zakwita wśród szczelin.

Pachnie tu jaskinią ludzi pierwotnych, rozwłoczy się zwierzęcość i zarazem jakaś piękna prostota dusz, gnających ku łączeniu linii, w zajrzane w gwiazdziste noce błyszczących widm kształty, lub pochwytyanych na futra serdaków płateczki śniegowe, przywiane od wichrów, od hal.

A może wzorami im są te cudowne kwiaty, które mróz po szybach w księżycowe noce tchnieniem swoim rzeźbi?

A może...

Gaździna dojrzała Tuškę i zwróciła się ku niej: — Czego fcom?

Tuśka na razie nie odpowiadała.

Błądziła po tej chałupie, gdzie dokonywały się także życia ludzkie, gdzie cały odrębny jakiś świat zbil się w miążgę faktów i ztamtąd objawami uzewnętrzniał się i wypowiadał swój rozwój innym takim światom.

Pod ścianą łózka narzucono trochę betów, trochę słomy. Kołyska na sznurach, dawno nieużywana, pusta, wyschła...

I te czerwone róże dziwne, wykwitłe pożoga, wśród ścian czerniałych.

Pod niemi, na jednym z łózek, zwalony w bety Józek Obidowski śpi z twarzą do góry podaną.

Ukośne światło z okna pada na jego usta purpurowe, kalinne policzki, czarne łuki brwi na białem, niespalonem czole.

Róże nad nim kwitną.

Róże na tle ciemnej ściany.

I ta twarz młoda, świeża, dysząca siłą i żywiołową mocą, jak róża wykwitła w ciemni dokonanych istnień.

— Cego ścom? na poctę?...

Z rąk Tuśki gaździna bierze list do męża.

— Wnetki się Józiek zbudzom—to puńdzie.

A widząc, że Tuśka stoi, przeczuwa w niej gościa.

— Niech se przysiądom.

Machinalnie Tuśka osuwa się na trójnożny koło komina stolek.

— A cóż to? wasz mąż chory, że śpi?

Oczy gaździny zaświeciły w cieniu. Miłośnicę ogarnęła śpiącą postać kalinną, różaną...

— Niek śpi—wódcyśko z niego wyparuje.

— Pijany?

— Dałam mu sama wódki, żeby po wirkach nie latał.

Tuśkę przeszedł mróz.

W tej cichej chacie, ta stara kobieta w przystępie zadróżki dokonywała powolnej zbrodni. Rozpajała tego halnego orła, aby zmożony trującym oszołomieniem, nie rwał się na wirchy, gdzie ona iść z nim nie mogła.

— Napije się, rozbierze go bardzo niewiele, prześni się i mam spokój!

Ciężki, duszący oddech śpiącego mącił ciszę ciemnej chaty.

— Ależ kobieto... pomyślcie... robicie źle, przyuczacie go do pijaństwa.

— Hale!... wole niek będzie pijok, niz co jensego. Na wódcyśko mnie zawse będzie stać... niek pije.

Wpiła w niego oczy ogromne, płomienne, fatalne.

— Niek pije!

Na ziemi, jak skrzydła odarte, leżała przy łóżku. Józkowa biała guńka, a na niej rzucona ciupaga, ta sama, która wybiła tyle „stupeni“ w skale, aby jego lotne stopy mogły go nieść wyżej! wyżej!...

Światem rozpylonego słońca, na szczytach przepiętych gmachów, co przebijają chmury i ku niebu dźwigają się harde — biegł on, śmigły, depcąc szuwary i stokrocie, wypatrując kozice — on, zbójnicki wnuk ze krwią wrzącą w żyłach w tatrzanne, swobodne życie.

Biegł on lekko i zwinnie po ścieżkach tak wązkich, że na dwie stopy miejsca nie było, a po jednej ręce tylko przepaść i opieka Boża.

Wpatrzył się w szare, zębate, nagie turnie, przywarł się do nich duszą, wzrokiem i myślą:

— Moje wy, moje! hej!...

Jakby nad morzem bezdennem, tak pochylał się nad dolinami, a na nich biała mgła kłębiła się falami, topiła się w błękit, złościła, aż wreszcie wchłonęła przez ciemnicę lasów, zginęła w przestrzemi.

I myślał on wtedy:

— Moje wy, moje!...

Czasem ponad przepaścią porwał go szal radosny nad tem, że żyje, nad tem, że jest taki silny i gibki, że jest zdolny śmigać, jak koza, po wirkach, i rozpuściwszy gunię, jak skrzydła białe, nad przepaścią zawrotną, jał krzyżeć i dreptać, a głos jego wielką szczęśliwością daleko płynął i wracał do niego echem jeszcze szczęśliwszy, jeszcze młodością silniejszy.

Tak było.

Dziś Józek oddycha ciężko w dusznej, ciemnej chacie. Bezprytomny w gorących betach traci siłę swoją. Guńka skrzydłami białymi przypadła mu do ziemi.

Ginie, marnieje.

U jego stóp, na straży spalona namiętnością i słońcem na bronz, na stal, czuwa Wikta, wpatrzona w śpiącego głębią swych rozpalonych, czarnych źrenic.

— Niech pije—niech śpi!

Tuska czuje, że w tej chacie zanadto rozwieliły się własne sprawy, aby dla jej osamotnienia i potrzeby zamienienia słów kilku bodaj—znalazło się miejsce. Cała tragedia namiętności wielkich, żrących się z sobą, graniczących nawet ze zbrodnią, kłębi się w obrębie tej chałupy.

Tuska powstaje i już przy drzwiach mówi:

— My — pojedziemy w tych dniach z powrotem, gaździno.

Obidowska w jednej chwili zapomina o Józku, o swych tragediach życiowych i widzi tylko umniejszenie sezonowego zarobku.

— Jako to? — mówi, marszcząc brwi — a jakże to ze mną myślom?

— Macie zapłacone za sezon, więc nie macie do mnie pretensyi.

— A mlicysko?

— Sprzedawać będziecie komu innemu

— A chodzenie po obiady?

— Nie będziecie chodzić, więc się nie będzie należało.

Ale Obidowska robi się coraz groźniejsza.

— Jako to?—powtarza—my bez sezon na zarobek od gościa liczymy. Jak gość odjedzie, zarobek też odjedzie... Tak być nie może.

Tuskę porywa jakiś wstręt nieokreślony.

— A przecież tak będzie.

Wychodzi szybko i wraca do izby.

To, co ją otacza, zaczyna jej się wydawać straszne, nieprzychylnie, wrogie.

Nie patrzy na Pitę, która, jak była poprzednio zakłeta w pozę nieruchomego bożka, tak pozostała do tej chwili.

Tuska idzie wprost do swego łóżka, owija się pledem i kładzie się.

— Zasnę—myśli sobie — to będzie jeszcze dla mnie najlepsze. Wolę nie myśleć — może się uspokoję!

Gdy oczy zamyka, widzi ciągle jedno.

Tych dwoje idących złotą od słońca drogą, takich zbliżonych, takich dla siebie blizkich, takich „nie drewnianych“.

Ogarnia ją coraz większy żal.

Tuli twarz u poduszki.

Leży nieruchoma, leży długo—długo.

■ Pukanie do drzwi—i w ślad za tem ktoś wchodzi do izby.

Szeleści suknia, słyhać kroki mężczyzny. I jego głos:

— O! pani śpi...

Tuska porywa się z łóżka.

— Nie, nie—nie śpię.

Przed nią stoi Porzycki, a obok niego kobieta, ubrana w czarną grenadinę i czarny kapelusz.

Tuska spotyka śliczne czarne oczy, oczy Porzyckiego, wpatrzone w nią, bladą ściągłą twarz, obramowaną pasmami ciemno-blond włosów i blado pocziwie uśmiechnięte usta kobiety, którą los i niedola tak smutno uśmiechać się nauczyły.

Pytający wzrok Tuski biegnie ku twarzy Porzyckiego.

On uśmiechem nieokreślonej dumy i radości ręką nieznajomą wskazuje:

— Moja matka!

Z serca, z duszy, z oczu Tuśki opada czarna zasłona.

To słowo znów rozśłonecznia jej wszystko. Wyciąga rękę ku przybyłej z niebывалą u niej serdecznością.

— Jakże się cieszę!... — mówi — i zwraca się w miłym zmieszaniu do córki.

— Pito!... matka pana Porzyckiego!

Bialo-różowa laleczka podchodzi.

Oczy czarne, dobre i uśmiech ciepły ogarniają słizkie postacie Tuśki i Pity.

I odrazu robi się ciepło, jasno, miło, jakby ktoś do zamkniętego i opustoszałego dworu otworzył okiennice i wpuścił słońce i zapach bzów i jaśminu.

### XXIII.

Rzeczywiście wyjątkową kobietą była matka Porzyckiego.

Nie była to jedna z tych nudnych doskonałości, które mrożą sobą i poprostu dręczą.

Lecz była to kobieta *dobra* w całym słowa tego znaczeniu.

Dokoła niej był jakiś jasny krąg, pełen pobłażliwości i wielkiej, nieprzebranej dobroci.

Ta kobieta posiadała wiele.

Zrozumiała, iż większym poświęceniem jest do-brze dla innych umrzeć.

Więc żyła dla innych — dobra i cicha.

Wykołysana miłością, kołysała tak samo miłością tych, którzy od niej zawiśli. Miała ręce pełne

pieszczot, usta słów dobrych, a serce pełne dobrych czynów. Nie miała w księdze życia swego zapisanych bohaterskich postępów, ale miała nakreślone całe szeregi niweczonych czynów złych, przez wpływ swej wielkiej dobroci.

Nie pogardzała nigdy najdrobniejszymi przejawami życia, bo czuła w nich nierozzerwalność łańcucha, który powoli zbliża nas w krainę cudów. Spokojem, graniczącym z niezwykłością hartu duszy, wywoływała w tych, którzy się do niej zbliżali, uspokojenie i dążenie do hartowania się na rozterki życiowe.

Była cicha i małowówna, blada i uśmiechnięta, a miła w każdym geście, w każdym słowie. Zdawało się, że stąpa ponad ziemią, tak szła lekko i wdzięcznie.

Srebrne nici, któremi jej włosy przeplecione były i wyraz jej ust, gdy milczała, mówiły jej dolę i historię jej życia.

Gdy siedziała, otulona ciemnym okryciem, ze swą piękną, spokojną twarzą, z rękoma smukłymi, białymi, jak płatki lilii, miała wdzięk akacyi, bielącej się nad czarnym marmurem grobu, w którym spoczęło ciało sprawiedliwego człowieka.

Od chwili poznania matki Porzyckiego—Tuśka weszła w jakąś inną życiową atmosferę.

Od pierwszej chwili pociągnięta ku Porzyckiemu ogromną sympatyą, rzuciła się prawie bez miary w tę nową, a tak dla niej pociągającą znajomość. Porzycka przyjechała do syna zaledwie na dni kilka.

Nie chciała go krępować, mówiła z uśmiechem, to jego wakacje, dość się napracował w sezonie, należy mu się wytchnienie.

Siedzą teraz wszyscy na werandzie, na której piją herbatę.

Porzycki usiadł na schodach, tuż przy swej matce. Obiera jej pomarańczę. Podaje, usługuje. Przywiózł jej ulubionych ciastek, bomb czekoladowych, sam od gaździny wyprosił garnuszek dobrej śmietanki

Całuje ją co chwila w rękę i często mówi jej: — Ty, moja droga staruszko!..

A ona w odpowiedzi:

— Ty, mój drogi malczel..

Pita z ironicznym uśmiechem śledzi te objawy czułości. Wydają się jej jakby niewłaściwe i nie dość dystygowane. Zwłaszcza nazywanie rosłego, ogromnego Porzyckiego „malcem“ wywołuje w niej zdziwienie. Wogóle — taki sposób obejścia dzieci i rodziców widzi Pita po raz pierwszy w życiu. Sama nie wie, co ma o tem sądzić.

Porzyccy opowiadają, że w Krakowie mieszkają razem i że jest im z sobą bardzo dobrze. Skoro Porzycki dostanie gdzieindziej *engagement*, matka za nim pojedzie.

— Musi! — wyrokuje Porzycki — Co jabym bez mamy zrobił? Zmarniałbym — co?

Oczyma, pełnemi wielkiego przywiązania, spogląda Porzycka na twarz syna.

— Co jabym bez ciebie robiła? — mówi z uśmiechem.

Tuśka już teraz wie dużo, dużo.

Z kilku zdań Porzyckiej dowiedziała się, że ten lekkoduch, wartogłów — aktor — oddaje matce co pierwszego i piętnastego całą swoją gażę. Ona to mu wydziela na ubranie, na jego drobne wydatki, a z reszty oplaca mieszkanie i utrzymanie dla nich dwojga.

— Mąż nie zostawił mi nic, prócz wspomnienia wielkiego, bezgranicznego szczęścia. Umarł lat

temu kilka. Lulu wstąpił na scenę — poszczęściło się. Teraz jest nam dobrze.

Tuśka czuje wielkie zdumienie.

Jakto, więc ten szalapat, ten komedyant, który oprócz miłostek nie zdawał się nic mieć przed sobą w życiu — wypełnia tak uczciwie, tak pięknie synowskie obowiązki?

To „coś“, co tak solidarnie łączy z sobą wszystkie kobiety — ta wdzięczność dziwna, którą kobieta czuje dla mężczyzny, jeśli postępuje uczciwie i pięknie względem innej kobiety, przyczynia się w Tuśce do rozwiązania jeszcze silniej powstającego w niej uczucia dla Porzyckiego. Nie w jednym kierunku dają teraz jej myśli, już zaczyna sobie z niego urabiać ów „ideal doskonałości“ i cała siatka ścieżek ku niemu się powoli do jej serca zbiega.

To, co w mężu swoim uważa za obowiązek, tę pracę i oddawanie wszystkiego na wyżywienie jej i dzieci — w Porzyckim wzrasta do rozmiarów heroizmu.

— Zaczne... dobre... drogie... — myśli, patrząc na całującego matkę po rękach aktora.

Niesprawiedliwość, będąca pierwszą cechą miłosnej ekstazy, zaczyna już obejmować ją w swoje posiadanie.

— Brakowało mi jednego do szczęścia — mówiła do niej raz Porzycka — córeczki.

Sliczny uśmiech posłała w stronę Pity. Dziewczynka odpowiedziała szablonowym, grzecznym uśmieżkiem.

— Ba! — zawołał wesoło Porzycki — z takim urwisem, jak ja, miała mama dosyć! Wystarczyłem za tuzin córek.

— Nie — odparła Porzycka — kobieta zawsze pragnie mieć córkę, bo nic nie zdoła zastąpić tej serdecznej łączności, jaka jest między matką a córką. Prawda, że mam rację?

Zwróciła się ku Tuście, która zarumieniła się gwałtownie.

Uczuła bowiem na sobie wejrzenie Porzyckiego i wzrok Pity, dziwny, rozumny, przenikający ich wzajemny stosunek.

Nie odpowiedziała nic i serdecznie rada odechnęła, gdy drogą przeciągnął korowód pań Warchlakowskich, idących w stronę Kościelisk. Wszystkie wlepily oczy w werandę i zwolniły kroku. W pelerynach brązowych robiły wrażenie małych mniszek idących na modły nieszporne.

Porzycka umilkła także, jakby instynktem odgađywała dziwny, nienaturalny, sztuczny stosunek, wytworzony pomiędzy tem ślicznem dzieckiem a jego matką.

Następnego dnia Tuśka wstała trochę później i Pita sama siedziała na werandzie, pilując sobie paznogi.

Na werandę weszła Porzycka.

Tuśka przez szklane drzwi i przez muslin firanki widziała, jak Porzycka chwileczkę stanęła, jakby wahając się, wreszcie do Pity podeszła.

Drzwi były uchylone—Tuśka dokładnie słyszała całą rozmowę.

— Dzień dobry ci, Pito!

Pita wstała i dygnęła zdaleka.

— Dzień dobry pani!

— Ucałuj mnie na dzień dobry.

Jak manekin drewniany, Pita podeszła, ujęła rękę Porzyckiej i złożyła na niej leciuchny pocałunek.

Dokonawszy tego czynu, chciała oddalić się, lecz Porzycka zatrzymała ją za rączkę.

— Nie odchodź! pozostań przy mnie chwilę! Usiądźmy razem. Czy chcesz trochę porozmawiać ze mną?

— Jeżeli pani każe.

— Ja ci nie kazać nie mogę. Ale powiedz mi: dlaczego jesteś zawsze tak poważna? Podobno pogniwiałaś się o coś na wycieczce. Tak mi mówił mój syn. Czy to prawda?

Pita milczy.

W oczach jej maluje się zdziwienie, że ktoś porusza tę kwestyę i dobiera się do jej serduszka.

— Milczysz?—ciągnie dalej Porzycka—a więc to prawda. Ale moje drogie dzieciątko, pomyśl tylko, czy ci Bóg dał na to życie, ażebyś je marnowała na czynienie przykrości swoim najbliższym i sobie samej?.. No — no — odpowiedź!

Pita ciągle milczy, ale zmarszczyła cieniuchne brewki i wylamuje palce z całą gorliwością, godną lepszej sprawy.

Tymczasem Porzycka powoli przysuwa dziewczynkę ku sobie. Oplotła ją ramieniem i delikatnie gładzi jej włoski.

— Bóg daje córeczki matkom — ciągnie dalej — dla ich radości i pociechy, tak, jak tobie znów Bóg daje kwiatki, motyle, ptaszki. I pomyśl tylko, jak byłoby ci przykro, gdyby te kwiatki kłóły cię i piekły, motyle gryzły, a ptaszki dziobały. Wyrzekłabyś się przestawiania z niemi. A mama twoja musi z tobą przestawać, musi znosić twoje gniewy i dąsy, choć ją serce boli... Bo to twoja mama, ta, która cię kocha...

Przytuliła główkę Pity do siebie, mówi tak miło, jakby to kołysanka jakaś szemrała w powietrzu. Pita milczy, ale się nie wrywa, przeciwnie, doznaje jakiegoś uczucia błogiego spokoju. Zdaje się jej, że jest jeszcze bardzo malutką, i to wrażenie zaczyna ją rozrzewniać nie na żarty.

— Taka dobra dziewczynka, jak Pita — mówi Porzycka — powinna swoją mamusię ukochać, upieścić, ucałować powiedzieć jej wszystko, co ma na sercu, co myślała cały dzień, co jej się przez główkę przewinęło... Dlaczego Pita tak nie robi?

Odsunęła trochę dziecko i w oczy patrzy.

— Bo... mamusia nie chce! — szepce cichutko Pita.

Tuśce robi się bardzo smutno i bardzo przykro. Czyżby Pita czuła inaczej, czy tylko kłamstwem wykrętnem usprawiedliwia się przed Porzycką.

Cała ta scena jest jej niewymownie przykra. Szybko kończy się ubierać i wychodzi na werandę.

Pita siedzi na kolanach Porzyckiej i słucha, matka aktora mówi do niej łagodnie i cicho.

— My tu zawieramy bliższą znajomość— mówi z uśmiechem Porzycka do zbliżającej się Tuśki.

— Ależ ona jest ciężka... Jakże można...

— Nic, nic.

— Pito, zejź z kolan.

Pita posłusznie zsuwa się z kolan Porzyckiej.

— A ta panienska przyznała mi się, że ma tam w głębi jakiś żal, czy coś takiego jeszcze z wy-cieczki...

Tuśka przybiera z przyzwyczajenia lodowaty wyraz twarzy.

— Pita się zapomniała! — mówi z wyniosłością odpowiednią dla monarchini, karcącej damy dworu— zachowała się niewłaściwie i bez taktu. Dziwię się, że o tem mówi.

Osoba, zachowująca się „bez taktu“, kraśnieje, jak wiśnia i drepce na miejscu w swych ślicznych, białych bucikach.

Porzycka patrzy na matkę i córkę w dziwny jakiś, trochę litosny sposób. Nie wie sama, jak wybrnąć z tego obojętnego chłodu, który ku niej od tych obu istot wieje.

Wybawiła ją z tego kłopotu Tuśka.

— Idź, Pito, do izby. Tam jest twoje mleko przygotowane. A proszę cię, wypij wszystko.

Jeden dyg, powianie białych spódnicek, szarych pończoszek, złotych włosków— i Pita ginie, jak małe zjawisko.

Tuśka siada naprzeciw Porzyckiej.

— To bardzo trudna do prowadzenia dziewczynka? — pyta Porzycka.

— Nie — mówi Tuśka — jest bardzo grzeczna, uprzejma, ładnie ułożona i rozsądna. Po raz pierwszy wyszła z zakreślonej drogi, ale... niech się pani nie obrazi, mam to do zawdzięczenia panu Porzyckiemu.

— Lulusiowi?

— Tak.

— W jaki sposób?

— Tak ją rozbawił, rozpuścił, rozdokazywał, że poznać jej nie mogłam.

— Ależ... tem lepiej.

— Daruje pani!

— Co?... Dziecko powinno być dzieckiem, to jest wesolnością, tchnieniem gorącym, śmiechem, temperamentem. Inaczej to starość przedwczesna. To straszne.

— Moje dzieci są chowane inaczej.

— To źle! źle!...

Z pewną żywością ujęła Tuśkę za rękę.

— Starsza jestem, mam prawo dać pani pewne wskazówki. Na rozum, na takt będzie jeszcze czas. Pozwól im być sobą! Całuj, pieść, karc — ale niechaj żyją, niech żyją pełną, całą pierśią! Ja tak mego syna chowałam.

Dziwny uśmiech wypłynął na usta Tuśki.

— Pani syn... — wyrzekła, i głos jej zawisł w powietrzu, dziwny, nieokreślony.

— Mój syn jest szczęśliwy.

— Tak..., on...

— I ja z nim.

— Tak, wy dwoje,

Zapadło milczenie.

Coś się stało, coś weszło pomiędzy te dwie kobiety, coś jeszcze nieuchwytnego, niezrozumiałego dla nich, ale co uczuły obie tą najsubtelniejszą warstwą swej duszy.



W oczach Porzyckiej zamigotał znow ogień niepokoju.

— Czyżby?... — pomyślała.

Wpatrzyła się w Tuškę.

Ta siedziała pospępna, z okiem wbitem w żółtą powierzchnię stołu.

I było w jej całej postaci jakieś wielkie zgnębienie, jakieś zmieszanie i konieczność ciągłego udawania.

Porzycka przez długą chwilę mileżała, wreszcie ujęła rękę Tuški i pociągnęła ją ku sobie.

I tak, jak poprzednio tuliła do siebie córkę i do serca jej się dobierała słowami, tak teraz poczciwie i serdecznie myślała, wnikała w zmęczoną tajemnicę Tuški, która powoli, bezwiednie głowę swoją ku ramieniu Porzyckiej schyliła.

Od pola zarosłego owsem dolatywała cisza, ciągnęła modlitwa rozśpiewanych much i świerszczów. Upalny letni dzień spadł w dolinę Zakopiańską, jak płomienny ptak. Cisza była wielka, tylko ten brzęk, i chwilami w oddali, jakby ktoś śmiał się, jakby ktoś płakał.

W Picie, w Tuście powoli, jak pod śniegiem, rozwija się serce z obłonek martwoty.

Powoli — powoli.

#### XXIV.

Długa koperta, nic nieznacząca, zaadresowana dość starannie.

A w tej kopercie całe bagno, coś tak strasznego, coś tak cuchnącego, że w ucziwej piersi serce ze zgrozy zamiera.

Anonim!

Specjalność zakopiańska. Coś — co pelza, lata, spada — najczęściej splodzone na miejscu, wysłane z Krakowa i zjawia się nagle u progu, jak dzuma, siejąc chwilowy smutek, przykrość.

Taki gość wciska się w rękę Porzyckiej, do niej specjalnie adresowany. „Życzliwy przyjaciel“ — ostrzega przed „brudnym romansem jej syna, który uległ wpływowi awanturnicy, nie wahającej się, mimo obecności dziecka, roztaczać swą hańbę i dopuszczać się do takich skandali, jak nocne spacery przy księżycu i wycieczki, trwające dwadzieścia cztery godziny...“

Porzycka z bledszym jeszcze uśmiechem przebiegła wzrokiem karty anonimu.

— A więc..., tak...

Smutno jej.

Smutniej może w tej chwili, niż w czasie innych awanturek miłosnych syna. Ta pani z Warszawy, z tem ślicznym dzieckiem, wydaje się jej, mimo swej sztywności, istotą inną — względności pewnej godną.

Gdy tam na werandzie przylgnęła jej do ręki — uczuła w niej pewne zdawanie się już na los, przemęczenie długie w tej sztywności musowej, w której żyła.

Było to samo i w Picie, gdy tuliła się do niej przed chwilą.

Porzycka siedziała nieruchoma, zamyślona w izbie, którą poprzednio zajmował jej syn i która była pełna jego obecności.

Na stole fotografie jego i kilku kolegów i koleżanek. Cały plik ról koło łóżka. Na ścianie grupa z wycieczki. Rower w kącie izby. Kilka tomów Szekspira. Byron w żółtej okładce, nieodłączny *Le forgue* i ciśniecia w kącie *Chansons de Bilitis*.

W dzbanku od wody gałęzie smreków — obok nesesera kociolki do gotowania „herby“ — przybory wycieczkowe.

I woń ostra od serdaków, kozuszków, zmieszana z wodą kolońską i rozsypanym po kątach tytuniem.

Porzycką nie martwi treść anonimu. Romans!.. tak. Tyle już tych romansów przewinęło się przed jej zmęczonemi oczyma. Te fotografie porozstawiane po stołach, dostatecznie o tem świadczą. Lecz w tym wypadku coś ją specjalnie boli.

Może ze względu na Pitę.

Jest zanadto dobrą kobietą, aby wierzyła słowom anonimu,

— „Syn pański uległ przewrotnej kokieterii awanturnicy“ i t. d.

Nawskroś czysta i uczciwa, wie wszakże intuicyjnie, że nie kobieta kokietuje, lecz zawsze męczyzna pierwszy wyzywa uwagę kobiety. Jest to niedostrzegalne, chwilowe, nawet dla samej wyzwanej kobiety niezrozumiałe — a przecież tak jest niezaprzeczalnie. Tylko, rzuciwszy ową przynętę tak subtelną, jak cień, męczyzna odwraca się i udaje obojętność. A wtedy kobieta iść za nim musi po promieniu hypnozy i nie tai się, nie kryje.

Ztąd legenda o zaczepnej taktyce kobiet.

Tak myśli Porzycka. A wreszcie zna dobrze swego syna. Wie, iż jest żywym odbiciem ojca. Zna doskonale, jaki nieokreślony powab, jaki urok dziwny ma w sobie ten *genre* męczyzny. Coś dziecięcego, wieczny uśmiech i tyle serdecznej tkliwości. Starania, troszczenia się o tę kobietę, którą wybrał i ukochał, chociażby przelotną, chwilową fantazją. Wie, że jest to rodzaj najniebezpieczniejszy, najprędzej zniewalający, a zwłaszcza serca, zastygłe w pozornej martwocie, jak serce Tuśki.

Więc czuje tu winę syna i prawie przyjmuje część tej winy na siebie.

— Czy nie zbłądziłam — myśli — chowając go zanadto sercowo? Dziś ten człowiek nie umie ani jednej chwili pozostać sam, bez jakiegoś drugiego serca, które musi rozgrzać dla siebie, choćby tylko przelotną iskierką... Czy nie moja w tem wina?

Słońce zachodzi, ściele się prześlicznymi blaski po pokoju.

Dwiami srebrnymi plamami odbija się w ciemnym glinianym garnku, z którego jak fontanna, wytryskuje snop gałęzi smrekowych.

Złotą kratą przyległo do przeciwległej ściany i stanowi tło dla obrazka Matki Bożej, nad łóżkiem aktora.

— Czy nie moja wina?

Coraz złocej, coraz cudowniej na świecie i w izbie. Aż coś duszę wyrывa, taki szafir nieba trochę czerwony, przez gałązki smreków przegląda. Jakiś mały ptaszek świergoce cichutko.

Drzwi otwierają się — do izby wpada Porzycki. Cały spocony, tak biegł szybko.

Niesie fenacetynę z apteki, szynkę i ostatnie *Liberum veto*.

— Cale zakopiańskie! — woła, rzucając matce na kolana czerwony zeszycik.

Spogląda na Porzycką i w tej chwili dorozumiewa się, że się „coś“ stało.

— Cóż tam nowego? — pyta.

Ona podaje mu anonim.

Czyta, obcierając pot z czoła, wreszcie wybuchając śmiechem.

— A to zwierzę!..

Porzycka przerywa mu gestem.

— Mniejsza o list. Tu chodzi o fakt. Czy to prawda?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Co się dzieje? — zapytał. — Nigdy ze mną nie mówiłaś o *takich* sprawach. I było nam z tem

dobrze. Dlaczego teraz moja staruszka zmienia taktykę?

Porzycka spuściła oczy.

— Tak... masz rację. Nie mówiłam nigdy z tobą o tych... drobiazgach. To rzecz twoja. Każdy człowiek jest panem swego losu... Ale — ja sama nie wiem, dlaczego robię ten wyjątek!.. Chciałabym, żeby anonim skłamał. Chciałabym bardzo...

Porzycki zwraca się do stołu, rozwija przyniesione pakunki. Nie patrzy w oczy matki.

— Anonim kłamie! — mówi, lekko wzruszając ramionami.

— Kłamie?

— Naturalnie. Pomiędzy mną a panią Żebrowską niema *nic*, prócz przyjaźni.

— Nic?

— Ależ nic. — To ta głupia kołtunka z przeciwna mści się w taki sposób. Jak mama może temu dawać wiarę? To bardzo uczciwa kobieta pani Tuśka... A zresztą... Ach Boże! Mamuńciu, czy wszyscy ludzie są zwierzęta?

Twarz Porzyckiej pobladła.

— Och, Lulu! — mówi z wyrzutem — ja o tem nie myślałam.

I z tego pobleśnięcia, z tonu tego głosu, niemal przerażonego, czuć łatwo, że ta czysta dusza nie tknęła myślą tego, co jest w miłości najgorsze, najfatalniejsze i najwięcej wiążące lub odpychające.

Zapadło milczenie.

Porzycki czuł, iż przekroczył granice, że powiedział to, czego wobec matki wymówić nie powinien.

Ona zaś zmartwiała, bynajmniej nie uspokojona, lecz przeciwnie, nagle przypuszczająca możliwość tego najstraszniejszego faktu, który dla niej po za uświęconym związkiem przybierał rozmiar zbrodni,

I ogarnęła ją ogromna trwoga o tamtą kobietę i o to dziecko, które stały nad przepaścią. Kobieta przez możliwość upadku — dziecko przez stanie się córką kobiety upadłej.

Zwróciła strwożone oczy ku synowi.

— Lulu!

Szybko zbliżył się ku niej i przy jej kolanach na ziemi przysiadł.

— Co, matuś?

— Może... możebyś wyjechał?

— Ja? po co?...

— Widzisz... ja się lękam...

— O mnie?

— Nie. O — nie, o Tuśkę — o Pitę!

Zaczął się śmiać, nawet dość szczerze.

— Ale nie bój się, mateczko! — Nic im się nie stanie. Zresztą one jadą.

— Kiedy?

— W tych dniach.

Odetchnęła z uczuciem ulgi.

— Chwała Bogu!

Zerwał się z miejsca, wykręcił pirueta.

— Tak! A teraz proszę zażyć fenacetyny i położyć się na chwileczkę. Proszę mi oddać ten anonim. Włożę go w kopertę od papieru Rigollet i odeślę pani Warchlakowskiej. Trzeba oddać Cezarowi, co jest Cezara.

— Proszę cię, nie rób tego.

— Dlaczego?

— Mścić się będzie jeszcze gorzej.

Egoizmem męzkim uniesiony, zawołał z lekceważeniem:

— Ja sobie drwię z tego.

— Mnie o ciebie nie chodzi, ale o panią Żebrowską.

— E! i ona drwię sobie będzie.

Porzycka, która już wstała i przy stole przygotowywała sobie proszek — zapytała nagle:

— A jej mąż?

Nastąpiła chwila milczenia.

To słowo, wpadające nagle w tę sprawę nie zbyt czystą, przywodziło ze sobą wspomnienie o istnieniu człowieka, o którym wszyscy zapominać się zdawali.

— Jej mąż? — podjął wreszcie. — Jej mąż, jeżeli jest człowiekiem uczciwym, nic sobie z plotek robić nie będzie!

Głos jego był jakiś niepewny. Czuć było, iż w to, co mówi, nie bardzo wierzy i że pragnie po prostu przerwać przykrą dla niego rozmowę.

Za chwilę rzeczywiście wyprowadził rower i pognął na nim, jak szalony w stronę miasta.

Porzycka jednak uspokoić się nie mogła.

Postanowiła nie mówić nic Tuśce o otrzymaniu anonimu — pragnęła jednak przed wyjazdem zapewnić się, iż nie stanie się nic takiego, co może zniszczyć spokój całej rodziny i zatruć kobiecie jej przyszłość.

Z oczyma, utkwionemi w ginącym w mroku obrazku Matki Bożej, który Lulu zawsze i wszędzie z jej woli miał nad łóżkiem — leży Porzycka, szarpana wielkim niepokojem. — To — brzydkie, to ludzkie, to zakrywane do tej chwili przed nią — zdrada, wiarołomstwo, naruszenie przysięgi zaczyna tłoczyć się ku niej widmami o trujących, strasznych oddechach. — Okalają ją wieńcem, wypełniają z kątów. A ona — kobieta siwa, zwiędły kwiat mogilny — drży przed ich zbliżeniem.

I obrony innej nie widzi, tylko ten drobny obrazek w pluszowej ramce, emaliowany, z którego wygląda twarz słodka i jasna, jak jutrzana gwiazdka.

— Matko Boża!... broń ich! broń!...

Sciemnia się zupełnie. Razem z tą ciemnią, jaka zapadła na tę chatę góralską, jakaś tragiczność zaczyna upiornie rozpościerać swe skrzydła.

Porzycka czuje się bezsilną. Rozumie, iż życie jej nie było tą prawdziwą częścią wybujałości i rzeczywistych treści życiowych. Przeszła, jak cień, w swej uczciwej białej szacie kochanej żony i matki. Dobrocią swoją i nieskalaną bielą swej duszy przeskadzała często spełnieniu się czynów złych, lecz były to czyny drobne — nic nieznaczące, wobec spiętrzenia się groźnych fal namiętności, niepewności, nych, ścierających się w centrze życiowego terenu.

Czy jej słaba, błada i smutna dobroć potrafi zażegnać choćby tę ciemnię tragiczną, wśród której coraz silniej rozwijają się złe instynkty mieszkańców tej chaty?

Czy ona to może?

Słyszysz, iż po dziedzińcu chodzi Tuśka i syn jej — chodzą, rozmawiając przyciszonym głosem. Nie słyszysz wyrazów, ale sam ton ją trwoży. Nie wie — ale może tak rozmawiają właśnie ludzie w przededniu upadku. Wstaje szybko, narzuca okrycie, wychodzi przed dom.

Oddalili się.

Zniknęli w ciemni, wśród belek, nagromadzonych do budowy nowego domu.

Śmieją się.

Słysząc głos Lulu. Wtórjuje mu Tuśka. A potem nastaje znów cisza. Porzycka powoli przyzwyczajają się do ciemności. Dostrzega syna, Tuśkę, jak oparci o belkę, nadzwyczaj blisko, prawie przytuleni do siebie, znów coś szepcą.

— Matko Boska! chroń ich!...

Na niebie wyiskrzyły się gwiazdy. Od świeżo skoszonej łączki zanoszą sianem, aż serce podrywa.

Porzyckiej opadły ręce. Stoi coraz więcej smutna i bezradna.

— Co począć?

Nagle jakaś drobna rączka wsuwa się jej pod ramię. Mała postać lgnie ku niej, jak kwiatek wiochem przynany.

I głosik cichutki:

— Już panią głowa nie boli?

Pita w swym na ramiona żakieciku tuli się do niej nieśmiało.

Porzycką ogarnia jakieś wielkie rozrzewnienie.

Obejmuje dziewczynkę i osłania połą swej peleryny.

— Nie, Pitusiu — głowa mnie nie boli. Ale...

Urywa.

Chce powiedzieć dziecku, że jest smutna i powstrzymuje się.

— Po co ją dręczyć?... — myśli.

Ale Pita z pod fald okrycia podnosi ku niej swą bladą, anielską twarzyczkę.

— Pani smutna? — pyta.

Porzycka z rozrzewnieniem zwraca się ku dziecku.

— Tak, Pito... jestem smutna.

Pita ma tak wielki takt, że nie zapytuje „co pani jest“ — tylko silniej przytula się do swej nowej przyjaciółki.

— Może pani pokazać Wielki Wóz — proponuje uprzejmie — o!... tu — te trzy gwiazdy, to dyszel — a tu koła... proszę, niech pani patrzy.

Ku gwiazdom zwraca swe promienne, błękitne oczy i ku gwiazdom w swej czystości anielskiej nie się, jakby na skrzydłach, smutek tej starej kobiety.

— A ta gwiazda, która, jak brylant świeci, o... tu... to się nazywa...

Obie patrzą teraz na gwiazdy i na obu twarzach blask płonących w górze światła zdaje się mieć odbicie w jasnej czystości ich źrenic...

## XXV.

Jak cień biały, tak przemknęła Porzycka przez Obidowską chałupę.

Tych dni kilka spłynęło srebrną strugą, ożywcza i miłą.

Ostatnie chwile były cokolwiek zasepione i już sztuczna atmosfera zaczynała przebijać się coraz silniej.

Porzycki powiedział Tuśce o anonimie, lecz milczącą ugoda nikt, gdy byli wspólnie zebrani, nie mówił o tej ohydzie.

Tylko — Tuśka akcentowała ciągle swój przyszyły wyjazd. Nie oznaczała jednak daty.

Gdy nagłona przez Porzycką, aby razem wyjechały, czuła, iż musi zdecydować się na coś stanowczego, odpowiedziała:

— Czekam na list od męża!

Porzycka czasem porywała się, jakby chciała wywołać u Tuśki poryw szczerości. Z taką chęcią, choć przykro jej to było, razwinęłaby całą sprawę — uprosiła, uspokoiła siebie i swoją myśl, która przemawiała ją trwogą, dawniej jej nieznaną.

Lecz Tuśka spowila się w pancerz skrytości i wyciągnęła ze wszystkich szufladek swej duszy nabytą latami sztukę pokrywania istotnego stanu rzeczy szablonowym uśmiechem.

Bezwiednie nabierała zręczności indyanina, który prowadzi wojnę za pomocą genialnych podstępów, zaszyty w trawę, napozór zimny i wystygły.

Wszystkie kobiety, nieprawnie zakochane, nagle objawiają takie zdolności strategiczne. Tworzą dokoła siebie wał nieprzebyte. Ten, kto się chce dobrać do wnętrza ich duszy, potyka się o tak umiejętnie spiętrzone przeszkody, iż cofa się zniechęcony-

Kobiety nieprawnie zakochane bronią w ten sposób swej miłości, jak skradzionego skarbu.

Tuśka była jedną z nich.

I stała już na straży z ustami, uzbrojonymi w uprzejmy, grzeczny uśmiech. Przybierała pozór tak *correct*, iż nie można było zbliżyć się do niej ze słowami:

— Pani zakochana... a ja właśnie chcę ostrzedz pania...

Porzycka znajdowała się bezradna wobec takiej sytuacji. Pocieszała się wyjazdem blizkim. Kilkakrotnie zaczynała zlekka rozmowę o zmienności uczuć syna, lecz spotykała się znów z lodowatym milczeniem ze strony Tuśki.

Natomiast — to, co byłoby uszło dawniej jej uwadze: spojrzenia szybkie, zamieniane przy stole, uściski rąk dłuższe przy pożegnaniu — wszystko to uderzało Porzycką, jak ciosy.

— To nieuniknione... — myślała.

I wtedy zwróciła się ku Picie.

Dziewczynka zmieniała się bardzo.

Od chwili wycieczki do Morskiego Oka — Pita ciągle była poważna i milcząca. Lecz przed zbliżeniem się Porzyckiej Pita była raczej gniewna.

Obecnie Pita była... smutna.

Błękitne oczy zaczynały tchnąć jakąś melancholią. Unikała wzroku matki i nie śmiała się z conceptów Porzyckiego. Natomiast całą duszą garnęła się ku Porzyckiej. Robiła to skrycie. Skradała się, jak kot, w sekrecie przed matką, jakby wstydziła się tej potrzeby pieśzcot i tulenia się w objęcia tej dobrej, siwej pani.

Nie przyznawało się nigdy Porzyckiej do tego, że jej smutno. Kto wie? Pita sama może nie mogłaby dokładnie zanalizować tego, co się w niej działo. Czula tylko, że pomiędzy matką a Porzyckim jest łącznik, coś, z czego ona jest wyodrębniona. I smutno jej było, że jest sama, że nie ona jest

istotą główną, że jest widocznie za małą, aby ją przypuszczono do jakiejś tajemnicy, której istnienie instynktem wyczuwała. Przytem Porzycka sposobem życia, tą rozumną, a przecież tak doskonale zastosowaną do drobnej jej bądź co bądź uczuciowości metodą, tym głosem pieścącym, jak kołysanka, działała na nią w sposób jej miły i nieznan.

Pita odpoczywała.

Pita rozumiała, że tak, jak żyła poprzednio — to żyła sztucznie, wydzwignięta na jakąś wyżynę, po której chodzić jej było trudno. Porzycka wzięła ją za rączkę i sprowadziła na ścieżkę, udeptaną dla jej myśli i dla jej nówek.

I dlatego Pita przy Porzyckiej odpoczywała, stawała się dzieckiem, małą dziewczynką — Pitusią — ową Pepi (Józią), która chętnie na kolanach siada i lubi dłoń, gładzącą jej złote włosy...

W przeddzień odjazdu — po raz ostatni zeszło się grono Obidowskiej chałupy na werandzie u Tuśki.

Lekki cień melancholii panował dokoła. Wszyscy byli smutni. Jedynie Tuśka grała rolę swobodnej, gotującej się do drogi kobiety.

— Pani dziś... kto wie, my pojutrze...

Porzycki spojrzał jej głęboko w oczy.

Nie wytrzymała jego wzroku. Serce jej ścisnęło się na myśl, że może rzeczywiście pojutrze odjechać będzie musiała.

— Och! zostać! zostać! za jakąbądź ceną — myślała, zamierając z tej chęci.

I równocześnie obliczała stan kasy. Na ile dni starczy jej jeszcze pieniędzy? Gdyby nie Pita, żyłaby bułkami i mlekiem, aby tylko pozostać jak najdłużej. Z jakąś złością spojrzała na dziewczynkę, która siedziała osowiała, zgarbiona i także posmutniała.

— A ty Pito — czy chciałabyś wrócić do domu? — zapytała Porzycka dziewczynki.

Pita zarumieniła się gwałtownie. Przelknęła parę razy ślinę i spojrzała z nalogu w stronę matki.

Pita zastosować się musi do okoliczności — wyrzekła cierpko Tuśka.

— Pita się musi cieszyć, że zobaczy tatusia... — rzuciła Porzycka.

Nie było odpowiedzi.

Ile razy Porzycka wspomniała o tym „tatusiu“, zawsze milczano, jakby nagle anioł milczenia przeleciał.

Czy nie chciano o nim mówić, czy nie miano co o nim do powiedzenia?

Jej syn, raz zapytany — odpowiedział:

— To zdaje się bardzo przyzwoity człowiek! — I to było wszystko.

A przecież Porzycka czuła, że ten nieobecny mąż, to jest właściwie główna osoba całego dramatu, który się tu rozegrywa.

Nie było go, nie mówiono o nim, a przecież on tu był ciągle panował w przestrzeni sobą — swoim honorem, nazwiskiem, pomimo, że wyrzucano go za nawias długich spojrzeń i milczących uścisków ręki i całej tej podnieconej sfery uczuć, która wzrastać się zdawała z każdą godziną, z każdą chwilą.

I dziś, gdy siedzi Porzycka między Tuśką a Pitą, myśli ciągle o nim, o tym nieznanym, a tak bliskim przez ten tajemny węzeł, jaki zaczyna się motać dokoła nich wszystkich. I ciągle mimowoli wtrąca do rozmowy tego „tatusia“ — tego „męża“. jakby przyzwąć go chciała na straż, na obronę tych dni kilku, gdy ona odjedzie.

Niepokoi ją także zachowanie się syna. Lulu traci humor, fantazyę. Jest więcej zamyślony, krąży ciągle dokoła Tuśki. Porzycka widywała go już ta-

kim, ale nie widywała go nigdy, jak się to dzieje. Był już zwykle zakochany po za domem. Dziś ona asystowała wszystkim fazom powolnie rozwijającej się miłości. I to ją niepokoiło, dręczyło, sprawiało ból nieledwie. Zdawało się jej, że jest to jakaś choroba, na którą ona nie ma lekarstwa i musi patrzeć, jak go ogarnia.

I w tej chwili Lulu odszedł od stołu, oparł się o balustradę werandy i melancholijnie pali papierosa. — Ta melancholia dodaje mu uroku. — Oczy przyćmiewa długą rzęsą. — Porzycka patrzy na niego i przyznaje w duszy, iż Lulu jest śliczny, zgrabny, miły i niezwykły. I lęka się i trwoży.

— Biedny pan Zebrowski!... — myśli — Boże! biedna Pita!..

Od pół dolatują zmieszane głosy — zachód nadchodzi szybko — cały szary, bezsłoneczny.

Tylko chwilę widmem srebrnem zamajaczyło słońce w chmurach i znikło. Góry pokrywają się warstwą rozwleczonej mgły.

Zanosi zdaleka deszczem.

Drogą od miasta idzie listonosz.

Zmierza prosto ku Obidowskiej chałupie.

— Depesza!

— Do kogo?

Ku Tuśce zwrócony świstek, napis, ołówek. Bierze depeszę i cała drży z trwogi, że mąż oznajmia jej dzień, w którym czekać na nią będzie.

Czuje na sobie utkwiony wzrok Porzyckiej. Podpisuje pokwitowanie i otwiera wolno depeszę.

Czyta.

Oplywa ją rumieniec radosny. Na twarzy jednak niema, oprócz tego rumieńca, żadnej zmiany.

Powściągnęła się w dobrą chwilę.

Depesza zawiera tylko kilka słów:

„Zostańcie jeszcze. Pieniądze i list wysyłam.

. Żebrowski“.

Tuśka podnosi oczy od depezy i spotyka się ze źrenicami Porzyckiej.

W jednej chwili wyczytuje w nich, jaką trwożę czuć musi ta kobieta na myśl, iż oni dwoje pozostaną sami po jej wyjeździe.

— Od męża—mówi niedbale. — Każe mi czekać na list.

— A!..

Porzycki pali dalej papierosa i asystuje tej scenie niemy i jakby obojętny. Tylko mu coś tam w głębi źrenic migoce, jakby jakaś ukryta iskierka.

Tuśka składa telegram i zasuwa go za pasek, który przytrzymuje jej bluzkę.

I od tej chwili rozpoczyna się manewr Tuśki, aby pozostać sam na sam z Porzyckim. Zaczyna udawać, iż jest jej chłodno. Porzycki ofiarowuje się przynieść jej rotundę i biegnie do pokoju. Za ledwie znikł we drzwiach, podnosi się Tuśka i woła:

— Ależ nie, lepiej żakiet!

I szybko wybiega za nim, już w biegu wydobywając telegram z za paska.

Zapominają, iż drzwi od werandy są szklane i firanka uchylona. Porzycka, siedząca naprzeciwko drzwi, widzi najdokładniej, jak Tuśka podaje mu telegram, jak on czyta ów świstek, jak oddając całuje ją długo w rękę i jak potem oboje wpadają na werandę zadowoleni, ona w narzuconym krzywo żakiecie, a on z rozjaśnioną i uspokojoną miną.

— Dlaczego oni się tak cieszą? — myśli Porzycka. — Czy dlatego, że zyskali jeszcze kilka godzin, a może dni kilka?..

Jest jeszcze ktoś, kto widział ową scenę — to Pita. Skurczyła się jeszcze więcej i osowiła, bo każda chwila przynosi jej potwierdzenie tego smutku, że ona jest zbyteczna i z dawnej „trójki“ wyłączona. Myśli jeszcze, że jutro odjedzie i pani Po-

rzycka, a ona pozostanie sama jedna, i zaczyna się lękać tej samotności — i lękać i trwożyć.

.....

Na peronie dużo ludzi, ruch straszny, niemily, denerwujący.

Dużo osób odjeżdża, natomiast dużo przyjedzie.

Jak w kalejdoskopie, zmieniają się całe warstwy strojnych mrówek, które tak zuchwale obsiadły stopy olbrzymich gór i zadzierają ku nim nosy i draپیą ich boki.

Stroje i sporty mieszane. Paryż i Anglia—coś bajecznego. Trochę domieszki krajowych porywów. Ogień słomiany. Dużo młodzieńców i dziewczę z pocztówkami, aby je wrzucić do wagonu.

Mizerny, nędzny pociąg, cuchnący zdaleka, brudny i klekocący! Jakiś ma złośliwy wygląd. Figlarz to znany. Wiadomo. Za pobrane pieniądze będzie pasażerów stale umieszczał w kurytarzach. Niedezynfekowane wagony hoduują z troskliwością płwociny gruźlicze. Zaślinione chodniki są edenem laseczników. Pasażerowie wytrwale plują w dalszym ciągu, pomnażając ilość hodowli.

Przy wagonach stoją grupy „odprowadzających“. Kilka mizernych bukietów sprawia sensację. Jakieś dwie panny, które grały z powodzeniem rolę „posażnych“, mają po funtowem pudełku cukierków i po wiechciu już zwiędłych goździków w ręku. Mówią głośno i przeginają się wdzięcznie. Ich adoratorowie odziani w ponczochoy i kostiumy cyklistów. Wdzięczą się wszyscy czworo z bolesnemi wyrazami twarzy. Są wspaniali w swej wytrwałości wzajemnych oszukańców...

Niedaleko nich Porzycka stoi w otoczeniu Tuśki, Pity i syna. Tuśka dała jej ładny bukietik—syn cukierki. Ale już się coś zerwało—już Porzycka czuje tak, jak Pita, że jest niepotrzebna, że musi



usunąć się, bo tu idzie coś groźnego i coś niepo-  
wstrzymanego.

## XXVI.

Jakieś dziwne uczucie przejęło Tuškę, gdy wra-  
cała tak z Porzyckim i Pitą z dworca po odprowa-  
dzeniu Porzyckiej. Uczuła pewną ulgę, bo w osta-  
tnich czasach niespokojne oczy tej dobrej kobiety,  
zdające się ją o czemś przestrzegać, o coś prosić —  
odbierały jej resztę równowagi i tak już zupełnie  
prawie zniszczonej przez wtargnięcie w jej krąg ży-  
ciowy nieznanego jej przedtem uczucia miłości.

Tuška rzeczywiście *kochała się* w Porzyckim.  
Tak.

Kochała się.

Co za cudowna subtelność naszej mowy, ten  
odcień drobny, nie nieznaczący.

Kochać.

I — kochać się!

Kochać — to ukochać tę drogą istotę z całym  
bólom, jaki nam sprawiać mogą jej wady, jej wy-  
stępkę, kochać przez łzy, przez ból, przez cier-  
pienie.

Kochać się?

Kochać *siebie* w tej miłości, a to jest wszystko,  
co daje nam zadowolenie, co nas mile po sercu  
głaszcze, co nas wywyższa w naszych oczach, pod-  
nosi i pochlebia.

I Tuška kochała siebie taką, jaką wiedziała, że  
jest w oczach Porzyckiego, lub jaką się jej zdawa-  
ła, że jest w oczach Porzyckiego.

Lubiła, gdy śledził jej ruchy, jej gesty i starała  
się uczynić je piękniejszemi, więcej przepojone gra-

cyą.—Rozmiłowany po aktorsku w fatalaszkach i świe-  
cidlach, znał się dobrze na szczegółach stroju kobie-  
cego i tę znajomość, nabytą po garderobach koleża-  
nek, aplikował zwykle w swych miłostkach i flir-  
tach.—Nigdy Tuška nie rozumiała tak wartości do-  
boru kolorów, linii sukni, piękności ornamentacyi,  
jak w jego słowach, któremi owijał ją niejako, jak  
przedzą kunsztowną. Zwracał uwagę na każdy naj-  
drobniejszy szczegół ubrania jej i Pity — przyglądał  
się klamrom pasków, „szczoteczkom“, któremi suknie  
na dole były podszyte, guzikom rękawiczek, dese-  
niom mereszek przy bluzkach — liczył zakładeczki na  
rękawach i liczbę wstawek, strojących karczki su-  
kien.—Co do biżuteryi, miał ją w pogardzie i tylko  
tolerował u kobiet jedne i te same zwykle kolczyki  
i jeden lub dwa pierścionki.

— Tu—mogła Tuška uczynić zadość jego wy-  
maganiom. Miała bardzo piękne turkusy oprawne  
w rozety i zaczęła je nosić codziennie. Odrazu ży-  
skały jego aprobatę. Ten śliczny kamień czarująco  
przebijał przez chmurę złocistych włosów, jak bła-  
watek przez snop zboża. Kilkakrotnie zwracał na to  
uwagę Tuški i mówił do niej ze ślicznym uśmie-  
chem:

— Kocham się w jej kolczykach!

Bo i on także kochał *siebie* w niej, czując, że  
i ona wrażliwa jest na jego gracyę, wdzięk, strój,  
pozę, dowcip i siłę. Prezentowali przed sobą to,  
co mieli najkorzystniejszego i wdzięczni byli sobie  
za to, że są wzajemnie dobrymi słuchaczami i wi-  
dzami.

Gdy które z nich odiało się rano ze szczegól-  
niejszą starannością, lub jako ludzie nerwowi, czuli  
się *en beauté* dnia tego, śpieszyli ku sobie, cią-  
gnięci chęcią pokochania siebie w uprzejmie chwa-  
lących oczach drugiego. Przybierali przytem trochę  
nienaturalne pozy, zwłaszcza ona, dla której to *pa-  
wienie się* miłosne było zupełną nowością. On był

o wiele spokojniejszy, mając ciąglą w tym względzie praktykę. Gdy nie było publiczności, aby się w niej uwielbiał, zawsze wynalazł bodaj jedną kobietę do takiego filtrowania swych doskonałości. Czynił to bez cynizmu i zupełnie naturalnie. Dlatego też był sto razy niebezpieczniejszy, niż cynik rozkochany naprawdę. Starał się bowiem podniecać ciągle wyobraźnię Tułki, przedstawiając się jej jak najkorzystniej i najpiękniej. Ztąd rzeczywiście Tułka była jak oszaloniona i zaczynała nie zdawać sobie sprawy ze swych czynów. Gdy pozostała sama, oprzytomniała na chwilę i starała się znów wmówić w siebie „przyjaźń“.

Lecz wystarczało jedno wspomnienie jego oczu wpatrzonych w nią, lub mignięcie jego sylwetki w błyskawicy myśli, aby żar opływał biedną Tułkę i ona porывała się, jak ptak do lotu...

Dokąd? gdzie?...

Sama nie wie.

Bo już zaczęła się powoli serya spotykania się oczu w jakichś porozrzucanych strzałach, które są tak silne, że aż ból sprawiają.

I zaczęła się serya spotykania rąk, wypadkowo do siebie dających coraz częściej, coraz dłużej, coraz silniej.

A potem słowa urywane, niewypowiedziane, zamieszane pomiędzy nimi, jak puchy z kulbab na łąkach, które wichur rozwieją.

W szklance koło łóżka Tułki mokną jakieś kwiatki, które on jej cały dzień znosi, podaje, wrzuca na werandę, przez okna do jej pokoju...

W szklance koło łóżka Porzyckiego moknie także, to jakaś śliczna róża, to trochę narcyzów, które Tułka mu przynosi z miasta od ogrodnika.

Tułka ma teraz już muzeum pamiątek. Dużo zeszlęgo zielska, dwie karteczki, jakiś kamyk z Morskigo Oka.

Bo Tułka zaczyna wkraczać w to, co ludzie nazywają... drugą wiosną!...

Tak—drugą wiosną!

Różowa jest, biała i złota. Oczy jej wyblękitniały, usta czerwieńsze, włosy bardziej złote, uszy różowsze — muszle rąk bardziej gładkie, chód piękniejszy, ona cała aż promienieje, dziwnie, lecz niezaprzeczenie.

Nie leży teraz długo na łóżku pod nagromadzeniem pledów, kołder, halek i serdaków. Skoro słońce się zjawi, wita je z uśmiechem. Nie gniewa się już na jego promienie. Siada na łóżku, rozgarnia swe złote włosy i patrzy prosto w okno, z kądem płynie jasność i chłód rozkoszny.

Porzycki nauczył ją takiej cichej modlitwy powitalnej i kazał jej przyjaźnie uśmiechać się do pierwszych promieni słonecznych. Na chłód kazał jej odsłaniać twarz, szyję, piersi, całą siebie i chłonać go w siebie, jak ożywczy zdroj. Tułka czyni to i dziwi się, jak mogła gniewać się za to, że ku niej przez okno płynął taki rzeźwy dzień, taka jasność, a ona wołała zamykać powieki i odwracać się gniewnie do ściany, jak kret w jamie zakopana w pościel.

— Dosyć się naśpimy w trumnach—powiedział do niej raz jeden Porzycki ze śmiechem, stukając dół jej drzwi o piątą zraną.

Porwała się wtedy w pościeli, i gdy on już na rowerze popędził jak szalony, otworzyła okno i zbiegając w źrenice czar budzących się traw i wylaniających się z mgły porannej gór — rozmyślać zaczęła nad słowami aktora.

— Tak... prawda... dosyć będzie czasu w trumnie!...

Przez chwilę miała chęć zbudzić Pitę i zawołać do niej tak samo:

— Wypisz się, gdy umrzesz!...

Ale—wolała pozostać samą!

Wogóle teraz Pitę przyzywała tylko w krytycznej chwili, gdy ogarniało ją przy Porzyckim tak wielkie zmieszanie, iż przytomność ją odbiegała. Inaczej czuła ulgę, gdy dziecko odsuwało się od niej i nie plątało się przy niej, bo dziwne, nieokreślone uczucie szarpało wtedy nią całą.

Pita przypominała jej rzeczywistość.

Pita była Warecką ulicą — ciasnym mieszkaniem, grzecznym mężem, milczącymi chłopcami, słowem tem wszystkim, o czem Tuśka obecnie myśleć coraz mniej chciała, czy mogła.

Wolala żyć terazniejszością.

Słońcem—górami—i...

Kochać się!

Nadszedł wreszcie list od męża.

— „Kochana żono! — Bardzo mi jest przyjemnie, że mogę ci posłać jeszcze dwieście rubli. Proszę cię, nie wyjeżdżaj i skoro ci kuracya służy, używaj dalej powietrza razem z Pitą i lecz się pilnie, aby przynajmniej te koszta nie poszły na marne. Wystarałem się o te pieniądze i mam jeszcze obiecane pięćdziesiąt rubli, ale to już wszystko, co mogłem dostać. Postaram się, aby to spłacić. — Ty o ile możności, oszczędzaj, abyś mogła być jaknajdłużej. Ja—musiałem zmienić restauracyę, bo bardzo mi zaczęli źle jeść dawać. — Przeważnie jem rosół i sztukę mięsa, bo mnie tem nie strują. Byłem ciągle chory na żołądek i przestałem jadać kolacyę. — Przynoszę sobie do domu coś od rzeźnika i stróż mi nastawia samowar. Szkoda, żeś tak wszystko pozamykała, bo mam jedną szklankę do herbaty

i do płókania ust. Tak samo i ręczniki. — Chłopcy są zdrowi, tylko podarli obuwie i musiałem im czempredziej wysłać z Warszawy. Tutaj straszne upały — poprostu można w biurze zemdleć i wczoraj myślałem, że upadnę, wracając do domu.—Palmy ciągle mają weszki i nic im tytuń nie pomaga. — Każę także wynosić na ganek materace na słońce, bo podobno słońce zabija bakterye. Dwieście rubli łączę. Teraz kurs jest sto dwadzieścia sześć i pół—uważaj, żeby cię nie oszukali. — Zajrzyj do gazety. Nie mam ci nic więcej do doniesienia.—Całuję ciebie i Pitę. Twój przywiązany mąż

„Walery“.

Tuśce opadła ręka z listem, i siedziała tak długą chwilę na werandzie w milczeniu.

— Chory na żołądek...—myślała—ręczniki, buty... szklanka... sztuka mięsa... jakie to wszystko trywialne, jakie smutne, bezbarwne...

I takie od niej dalekie!

Niedawno jeszcze byłaby rzeczywiście zatroszczyła się o to, że on musi płókać zęby i pić herbatę z jednej szklanki, że chłopcy tak forsownie draż buty, że palmy mają weszki — a dziś nietylko, że jej to wszystko obojętne, ale przeciwnie, jakies wstrętne.

— I o czem?... — pyta Porzycki, opierając się o balustradę werandy.

Podszedł cicho, jak kot.

Na kolana rzucił jej cudownie piękny, prawie czarny mak, pełny i rozkwitły.

Ten mak!

I ten — list.

Zmięła list i wsunęła go w torebkę—pieniądze przedtem wyjęła i umieściła za gorsem.

Mak pieściwie podniosła do ust.

— Jaki śliczny!

— Pani ślicniejsza.

— Ja?

— Tak — dziś pani jest śliczna. Oczy ma pani jeszcze turkusowsze, niż turkusy w uszach. — A... jaka cacana bluzka... Te kwadraciki weale, weale...

Tuśka kupiła wczoraj czarną, jedwabną bluzkę, w którą były wstawiane kwadraty z czarnej koronki. Delikatne ciało o złoto morelowym połysku przeświecało przez oczka koronki.

Porzycki oczyma w te kwadraciki się wpіл.

— Atlasy!... — wyrzekł z uśmiechem.

Tuśka uduła, że nie rozumie.

— Ależ to jedwab i irlandzka koronka.

— Ja mówię o tem, co pod koronką...

Rumieniec oblał twarz Tuśki.

— Och!...

Zarumieniła się jeszcze gwałtowniej, dostrzegłszy, że o kilka kroków od niej stoi Pita.

Dziewczynka, ciągle smutna i coraz więcej zamknięta w sobie, trzymała w ręku korespondencyjną kartę z jakimś widoczkiem.

— Czego chcesz? — spytała ją szorstko Tuśka.

Twarzyczka Pity pozostała niezmienniona. Błękitne oczy osunęły się po twarzy matki i błakać się zaczęły dalej.

— To pani Porzycka napisała do mnie karteczkę — wyrzekła, kładąc korespondentkę na stole. — Listowy ją zostawił z listami u gaździny!

Tuśka wzięła w rękę kartę. Kilka zdań ciepłych, ładnych, miłych. Dla niej — ukłony i słowa przyjaźni. Był to jakiś cichy, nieśmiały głos, który odzywał się zdaleka. Przez chwilę zdawało się, że to sama Porzycka jest pomiędzy nimi jeszcze i patrzy na nich błagalnie, niespokojnie...

Tuśka, chcąc ocknąć się z tego wrażenia, zwróciła się do Porzyckiego:

— Mama pisała do pana?

— Tak, dziś rano.

— Cóż pisała?

— Och!... nic!... przyjechała szczęśliwie. Zachwycona panią, Pitą... Zakopanem... mną — słowem wszystkiem!

Nie mówi przecież, co było główną treścią listu matki. Gorąca prośba, niewyraźna, a przecież istniejąca w każdym niemal słowie.

— Choćby przez wzgląd na Pitę...

Lecz rzeczy już zdaleko zaszły.

Porzycki stoi na tym punkcie, na którym mężczyzna zdaje się tracić zupełnie wolę i iść naprzód jakby z zawiązanymi oczyma.

— Ja do pani, jak do miodu!...

I idzie do Tuśki, za Tuśką, przy Tuśce, jak zwierz oblaskawiony, jak cień przykuty i niemożliwy do oderwania się choćby na chwilę.

Takie przynajmniej robi wrażenie.

Cicho, spokojnie Pita od nich odchodzi i wsuwa się na dziedziniec, gdzie chałupę budują. — Tam — siada na kupie belek, składa rączki i patrzy przed siebie w złoto trocin, na własne nóżki wyciągnięte i opięte w białe, czystocienne trzewiczki. — Przed nią staje gaździna.

Patrzy na śliczną dziewczynkę, jakby z żalem. Przypomina jej się własna Hanusia, którą takuśką pikną i małą pochowała na cmentarzysku, za kościołem — hej!... Była ona u niej „jedynica“ i pikna jak obrazek jaki.

— Kielo to temu lat? — myśli, patrząc na siedzącą na belkach Pitę — musi ze dwa dziesiątki i pięć... Ocy miała tagie wielgie i niebieskie, a włoski jasne. Jakem ją odziała w gorset, to była taka, jakby już rosła dziucha. A było jej dziesięć zaledwie roków...

Dziesięć roków!...

Podparła brodę na ręce i ciągle na Pitę patrzy...

— Tak se siadała tyz na belkowinach i rączki składała, jak do modlenia...

Słonko po za nią świeciło, jak za tom panienkom świeci... i włosięta się jej zlociły, jako tej. A ja się ze starej chałupy cudowałam... i cieszyłam..

Hej!..

Pita wreszcie odrywa wzrok od swych bieluszych bućków i na gaździnę patrzy.

— Cni się wom?—pyta Obidowska.

Pita wie, że „cnić się“, to znaczy po warszawsku: tęsknić po kimś.

— Nie!—odpowiada grzecznie, skłaniając główkę na bok.

Lecz Obidowska powtarza uparcie:

— Cni się wom!

Obidowskiej także cni się... Tęskno jej dziś po zmarłym dziecku jedynem—bo mąż jej, Józek, staje się coraz dokuczliwszym. Wódki pić nie chce, od „starych wered“ jej wymyśla, chałupy stawiać nie chce—tylko na wirchy się drze, na swobodę. Rani ją ciągle dotkliwie, mówiąc jej bolesne słowa; mówi, że mu się ucia z całym dostatkiem. I w starej kobiecie aż coś lka, coś rwie się, coś jęczy, tak jest zmęczona tą walką nierówną z młodością silną i bujną — a tu nachodzi ją lęk, że zostanie sama w chałupie, sama czekając śmierci, jeśliby on „o rozum przisel“ i uciekł gdzie niebądź.

Wyszła z chałupy, gdzie mąż wytrzeźwiony rzucił się na nią wściekły i szyderstwa pelen. Aż coś ją za gardło chwyta, aby się do kogoś przytulić, albo kogoś do siebie przygarnąć. I zład to wspomnienie o Hanusi, co to w trumience tak dawno na cmentarz, za kościół odeszła.

— Zawsze dziecko więcej warte, niż chłop...—myśli i mimowoli Tuśki oczyma szuka.

Dostrzegła ona już dawno, że się coś święci między gościem a gościową.

„To je pańska rzecz“ — zawyrokowała sobie

w duszy. Ale dziś miałyby wielką chęć podejść do owej „gościowej“ i krzyknąć jej z całej siły:

— Dziecko jest więcej warte, niż chłop...

Na Pitę patrzy litośnie.

— Bidota! — myśli — sama tak siedzi, żeby im mętu nie robić...

Pogłaskałyby chętnie tę jasną główkę, ale jakoś nie śmie. Pita ma bardzo nieprzystępną minę. Patrzy na Obidowską, ale błękitne oczy mają tylko *swoj* smutek. Rzecz dziwna. Odczuwały przecież smutek Porzyckiej. Ale Pita ma *uprzedzenie* do chłopek. Patrzy na nie, jakby na obrazek, albo na lalki za szybą wystawy. Cały pas myśli jeszcze nie tkniętych rozdziela ją od Obidowskiej.

Góralka odchodzi powoli, jakby z żalem. Błąka się po dziedzińcu, wreszcie zaczyna ocierać belki fartuchem. Czyni to jednak bez poprzedniego zamilowania i temperamentu. Wzdycha i staje się na twarzy jeszcze ciemniejszą.

Pita tymczasem myśli.

Obidowska powiedziała jej, że—ona—tęskni.

Po kim tęsknić może? Pó tatusiu. — Nie. Nie uczuwa braku ojca, bo z nim, czy bez niego jej światek wewnętrzny jest jeden. Po braciach?—Także nie. Są oni dla niej zupełnie obcy. Nigdy nie zbliżyli się ku niej, ani ona ku nim. — A przecież Pita rzeczywiście tęskni...

Może do Warszawy?—Wie, że Warszawę zobaczy, a przytem Zakopane zaczyna jej się bardzo podobać; kto wie, czy nie więcej, niż Warszawa? — A więc—zostaje tylko—pani Porzycka.

Tak—po niej tęskni Pita. Przypomina sobie jej słodki głos, jej delikatne pieszczoty, to wszystko, co ta dobra pani do niej mówiła. Otrzymała kartka wzmaga tę tęsknotę. W karcie tej pani Porzycka wyraźnie napisała:

„Staraj się, droga Pito, nie opuszczać swojej

mamusi, być zawsze przy niej tak, jak dobrej córeczce przystało“...

Tak napisała pani Porzycka.

Pita z całego serca pragnęłaby wypełnić to polecenie. Ona chciałaby pozostać przy swojej mamie, ale jakże to uczynić, jeżeli mama tego nie chce?... Pita czuje to wybornie. Jej wrażliwa, nerwowa natura rozumie w każdym drgnieniu, w każdym spojrzaniu niechęć i cofa się przed tem wrażeniem z najwyższą melancholią. Przytem teraz ciągle jest z mamą pan Porzycki, a Pita, która z początku garnęła się do niego, jak do promienia słońca, teraz zaczyna uczuwać jakiś strach przed tym człowiekiem.

Śniło jej się raz, że porwał ją na ręce i rzucił w otchłań, gdzie dużo było dziewczynek. Te dziewczynki siedziały na kamieniach, lub chodziły po wyschłych i brzydkich trawach i płakały. Wszystkie były smutne i płakały.

— Dlaczego płaczecie? — spytała te dziewczynki Pita.

A one otarły na chwilę oczy rozpuszczonemi włosami, które im spadały na plecy i na piersi w kręcone loki, i za całą odpowiedź wyrzekły:

— Posłuchaj!...

Pitę doleciał z góry, od krawędzi przepaści, chór zmieszanych głosów. To były głosy kobiet, śmiejących się kobiet...

Ale to był dziwny śmiech — jakiś straszny, łaskoczący, ścinający krew w żyłach. Śmiały się te głosy, jak puszczyki — śmiały się strasznie, ale się śmiały... śmiały...

— Kto się tak śmieje?.. — zapytała Pita.

— *To nasze mamy!* — odparły dziewczęta.

I zaczęły znów płakać na dnie przepaści i ocierać oczy włosami, które spadały im na plecy i na piersi, jak złote i czarne płaszcze.

Taki był sen Pity.

I od tej chwili Pita bać się zaczęła Porzyckiego i często zdawało się jej, że ona błądzi wśród kamieni po żółklej i brzydkiej trawie, a zdaleka ktoś się śmieje dziwnie, strasznie, jak puszczyk, śmieje się przeciągle.

## XXVII.

— Kiedyż ma być to przedstawienie?

— Za dziesięć dni.

Tuśka gniewnie brwi zmarszczyła.

— A czy koniecznie pan musi grać jakąś sztukę? Czy nie może pan powiedzieć monologu?

Porzycki pokręcił głową.

— Komitet prosi o sztukę, a że już przyrzekłem...

Deszcz pada, chmurno, brzydko. — Całe strugi ukośnie siekają o szyby i Tuśka aż drży ze zdenerwowania. Porzycki, odziany w gumową pelerynę, chodzi do miasta, drwiąc z ulewy. Wczoraj powrócił późno, i zdawało się Tuśce po odgłosie jego nierównych w sieni kroków, że nie był trzeźwy. Gdzie chodził? — Z kim spędził wieczór? Nie mogła się go spytać. Bała się poprostu. Gdyby jej z dawną otwartością powiedział, że bawił się w gronie koleżanek i kolegów, czuje, że wybuchnęłaby płaczem. A wtedy — musiałoby dojść do wyjaśnienia sytuacji.

I..

Naturalnie Tuśka ani na chwilę nie przypuszcza możliwości jakiegoś ostatecznego upadku, ale jeśli on w tem rozżaleniu jej wyczyta to, co się w niej dzieje, będą musieli wybrać jakieś *modus vivendi* dalsze. A kto wie, w co się to obróci! Cały czar może pryśnie wobec tego, że ona nie jest wolna...

W południe następnego dnia wchodzi do niej Porzycki blady jakiś — znudzony. Chłodem powiało od niego nagle. Tuśka odrazu to odczuła.

Nie spojrział nawet na jej fryzurę, która dnia tego była piękniejsza i staranniejsza, niż zwykle... Zajął się poprawianiem rysunku Pity, która mozoliła się przy stole nad arkuszem papieru.

Tuśka owinęła się w szal i usiadła przy piecu, w którym skwierczało parę szczap drzewa.

Milczenie zaległo izbę.

Mimowoli Tuśka przypomniała sobie te pierwsze dni, które przeżyła z Pitą w Obidowskiej chałupie.

Tak samo deszcz lał, wiatr wyl i drzewo skwierczało w piecu.

Tylko *jego* w tej izbie nie było.

Zamyka oczy, chce zapomnieć o jego obecności. Napróżno—serce się w niej kołace, w gardle ją ścisiska, nerwy ją szarpia.

Wreszcie słyszy jego głos:

— A no!... Już i mnie odkopali. Jak mnie wczoraj u Płonki obsiedli, musiałem im przyrzec, że wezmę udział w jakimś tam przedstawieniu. I to wymęczyli na mnie, że grać coś będę. Szczęściem, że była i Sznapsia w cukierni — więc pomyślałem zaraz o niej...

— I... będziecie grali razem?

— Tak! może się co wybierze.

Tuśkę ogarnęło uczucie zazdrości. Zaczną się próby, schadzki, narady. Przypomną sobie dawne czasy, kiedy grywali wspólnie. Niegdyś Porzycki po-

wiedział, że nic tak nie wiąże aktorów, jak właśnie ta wspólność scenicznych desek.

Dlatego to Tuśka podsuwa Porzyckiemu projekt monologu, ale on odrzuca i upiera się stanowczo przy sztuce.

— Coś z Musset'a. Są bardzo ładne jego „prowerby“ w jednym akcie.

Tuśka powstaje z krzesła. Zaczyna chodzić po pokoju, nie może sobie poprostu znaleźć miejsca.

Porzycki siedzi koło Pity, która odsuwa się od niego o ile można najdalej. Tuśka patrzy na aktora. Jest osowiały, patrzy przed siebie — papieros przygłąnął mu do ust.

W Tuśce zazdrość gra z coraz większą siłą. Widział się wczoraj ze Sznapsią. Kto wie, co pomiędzy nimi było. Dlatego jest dzisiaj dla niej taki obojętny.

Jeżeli widywać się będą codziennie, wszystko się zerwie. Ona to wie, ona to czuje, rozumie. I ogarnia ją prawie rozpacz. Zdaje się jej, że życie się dla niej skończy i ogarnia ją przerażająca pustka. Traci poczucie taktu i miary. Spogląda na chwilę w stronę Pity, waha się—wreszcie wychodzi szybko do drugiego pokoju.

— Panie Porzycki!—woła zmienionym głosem.

Porzycki zdziwiony ma także chwilę wahania. Także spogląda w stronę Pity, ale dziewczynka uparcie patrzy na rysunek, tak, jakby jedynie interesowała się chałupą z „pazdurem“, którą narysowała przed chwilą.

Porzycki wsuwa się do pokoju, z którego drzwi wychodzą na werandę.

— Służę pani!

Drzwi nie przymyka i to Tuśkę pozbawia śmiałości. Decyduje się jednak na wszystko. Przez zęby, zasłaniając pół twarzy szalem, wymawia szybko zmienionym głosem:

— Ja.. nie chcę... żeby pan grał z tą panią!

Porzycki podnosi głowę. Przez chwilę patrzy w jej oczy. Odczytują się wzajemnie. Ogarnia ją nerwowe drżenie. On ogląda się na drzwi. Ona instynktownie cofa się ku drzwiom werandy.

— Nie chcę!—powtarza raz jeszcze, tracąc się panowania nad sobą.

— Dlaczego?—pyta Porzycki machinalnie, ale pyta jedynie dlatego, aby nie było milczenia.

Jest bowiem przy niej i w faldach szala rąk jej szuka.

— Nie chcę!...

Tuśka nie może wymówić nic więcej, tak bardzo jest wzruszona. Lzy jej zaczynają napływać do oczu i drżą na rzęsach, jak krople rosy. Jego usta drżą znów pragnieniem, aby te lzy wypić. Ona to czuje i ostatnim wysiłkiem otwiera drzwi od werandy.

— Nie chcę!...—rzuca jeszcze i wybiega na werandę, zatraskując drzwi za sobą.

Zimna fala deszczu uderza jej w twarz i opływa ją strugą lodowatą. Wicher kręci jej suknie i pled rozwiewa. Słota pastwi się nad nią, ale jednocześnie przyprowadza ją do przytomności.

On uchyla drzwi:

— Proszę wrócić... Pani zachoruje!...

Oczy jej są znów dobre, mile, łagodne i zakochane. Wyciągnął rękę. Sliczne usta uśmiechają się prosząco.

— No... no... dobrze... już nie będę grał... Tylko niech pani wróci!

Ogarnia ją ogromny wstyd.

Ten człowiek myśli, że ona dlatego stoi na deszczu i na wichurze, aby wyludzić od niego pewne ustępstwa. Jednocześnie przez umysł przesuwa się jej myśl, że włosy się rozfryzują, a puder spłynie z twarzy.

To wszystko tworzy dziwny amalgamat myśli, które zniewalają ją do powrócenia do izby.

Szybko przebiega mimo Porzyckiego i wpada do pokoju, w którym Pita ciągle zajęta jest swoim rysunkiem. Tuśka ukradkiem przegląda się w lustrze, chwyta puszek i po mokrej jeszcze twarzy przeciąga trochę pudru. W tej samej chwili wchodzi Porzycki. Na szczęście Tuśka w porę odrzuca puszek. Porzycki jest już ożywiony i weselszy, jak wódz w przeddzień pewnego zwycięstwa. Tuśka zmieszana, spłoszona podchodzi do stolika Pity i siada naprzeciw dziecka, tak, jakby nagle zaczęła zajmować się tem, co córka robi. Pita z nieokreślonym wyrazem spogląda na zmoczone włosy matki i zaraz spuszcza oczy na swój rysunek.

Do stolika również podchodzi Porzycki.

— To chata...—objaśnia, wskazując na papier.

— Rzeczywiście!—mówi Tuśka!—chata! Z czegoś to przerysowała, Pito?

Dziewczynka nic nie odpowiada, tak, jakby nie chciała wmieszać swego głosu do tych, które brzmią sztucznie i nieszczerze dokoła niej.

— Mała ma talent...—zajmuje się nią dalej Porzycki.—Należy ją kształcić!

— Tak... pomyśle...—odpowiada Tuśka.

Przysuwa do siebie rysunek. Porzycki pochyła się nad nią. Czuje jego oddech; on nawzajem czuje woń jej skóry i włosów. Przez chwilę upajają się sobą, jak wonią kwiatu. Przed nimi Pita gryzie usta, jakaś strwożona i dzika. Czemu się oni nią zajmują? Sprawiają jej ból! Niech ją zostawiają w spokoju!

Nagle Porzycki uderza z radością w rękę.

— Mam świetną myśl!

— Co?

— Pani będzie ze mną grała zamiast Sznapsi.

— Ja?

— Ależ pani! Raz pani wzięła Laforgues'a i czytała mi jedną „complainte“. Pani lepiej dekla-



mowała odemnie. Zresztą w pani jest pyszny materiał na aktorkę...

— !!!

— Ależ tak! O! te oczy! Jak się pani na mnie niemi patrzy! Zresztą ja nauczę. Czy pani grała kiedy na scenie?

— Niegdyś... gdy byłam panienką.

— No... i...

— Mówili wszyscy, że doskonale, ale to tak dawno.

— To i cóż? Życie panią wytresowało na jeszcze lepszą aktorkę. To jedyna szkoła dramatyczna. Zresztą spróbujemy.

Na Tuškę biją ogień.

— Grać? publicznie? za pieniądze? Ogromna odpowiedzialność. Z drugiej strony wybucha w niej z ogromną siłą próżność kobiety, która lata całe hodowała fikusy, rodziła dzieci, liczyła grosze i nie była nigdy podziwiana przez tłumy, a przyszła na świat z szalonym tego podziwu pragnieniem!

Próbuje zaoponować.

— To niemożliwe! Ja nie mam tualety.

— Spraw się. Zresztą wybierzemy coś łatwego, bez stroju...

Uszczęśliwiony, ożywiony, biegnie do swojej izby i po chwili wraca, niosąc nieduży zeszytek.

— Ja zawsze mam coś takiego na dwie, trzy osoby pod ręką.—Oto dobry flircik na dwoje: *Post-scriptum*.

Tuška bierze w rękę zeszytek.

— *Post-scriptum*?

— Tak. Bardzo łatwe. Będzie pani przeważnie siedziała przy kominku. To pani ułatwi grę. Ja pani zaraz rolę napiszę. Wieczorem zrobimy czytana próbę...

Rozporządza się, rad i pewien siebie. Otwiera skrypt—czyta niektóre zdania, intonacje.

— I to nawet będzie lepiej, że grać będę z panią, nie ze Sznapcją—mówi.— To doda szyku. Cóż! aktorka? Każdy ją widział sto razy. Pani prawie nikt nie zna... A potem — zabawi się pani wspólnie.

Tuška czuje, że będzie to rzeczywiście zabawa „wspólna“ i uśmiecha się na tę myśl.

Lecz nie wie, dlaczego równocześnie uparcie, jak muchy brzęczą jej słowa „buty, jedna szklanka, nie jem kolacy, stróż nastawia samowar, wietrze materace...“

Po co ta płatannina rzeczy z mężowskiego listu? A potem ta Pita nieufna, milcząca, wpatrzona w swój rysunek!

Gdyby choć ona zaaprobowała pomysł Porzyckiego—Tuška czułaby się choć w połowie uspokojoną. Zdawałoby się, że to „ulica Warecka“ daje jej niejako sankcję. Ale Pita, zajęta cieniowaniem pazdura, skryta jest i zagadkowa. Miele tylko jęczyzkiem w buzi, który, jak różowe żądzielko, w cieniuchnych wargach się kręci. Tuška poprostu szuka łaskawego wzroku dziewczynki, lecz mała unika widocznie spotkania się z oczyma matki.

Tuškę ogarnia gniew.

Zanadto znów się liczy z tem wszystkim! Złego w tem nic niema. Najuczciwsze panie i największe damy grają w teatrach amatorskich. I ona wreszcie ma prawo odetchnąć i zabawić się...

Czy ona przeszkadza tam mężowi używać swobody?

Niech sobie! A zresztą — ona jest przekonana, że jej mąż znów tak nie tkwi ciągle pomiędzy „fikusem a samowarem“.—Wmawia w siebie przeróżne rzeczy. Przypomina sobie dowcipy pism humorystycznych o „słomianych wdowcach“... Wyciąga je z pamięci i rada zastosowuje do Żebrowskiego. — Niezadługo, a biedny urzędnik w zielonem palcie, obciążony mianem podejrzanem wdowca ze słomy,

stanie się w jej oczach hulaką i takim panem, który się dobrze bawi.

— Ogródki, kolacyjki, Marcelin, aktorki...

Na tej ostatniej myśli łapie się niespodziewanie! Wszak i ona niezadługo stanie się „aktorką“, choć przelotnie i na dobroczynność, ale zawsze będzie taką panią, umalowaną, paradykującą na wzniesieniu przed kinkietami...

— No i cóż?—myśli zuchwale.—On tam siedzi jako widz—a ja będę na scenie. Wet za wet... To wszystko.

I w duszy Tuśki, jak chwast, z przerażającą szybkością rozwijać się zaczynają urojone pretensye, które zakrywają jej prawdę życiową, jak słońce chmury.—Nie umie poprostu rozróżnić, co jest wytworem jej fantazyi, co jest rzeczywistością smutną i sprawiedliwą. Z owego „męża“ zaczyna stwarzać fantazyjną postać, potrzebną do jej celów. Pochyła, tragiczna sylwetka milczącego wyrobnika, wyniesionego nad tłum nędzarzy etykietą „urzędnika“, spowija się w mgłę żółtego, niezdrowego blasku. W myślach Tuśki wykrzywia się, jak pajac, cieszy się, tańczy, podkochuje, umizga... A dokoła niego jest wielka, przeogromna pustka opuszczonych domów, na które czas pieczęcie melancholii kładzie. Tę pustkę Tuśka wyczuwa doskonale i w niej jeszcze rozumie całe światy niewidzialne, z których się egzystencya jej i tych, co do niej należą, składa — ale z uporem szalonej w świetlistą postać pajaca patrzy i w ruch ją wprowadza. Tuśka *chce*, ażeby tak było.

I zdaje się jej nawet chwilami, że tak jest.

Deszcz leje ciągle, „siąpi“ i niebo zda się coraz niżej zstępować na Zakopane. Lada chwila,

a chmury do ziemi przysiadą i rozleją się po kotlinie nowym potopem. Nawet już „zrezygnowani“ kolanami po błotku nie kłapią, a damy nie chodzą po ulicach w owych wdzięcznych kapturach, które według ich przekonania, nadają im miny figlarnych koboldów, a w rzeczywistości czynią je podobnemi do straszdeł na ptaki. Pani Obidowska, która w chałupie swojej przechodzi jakieś straszne tragedye żywiołowe, cuchnie na cztery mile zmoczoną kożą, czy owcą—cała przepojona deszczem, z nogami szerniałemi od błotnistej mazi. Przez okna widać ukośne smugi deszczu, który ma pozory, że coś się wściekło i pastwi się nad mrowiskiem, na które zwlokły się chore mrówki wielkim kosztem i często ofiarą zipią „świeże powietrze“, aby jeszcze choć trochę pożyć pod słońcem.—W Lewkonii i innych willach milczenie, szczelnie pozamykane drzwi i tylko czasem po werandzie dudnienie nóg bosych i wybieranie z balii deszczówki do prania „kolorów“.

Drobne życia, w których się lubował Balzac i lubuje Kamil Lemonnier, teraz rozpoczynają swoją symfonię lamp wcześniej zapalanych i sentymentów szlachetnych, lub niskich, rosnących w tych zamknięciach, jak kureczka w kojcu.

W takie rozkoszne zakopiańskie sloty człowiek, pozostawiony samemu sobie, zaczyna obrachunki ze sobą i nabiera czasem ochoty do zostania wreszcie *kimś* na świecie. Panie Warchlakowskie, obmyślisz pierożki z resztek sztuki mięsa — czują, że coś w nich nurtuje —jakiś żal—jakiś przecucie całej łąki kultury przeróżnej, odgradzonej od nich, jakby nasypem kolejowym, na którym świecą złowrogo nici szyn. Do tych łąk dotrzeć nie mogą, nie pragną—urągają im nawet, ale—istnienie ich jest dla nich w to zamknięcie udreka.

Wzmaga to ich nudę — a niema piekielniejszej męczarni, jak gdy głupi człowiek się nudzi. Ogryza wtedy swą własną duszę, jak pensyonarka paznog-

cie i często nawet krew pocieka. W tych willach o wyrzynanych, obrzydliwych, szwajcarskich gankach, lub tradycyjnych, złanych deszczem werandach, odbywały się całe niespodziewane tragedye wyrastające z ogólnego pnia nudów. Były to tragedye wewnętrzne, koltuńskie, śmieszne, ale były. I w tem choćby już zasługa strug lejącej bez upamiętania ulewy. — Kiedys pani Warchlakowska będzie mogła powiedzieć: „Wnikam w siebie... i ja także miałam swe cudowne godziny“. — Może nigdy tak nie powie, może ze wstrętem przypominać będzie sobie, że w Zakopanem, gdy deszcz leje, to przychodzą najuczciwszej kobiecie do głowy „głupie myśli“ — może — ale fakt będzie faktem.

Pani Warchlakowska w deszcze i słoty zakopiańskie ogryza własną duszę...

I czuje się głodna.

Głód ten objawia się nudą.

I głupimi myślami.

Pani Warchlakowska dla odpędzenia tych myśli bierze do ręki robótkę.

Ale to nic nie pomaga.

I znów ogryza duszę...

Biedna dusza pani Warchlakowskiej!

Tuśka natomiast rada jest deszczowi.

Całe dnie siedzi w izbie, i Porzycki prawie od niej nie wychodzi. — Urządzili sobie jakieś wspólne życie. Obidowska przynosi im obiady, które Porzycki zjada u Tuśki. — Teraz zjawia się obrus na stole serwetki i w dzbaneczku trochę gałęzi smreków, słowem wszystko, co może podnieść wdzięk kobiecy w danej chwili. Porzycki przynosi z miasta ciastka, sardynki, wino, kanapki, cukierki.

Panuje pewien rozrzutny a cygański dobrobyt, dawniej Tuśce nie znany, a ta masa łakoci, którą

zwykle żywią się przeważnie aktorowie, robi wrażenie zarzuconej przysmaczkami klatki, w której pozamykano ptaki. — Tuśka porównywa swoje poprzednie nudy podczas słoty, która ją zaskoczyła po przyjeździe, to wysiadanie pod piecem i pod oknem z Pitą i rozkoszuje się poprostu chwilą obecną. — Porzycki ma dziwny talent uprzyjemniania życia domowego. Być może, iż ten talent właśnie przywiązuje tak do niego kobiety. Tuśka, nieprzyzwyczajona do tego, aby ktoś tak miłe, tak serdecznie starał się w każdej chwili rozerwać ją i dbał o jej zdrowie, o jej myśl smutniejszą, o to, co boli, czego znieść nie może — wchodzi w tę fazę najniebezpieczniejszą dla kobiety. Zaczyna się czuć szczęśliwą nie tylko przez to, że ma w kim uwielbiać siebie samą, ale i przez to delikatne, miłe życie codzienne, które otula ją, ściela się jej pod nogi, nie pozwala jej ani na chwilę czuć się samą i bez oddanej jej w zupełności drugiej istoty.

— To są drobiazgi — myśli — te ciastka, te proszki fenacetyny, ta woda sosnowa do rozpylania, te konserwy, morele, kwiaty, dzienniki, książki — ale to wszystko *jest*, to są fakty i one mi są teraz drogie, konieczne i potrzebne...

Chwilami zdaje się jej, że wyciąga się w hamaku, w rozkoszonym, świetlanym promieniu. Dokoła niej woń odurzająca kwiatów leśnych — i dobrze jej, ciepło — miło. Ktoś cicho szepce wyrazy ledwo dosłyszalne, jakaś ręka odpędza rój natrętnych smutnych myśli — i kołysze ją do snu!...

Z rozkoszą wita szare, bezbarwne dnie deszczowe. Łęka się poprostu słońca. Tyle światła i ciepła jest we wnętrzu jej izb zamkniętych. Boi się, że razem z promieniami słońca Porzycki uleci znów w góry, przestanie być tak słodkim i dobrym, jak do tej chwili.

Nie zanosি jednak na to.

I Porzyckiemu widocznie na razie uprzykrzyły się góry i słońce. Przyzwyczajony w swoim cygańskim życiu do ciągłego przebywania z kobietą, a przez zamieszkiwanie wspólne z matką rozpieszczony i nie mogący obejść się długo bez „domu“, rad był, że znalazł ów kątek, gdzie mógł przytulnie w szmerze delikatnym sukien kobiecych przebywać i roztaczać swą miłą dobroć umiającego stwarzać domową atmosferę mężczyzny. Odrazu zrozumiał, że Tuśka nieprzyzwyczajona jest do tych objawów troszczenia się drobiazgami o jej dobro — i zdwoił swą staranność, którą zwykle przy rozpoczynaniu swych miłostek i tak roztaczał w bardzo dużej dozie. Wytworzyło się więc w tę słotę wścieklą i tragiczną w chałupie Obidowskiej nadzwyczaj miłe *modus vivendi*, które rosło ciągle z dniem każdym.

A przecież...

Były i tu a „przecież“. Przedewszystkiem gryzła Tuškę obecnie myśl o przedstawieniu, w którym miała wziąć udział.—Próby odbywały się codziennie i Porzycki nadzwyczaj pilnie i starannie uczył ją roli. Twierdził nawet, że jak na amatorkę, grać będzie zdumiewająco dobrze, ale Tuśka w chwilach jasnego poglądu lękała się, że co scena i publiczność płatna, to nie Obidowska chałupa i próba sam na sam z Porzyckim. — Przytem miała duże niepewności. Miała grać hrabinę. Autentycznej hrabiny Tuśka nie знаła osobiście. Widywała te panie, ale zdaleka. Imponowały jej sportowym wyglądem, porządkiem wyszczotkowaniem włosów i przeważnie nieupudrowanemi twarzami. Ale co więcej? Jak się zachowują? Jak mówią? Przypominała sobie, że aktorki, grające „hrabiny“, najczęściej mówią półgębkiem, wykręcają w uśmiechu usta do lewego ucha, unoszą piątą palec lewej ręki i mówią zamiast „moja matka“—„moja metko!“ Tak—ale to aktorki. Instynkt mówi Tuśce, że naprawdę tak nie jest. Więć, iż pomiędzy widzami będą panie z arystokracji.

Porzycki jej to powiedział. Pragnie, aby się z niej nie wysmiewano. Chwilami oblewa ją żar na myśl, co uczyniła, podejmując się tak nagle, bez zastanowienia, ukazania się na scenie obok Porzyckiego. I zwraca się ku niemu, prosząc, aby ją uwolnił, aby w ostatniej chwili wykręcił się monologiem.

— To niemożliwe! — odpowiada jej aktor — przyrzekłem sztuczkę — dotrzymam słowa. Zresztą programy wydrukowane.

— I moje nazwisko?

— Cóż znowu! Zamiast nazwiska są trzy gwiazdki... To jeszcze więcej zainteresuje. Cóż? dobrze?...

Ona uśmiecha się, niema już ani siły, ani woli...

Uśmiechy ich spotykają się, jak dwa kwiaty. Oczyma wpijają się Tuśka i Porzycki w siebie z ogromną siłą. — Ciągłe tak wnikają w siebie pieczętowaną wzroku. Obecność Pity nie pozwala na więcej, ale na razie i to jest miłe. Tuśka odczuwa za każdym takim spojrzaniem przebiegające ją warem dreszcze. Płoni się, ucieka oczyma, i znów wraca. Brak jej tchu. Chwilami zdaje się, że omdleje. Gdy oczy przymknie, widzi go przed sobą tak dokładnie, jakby obraz jego pod powieki zabrała.

Pewnego razu powiedział jej, że doznaje tego samego wrażenia. Wytwarza się pomiędzy nimi silny prąd magnetyczny. Chwilami boją się spotkać czy to wzrokiem, czy rękami i znów biegają ku sobie z jakąś zapamiętałością, jakby się zbłąkali i dla siebie na chwilę zginęli. A w to wszystko wplata się wdzięk drobnych faktów życiowych, ułożonych płynnie miłą warstwą. Zamiast świec, pali się obecnie wieczorami lampa i łagodne jej światło gromadzi ich koło stołu, nakrytego do herbaty. Siada ją radzi, on czyta dzienniki, lub opowiada dużo i dobrze. Laforgues także występuje w krąg lampy, tylko

już śmiertelne jego igraszki nie mają miejsca w tem zaciszu.

Tu jest „dobrze żyć“ i tu terażniejszość ma wagę.

Dewiza Napoleona—*le passé et l'avenir n'existe pas, il n'y a que le présent*—przepaja atmosferę. Ci ludzie żyją tylko chwilą obecną, szczególnie mężczyzna.

Kobieta idzie za nim, jak cień!

Idzie i nie wie, nie chce już wiedzieć, dokąd właściwie zajdzie.

Nawet uparta melancholia Pity nie zdoła ich wytrącić z tej drogi, po której iść im tak przyjemnie. Dziewczynka, założona przez Porzyckiego masą farb, palet, wzorków, taktur, wiszorków, kredki, tonie w swej rysunkowej pracy i milczeniu. Całe wieczory spędza pochyłona nad rajzbrecikiem. Nie miesza się do rozmowy.

Nie patrzy nawet na matkę i na Porzyckiego. Czasem tylko, gdy oni nie widzą, obrzuci ich promieniem swego spojrzenia i cofa się w głąb siebie, coraz więcej smutna i nieufniejsza.

Tymczasem na maszynie spirytusowej, którą Porzycki przyniósł ze swego pokoju, gotuje się herbata, na tekturowej tacce wdzięczą się różowemi i czekoladowemi brzuszkami ciastka pana Płonki, srebrzą pudelka sardynek i homarów, jak topaz mieni się koniak i lubiony przez Porzyckiego Vöslauer Goldeck. W piecu pali się rażno wysuszone przez dzieci za wskazówkami aktora drzewo, pachnie jodłami i białą różą, przecudne, pełne maki, jak rozstrzępione motyle, czerwienią się w półcieniu.

Tuśka i Porzycki mówią dużo, mówią, rozpowiadają sobie siebie samych na wyścigi, jedno przez drugie, jakby się śpieszyli, by stanąć u mety. On — szczerością swoją pobija ją, bo mówi jej *wszystko* i odsłania się takim, jakim jest w istocie

ze swemi wadami, brakami, ze swem złem i tem, co jest złego w jego dobrem. Tymczasem ona, jak zwykle kobieta w takich razach, pozuje jeszcze, pozuje ciągle, ale już ogromnie umiejętnie, nie kłamie tak jak z Warchlakowską, lecz *wybiera* to, co ma powiedzieć, a to, co ma zataić. Nie wie bowiem, iż mężczyźni jest najczęściej wszystko jedno, jaką kobieta była, a nawet jest. Chodzi mu głównie o to, jaką *będzie* — zwłaszcza w tego rodzaju stosunkach, jak jej do Porzyckiego. — Jeżeli ci ludzie rozpowiadają przed sobą siebie samych, to czynią to tylko z potrzeby mówienia o sobie przed słuchaczem chętnym, ale nie z konieczności wyświeślenia swego charakteru.

Jeżeli są szczerzy, to dlatego, że nie są zdolni do utrzymania nawet własnej tajemnicy.

Jeżeli kłamią, to folgują chęci upiększenia wszystkiego, nawet siebie samych.

W gruncie rzeczy niema wielkiej różnicy.

Jedno i drugie nie ma właściwie celu.

Porzycki, gdy Tuśka pracowicie kłamie, kim i czym jest, patrzy z lubością na jej rozwiane umiejętnie fale włosów, na jej śliczne uszka, jak muszelki różowe, na jej podbródek zarysowany na tle błękitnej aksamitki z czystością porcelanowej maseczki.

Tuśka arabeskami cieniuje wspaniałość swego charakteru, a on śledzi nozdrza delikatne jej noska cokolwiek garbatego i myśli, że poruszają się obiecująco, jak chrapki i rozkoszuje się każdym tem poruszeniem.

Nawzajem, i ona — gdy Porzycki najdowcipniej, potracając czasem o nutę sentymentu, kreśli obraz swej cygańskiej duszy — Tuśka ukradkiem dobiera się wzrokiem do jego rzęs jedwabnych, długich, gęstych, dziwnie zafryzowanych tak, jak Tuśka tego nigdy jeszcze nie widziała.

— On jest śliczny! — myśli z zachwytem.

A deszcz pluszcze, bije w szyby, lomoce, wstrząsa chałupą — chwilami zdaje się, że zmyje ją i inne sadyby zupełnie z powierzchni ziemi. I coś jęczy, coś skarży się tam w nocnej oddali, coś bardzo biednego i nędznego, cała ludzka tragiczność, ta cała właściwa tragiczność w poznaniu zupełnej bezsilności w walce z przeznaczeniem. Lopoce to, jakby stado zranionych ptaków, co to odbieżeć chciało, hen daleko w błękity i złota słoneczne, a padły, szarugą groźną i wściekłą przybite do rozmokłej i cychającej na ich trupy ziemi.

Ach!... jak w taką noc deszczową po Zakopiańskiej dolinie rozwłóczą się łzawe skargi i jęki...

Och!... jak tam ktoś kaszle...

W oddali, w willi, przeciążonej zdobnictwem i figlikami, drży nocna lampka.

Przez strugi deszczowe na świat drży taka lampka i coś jakby nierówne, spracowane technicznie nią kołysze.

Chwilami zdaje się, że zgaśnie...

Ulewa szumi, jak potok spieniony, i takie zimno! taki straszny ziąb!

Lampka przecież trwa, drobna, maluchna, słaba — ale trwa.

I kaszel straszny przez szpary złotych bełek w nużącą wilgoć się wciska.

I widać niespokojny cień.

Do okna podchodzi, ulewy nadśluchuje, ręce prawie składa... ku bielejącym w kącie izby poduszkom się zwraca.

Tam—żali się coś bardzo nędznego, coś bardzo tragicznego—i ztamtąd płynie ten dech ciężki, który lampę podsycza.

Długa, straszna, deszczowa, zakopiańska noc Strugi deszczu po szybach.

Strugi lez po szybach zboląłych oczu...

Swist wichru od hal...

Swist straszny płuc, w których strzępy się kołaczą!...

A potem nad ranem, gdy jeszcze ciemno, nagle lampka równo, prosto palić się zaczyna.

Żaden dech nie wieje — raz jeden gwałtownie zakołysze płomieniem—i nagle spokój zupełny...

Wówczas od szyby odrywa się cień, który błagał o trochę ulgi, cień ten ku tej wielkiej ciszy się zwraca, chwije się i pada nagle na klęczki, tak, jak się pada przed katafalkiem, lub wtedy, gdy trumnę do grobu spuszcza.

W świetle lampki zaostrza się jakiś nieruchomy profil, najczęściej bardzo młody, na tle białych poduszek i schnie srebrna bróзда ostatniej lzy, która życie zegna.

O nocy deszczowa! Zakopiańska deszczowa noc... masz w sobie czarność całunu, a srebro twych strug zabójczych haftuje na nim straszne:

— *De profundis...*

Z „widmowego“ życia, które teraz Tuśka pędzi w zamknięciu sadyby, musi przecież się wyrwać i wyjść na próbę do Morskiego Oka. Uspokoila się cokolwiek, zobaczywszy, że jeszcze kilka pań bierze udział w owym koncercie — śpiewając, grając i produkując w ten sposób owoce swych i cudzych udźwięczeń, które uprawianiem sztuki nazywać się zwykło. Lecz powstaje znów w Tuśce nowa wątpliwość. Czy należy wziąć Pitę na ową próbę? Widzi sama, że wplątała się obecnie w nieszczęśliwą sytuację, z której niema wyjścia. Nastęrcza się jednak samo. Oto Pita cierpi na lekki ból gardła. Trudno ją narażać... należy zostawić w domu. Tak będzie najlepiej. Nawet Tuśka cieszy się z tego. Boi się jednak przyznać nawet do tego uczucia przed samą sobą. Gdy zajeżdża po nią sprowadzona przez Porzyckiego do-

rożka, z której leją się strugi wody, Tuśka nie śmie spojrzeć na córkę. Pita jednak zupełnie spokojnie i rozsądnie przyrządza sobie *cali chloricum* w szklance z wodą.

Ogromna widocznie zaszła różnica w charakterze dziewczynki od chwili Morskiego Oka. Owa „scena“, jaką Pita matce zrobiła z powodu pozostawienia jej w hotelu, zmieniła się w obojętność zupełną. Co więcej, Pita najwidoczniej nie ma ochoty towarzyszyć matce na próbę. Owym próbom w pokoju asystowała w milczeniu i jakby jakąś ironią przejęta. Chwilami śledziła z pod oka ruchy matki i zdawać się mogło, że je krytykowała w myśli. To było wszystko, co objawiła na zewnątrz i co Tuśka nawet dostrzegła. Z pewną więc ulgą rozstają się na tę godzinę, rozstają się mimo to ogromnie grzecznie i uprzejmie, tak, jakby podwajając sumę tej grzeczności, chciały zakryć jedna przed drugą wzajemne uczucia.

Lecz już w dorożce Tuśka zaczyna żałować, że nie została w domu, oczekując na wyzdrowienie Pity.

Cóż się bowiem dzieje?

Oto — Porzycki po usadowieniu się, zapięciu fartucha, obejrzeniu drogi, czy kto nie idzie, porwują ją z ogromną siłą w objęcia i ustami ust szuka.

Staje się to nagle i niespodziewanie i właśnie w bardzo niestosownej chwili. Tuśka bowiem doznaje jakiegoś ściśnienia serca, coś, jakby ogromnego żalu za Pitą i nie za nią jedną, lecz za tem wszystkim, co Pita reprezentuje. Jest to u kobiet zwykły objaw, że dając całą siłą do wyzwolenia się z czegoś, zaczynają tego czegoś serdecznie żałować, gdy to wyzwolenie przychodzi. Jest to objaw chwilowy, niemal mgnienie oka, ale jest to ogromnie szczerze i bardzo silne. W takiej właśnie chwili żalu, jak burza zwałił się ze swym pocałunkiem w objęcia Tuśki — Porzycki.

Z wielką energią odepchnęła go od siebie.

— Proszę!... bardzo proszę... — wyjąkała, poprawiając kapelusz i woalkę.

Porzycki był cały zmoczony przy dopomaganiu jej do wsiadania do dorożki. Peleryna jego wydawała nieprzyjemną woń mokrej wełny. Z kapelusza płynęła mu woda. Tuśka ubrała się niezmiernie starannie na ową próbę i z przykrością uznała, że ta próba pocałunku zmoczyła jej nową, ładną, szafirową woalkę w grochy i starła jej z nosa puder. Ta prozaiczna strona w połączeniu z owym wtargnięciem w niestosownie wybraną chwilę duchowej rozterki sprawiła, że Tuśka uczuła i żal i niesmak i jakąś urazę. Nie tak wyobrażała sobie taką chwilę. Siedziała cicho, odsunięta w głąb dorożki, starając się pogryźć w myślach. Było jej jednak dziwnie i zdenerwowanie jej wzrastać zaczęło coraz więcej, zwłaszcza gdy dostrzegła, że Porzycki siedzi także jakby urażony i zniechęcony. Co więcej, gdy odpychała go od siebie, dostrzegła początkowo zdziwiony, a potem ironiczny wyraz jego twarzy. Powiedział tylko — „przepraszam!“ i usunął się w kąć dorożki.

To było wszystko.

Była chwila, w której Tuśka miała ochotę zacząć stanąć dorożce, wyskoczyć i biedz po deszczu na przelaj ku chałupie, tam zamknąć się, paść na łóżko i płakać. Tak ją zadławiło. Bo przypominała sobie, że postępowała bez taktu, że pozwoliła Porzyckiemu przynosić cukierki, ciastka, wino i obdarowywać się lakociami co chwila. A co jeszcze było najfatalniejsze, to ta okoliczność, że Tuśka czyniła to z bardzo niskich pobudek. Chciała bowiem jaknajdłużej mózż bawić w Zakopanem za nadesłane przez męża pieniądze. Lokocie, z taką rozrzutnością znoszone jej przez Porzyckiego, zaczynały stanowić poważną ulgę w jej budżecie i dlatego to, co powinna była, jako istota pełna taktu, odsunąć i przykroć — tolerowała chętnie, wiedząc, że źle robi..

Teraz wyobraziła sobie, że to rzucenie się na nią Porzyckiego nie było niczem innym, tylko brakiem szacunku, wywołanym przez jej postępowanie.

— Sama jestem temu winna — myślała — mam, na com zasłużyła.

Gdy tak w milczeniu dojeżdżali do hotelu „Morskie Oko,” zdawaćby się mogło, że zapanował pomiędzy nimi nagle wał lodowy, którego przebyć nie będą w stanie.

— Czyżby to był *brus*? — myślała Tuśka!

— Czyżby to była *przebiegła gęś*? — myślał Porzycki.

Wszystkie przebyte chwile: rozmarzenia półsenne w srebrach księżycy, kaskady gwiazd nad głową, lasy genecyan, wizye wstających o świcie gór, melancholia nocy deszczowych — to całe przeżyte wspólnie piękne i jasne zniknęły i zatarły się przez jeden gest zbyt pośpieszny i brzydki. Jak dwa kwiaty na zbyt kruchej łądźce, tak widocznie wykwiwały ich uczucia na zbyt ciasne horyzonty rzucone, wichrom rozczarowań łatwych podległe.

Tylko — była mała różnica.

Kobieta już czekała usprawiedliwienia dla mężczyzny, uskarżając się sama w duszy, przyjmując całą winę na siebie.

On zaś zaciął się i jakby obojętniał, postanawiając ponowić atak teraz już bez tej nemiętnej furji, ale rozważniej, obliczalnziej.

— Muszę wypróbować...

Zacznął bowiem nie mieć wielkiego pojęcia, czem właściwie jest Tuśka, z jednej strony lecąca ku niemu całą swoją atmosferą jak ćma i dysząca miłością, z drugiej strony odpychająca go z gniewem w chwili, gdy chciał już dotrzeć do jakichś pozytywnych rezultatów!

W sali teatralnej pusto było i panował nieprzyjemny półmrok.

Czarna jama zbyt wysokiej scenki, pozawieszana skandalicznymi plachtami, przyjęła Tuśkę i Porzyckiego.

Tuśka doznała zawodu.

Sądziła, że wejdzie w gwar, pomiędzy ludzi, hałas, przygotowania.

Tymczasem pusto było nawet w cukierni. Deszcz wypłoszył wszystkich, Kelnerzy drzemali po kątach. Sterty ciastek, cukierków, bombonierek zalegały stoły. Kiedy niekiedy ktoś wpadał, chwycił coś, turkotała furka i znów zapadała senna cisza.

Z pomiędzy szmat, reprezentujących „salon”, wyloniła się jakaś postać i leciuchno zbliżyła się do Tuśki. Jest to młody mężczyzna, odziany bardzo ubogo, o dziwnie wąskiej klatce piersiowej. Palto ma jasne, wyżarte, za długie, buty bardzo zniszczone. Za to cylinder bajeczny, zupełnie nowy i tak lśniący, że odbija w sobie wszystkie przedmioty, które go otaczają. Ztąd młodzieniec ten robi bardziej fantastyczne wrażenie, nosząc na głowie jakby koronę, z jakichś niewyraźnych przedmiotów złożoną.

— Kolega Marcin! — przedstawia Porzycki.

Kolega Marcin ukośnem wejściem obrzuca Tuśkę, z rodzajem cynicznego uśmiechu, który mu już bezwiednie przyległ do pobludnych warg, skłania się w milczeniu i zabiera się do pełnienia obowiązków suflera.

Tak się to wszystko odbywa smutnie, urzędownie, że Tuśce, która ma inne pojęcie o kulisach, scenie, choćby nawet amatorskiej, zaczyna się robić jakoś dziwnie. Mówi swoją rolę apatycznie, całą zajęta myślą poprzedniej sceny z Porzyckim, który formalnie unika spotkania się z nią wzrokiem. Tuśka jest trochę skrępowana deskami, jednak nie tyle, jak przypuszczała. Zdaje się jej, że ma szcudła na nogach. Marcin podpowiada niewyraźnie, widocznie



w złym humorze. Na scenie niema ani jednego krzesła — Tuśka i Porzycki mówią swe role, stojąc.

Próba wlecze się w ten sposób czas jakiś. Tuśce zaczyna się robić bardzo przykro. Ma ochotę powiedzieć, iż grać nie będzie i wraca do domu. Boi się jednak obmyślić coś stanowczego. Wstyd jakiś ją dławi. Po co jest tutaj? Zkąd się wzięła na tej scenie? Drzwi wejściowe się otwierają, wsuwa się kilka osób, dwie kobiety, jeden mężczyzna,

Porzycki marszczy brwi.

— Cóż tam za dyabeł? — mówi. — Kazałem nikogo nie wpuszczać.

Patrzy przez chwilę i nagle się rozjaśnia.

— *Servus!* — woła — chodźcie tu!..

Zwraca się do Tuśki:

— To nikt!.. to *nasi*, dowiedzieli się, że mamy próbę i przyszli.

Tuśka z trwogą najwyższą patrzy na tych „naszych“, jak idą, rozwiewając peleryny, potracając krzesła, śmiejąc się, dowcipkując, pewni siebie i na swoich „śmiecicach“, bo w teatralnej sali. Ta cała banda, która szła drogą świetlaną, śpiewając canzonę, idzie teraz, ku niej zwrócona, tak samo wesoła, bez troski zbierająca miód z życia i piękno [i to, co niesie rozkosz choćby chwili.

Podeszli do rampy, witają się z Porzyckim, który przykląkł przy kinkietach.

— Jak się masz, stary?

— Jak się macie?

— My? byczo, ale ty gdzie się wkopałeś, ani dychu o tobie... Czemuś nie przyjechał na Jaszczórowkę?

— Dobryś sobie, w taki deszcz!..

— Jeszcze w gorszy potrafiłeś nas znaleźć!

— Stulcie dzioby i siedźcie cicho, bo my mamy próbę,

Obrzucają ciekawem spojrzeniem Tuśkę, tak,

jak przed chwilą Marcin. Ona aż dostała wypieków pod ich spojrzzeniami.

— Jedźcie dalej!.. nie przeszkadzamy.

Siedli rzędem w pierwszej ławce, poopierali ręce na parasolach, laskach i patrzą.

Tuśka usiłuje odzyskać spokój, równowagę, ale nie jest w stanie.

Spogląda miłosiernie na Porzyckiego, lecz on nie dostrzega nawet jej zmieszania. Zaczyna mówić swoją rolę, rad, że się może popisać *damą z mondu* przed kolegami. Nie chce przedstawić Tuśki, jako swej kochanki, broń Boże! ale miło mu, że ma ładną i szykowną znajomą.

Tuśka żałuje teraz naprawdę, że się wplątała w tę awanturę. Zdaje się jej, że stoi na rusztowaniu i że ściągnięto z niej wszystko odzienie. Mówi szybko i cicho. Porzycki spogląda na nią zdziwiony. Nigdy jeszcze nie mówiła tak źle swej roli. Ten wzrok miesza ją do reszty. Blizka jest płaczu. Widi, że idzie zupełnie źle. W rozpaczy pociera ręką po czole.

— Co pani? — pyta wreszcie Porzycki.

— Głowa mnie boli!

Lecz on jest teraz innym człowiekiem.

— Niezadługo skończymy — mówi ozięble.

To jest dla Tuśki, jakby podejęciem szpicrutą. Czuje, że i tu przegrywa stawkę. Instynktownie odzuwa, że Porzycki chciał popisać się nią przed kolegami. Uśmiecha się ironicznie i nagle w niepojęty sposób odzyskuje rezon. Zaczyna grać lepiej i gorzej. Popelnia bowiem mnóstwo niedorzeczności obok rzeczy zupełnie dobrych i pomysłowych. Sliczna jej postać, ładna twarzączka, błyszczące pod szafirem wielkie oczy, piękna suknia, ładne obuwie i rękawiczki usposabiają na korzyść. Przytem zachowanie się jej jest pełne taktu i nie wyzywające.

Aktorzy mrugają na siebie z zało woleniem.

Do rampy podchodzi wysoka, czarno odziana kobieta.

— Słuchaj, Porzycki — mówi do Porzyckiego — nie robisz pani uwag? — Pani źle akcentuje.

Porzycki wzrusza ramionami.

Tuśka zarumieniona zatrzymuje się w pół zdania.

— To przecież bardzo łatwe, bo pani jest bardzo inteligentna i rzeczywiście bardzo zdolna — mówi dalej aktorka, opierając się o podyum sceniczne.

Podnosi swą twarz ku Tuśce i ta natychmiast w tych zmęczonych oczach, w tych regularnych, ale jakichś smutnych rysach poznaje — Sznapsię.

— Pani pozwoli, ja się przedstawię... jestem Markowska. Dlaczego pani mówi — „będę czekała na pana“ — kładąc główny nacisk na — *pana*, kiedy się bez tego może obejść?... Niech pani powie jednostajnie — „Będę czekała na pana“.

Tuśka zmrużyła oczy i patrzyła z góry na czarno ubraną aktorkę, która w szarem świetle sali wydawała się cała, jakby pyłem przyprószona.

— Ona ma rację!... — przyswiadczył Porzycki. — Pani zanadto wybija!

— Nie jestem aktorką z zawodu! — odcięła się Tuśka.

Porzycki szarpnął się niecierpliwie.

— Ach, Boże! nie o to tu idzie — wyrzekł — zawód nie zawód, mniejsza z tem. Skoro się ma coś robić, należy zrobić dobrze... Tylko, ja nie mam daru nauczania...

Zwrócił się do Markowskiej, ciągle o podyum opartej.

— Słuchaj... może ty z panią rolę przejdiesz, jako kobiety, łatwiej się porozumiecie.

Nic nie zdola opisać podrażnienia dumy, jaką uczuła w tej chwili Tuśka.

Ta kobieta, u jej stóp stojąca, wydała się jej czemś tak od niej dalekiem i tak nędznem w porównaniu z nią samą, iż ta pycha zaczęła ją dławić i doprowadzać do wściekłości.

— Owszem! — odparła Sznapsia — ja... najchętniej. Mam dużo czasu, jestem gotowa... A kiedy? Porzycki dalej się rozporządzał.

— Najlepiej jutro. Bądź ubrana o trzeciej. — Przyjadę po ciebie fiakrem i przywiozę do nas, na Skibówki.

— Doskonale.

— Tylko się nie spóźnij po swojemu.

Roześmieli się wesoło. Przypomnieli sobie niejedną scenę z powodu tego wiecznego spóźniania się Sznapsi. Porzycki rozjaśnił się i z widocznym upodobaniem spojrzął na aktorkę. Ona mu nawzajem wzrok ten z równą sympatją oddała.

— Więc jutro?

— Na dziś przerwijmy próbę, bo jakoś nie idzie.

— Doskonale — myślała Tuśka. — Układają się bez zapytania nawet, czy ja się na to zgadzam, czy życzę sobie, aby *taka pani* przestąpiła próg mego domu... Tego dopuszczają się mogą tylko aktorzy.

Zeszli ze sceny i skierowali się ku cukierni. Gdy weszli do sali, jeden z aktorów zaproponował natychmiast:

— Napijmy się co ciepłego...

— Naturalnie.

Weszli do osobnego gabinetu, mając Tuśkę w pośrodku. Tuśce zdawało się, że idzie po rozżarzonych węglach. Nie wiedziała, jak się wyrwać, co począć. Teraz, gdy ci rośli, strojni, zdrowi ludzie otaczali ją, czuła się onieśmielona i przerażona. — Siadali za stołem z hałasem. Zsuwali stoły. Kellnerzy usługiwali im chętnie.

Markowska stanęła obok Tuśki.

— Porzycki mówił nam, że pani ma duży talent — wyrzekła nadzwyczaj miłym głosem, który po prostu za serce ujmował — i widzę, że pani rzeczywiście jest utalentowana...

Tuska czuła, że powinna coś odpowiedzieć.

— Pani zbyt łaskawa.

— O! nie!.. ja jestem szczerą. Ja powiedziała-bym pani prawdę. A — może pani chce się scenie poświęcić?

Tuska wykrzywiła usta niemilym ironicznym grymasem.

— Ja?...!

W tem jednym słowie było tyle arogancji, powiększonej chęcią zgniecenia swej interlekutorki, że aktorka odczuła intencję Tuski.

— Jeżeli nie, tem lepiej dla pani — odrzekła z prostotą.

W tej chwili do gabinetu wszedł Porzycki. Był wesoly, rozpromieniony, w swoim żywiole. Rozmawiał z aktorami ich językiem, każdemu mówił *ty*, tak samo jak i aktorkom. Przynął się zaraz do Sznapsi i pytał ją zaczął.

— No i cóż?... miałaś wiadomość?...

Uśmiechnęła się bardzo ładnie i miło.

— Miałam.

— I?

— Powiem ci później.

— Dobrze warunki?

— Zobaczysz sam.

— Dziękuję ci! Dobry z ciebie burszl!..

Znów zamienili uśmiechy i Tuska zdawało się, że nigdy pomiędzy nią a nim nie zakwitł taki ciepły promień, jak ten, który pomiędzy nimi zajaśniał. W jednej chwili uprzytomniła sobie pozycje tych dwojga, przebyte nędze i radości, gospodarstwo na rogu komody przy maszynie naftowej, sceny i godzenia się, wspólna praca, wspólna włóczęga, dzielenie doli i niedoli.

— Nie tak nie łączy, jak scena! — powiedział do niej niegdyś Porzycki.

— Tak — stanowczo, ci oboje byli złączeni ściśle, serdecznie,

Inaczej — niż ona...

Zresztą, jakie ona prawo miała myśleć o jakimś złączeniu się z tym człowiekiem, ona, niewolna, zamężna, obca zupełnie jego światu... jemu samemu...

Wystarczy spojrzeć na niego teraz, pomiędzy tą bandą aktorską, na jego oczy błyszczące: czy pamięta o niej? czy wie, że ona istnieje?

Nie — przypomniał sobie. Idzie ku niej, aby ją zaprowadzić na kanapkę pod lustro i posadzić obok swej *dawnej kochanki*. Tego Tuska nie zniesie. Wyprostowywa się nagle, nieokreślony wyraz pogardy okala jej usta.

— Pan daruje... ja muszę jechać do domu.

— Dlaczego?

— Pan zapomniał. *Dziecko niezdrowe*.

Akcentuje silnie to niezdrowie córki, której przed godziną nie wahała się zostawić samej w sadybie. On wzrusza ramionami.

— Ależ to nic nie jest... Pita sobie poradzi.

— Przepraszam. Ja wiem, co mam zrobić.

Markowska miesza się znów do rozmowy.

— Ta śliczna panienska, która była z panią w Kuźnicach, chora?

— Trochę, na gardło.

Aktorka wydaje się silnie zaniepokojona.

— Ach, mój Boże! trzeba posłać po lekarza.

Tu jest specjalista...

Lecz Tuska wyniosłe kiwa głową.

— Już zrobione, co należy. Dziecku jest lepiej, ale ja jechać muszę...

Skinieniem głowy żegna zgromadzonych.

Zdaje się jej, że jest bardzo królewska i zupełnie niepospolita. Wychodzi, a za nią Porzycki.

Dochodzą do dorożki. Ona spodziewa się, że on się usprawiedliwi, powie coś dobrego... czeka na to słowo. Lecz on pomaga jej wsiąść do dorożki, sam nie wsiada, zapina fartuch i rzuca dorożkarzowi:

— Na Skibówki! Do Obidowskiej!

Dorożka jęknęła, zagrzmiała masą łańcuchów, żelaza, zagrzecotała jak fura kamieni i ruszyła wreszcie ze stękiem.

Po Tuśce spłynął od głowy do stóp zimny dreszcz. Doznała uczucia, jakby ktoś oblał ją zlodowaciałą wodą! Na chwilę nawet myśli w niej zastygły. Wtulila się w róg dorożki i jechała tak, jak martwa w tem niespodzianem osamotnieniu, jakby skostniała.

Wreszcie zrozumiała, że Porzycki zwrócił się ku „swoim“, odstręczony przez nią zbyt może brutalnym odtrąceniem, gdy się ku niej garnał!

— Co jednak miałam począć? co?... co?... — myślała, gryząc do krwi usta i łamiąc pod fartuchem ręce.

Ogarnął ją jakiś namiętny, uporny szal.

— Dobrze zrobiłam, dobrze!... powinnam mu była dać w twarz... Szkoda, że tego nie zrobiłam! Dorożka targnęła się, jak w konwulsjach, zachybotowała, jak dziesięć pociągów, podjeżdżających ku stacyi i wreszcie wbiła się w olbrzymią kałużę przed chałupą.

— Niech wysiadajom! — dał się słyszeć głos z pod stosu skór baranich, wśród których sterczała fajka.

Tuśka rzuciła w stronę fajki guldena, który skwapliwie pochwyciła nadzwyczajna ręka, dająca pewne wyobrażenie, czem musiała być ongi ręka prymitywnego człowieka.

— Niechby dodali co na piwo — zamruczało znów z głębi tajemniczej serdaka.

Lecz Tuśka nie była w wenie uszczęśliwiania ludu i szybko pod parasolem przemknęła się do chałupy.

Na łóżku leżała Pita, owinięta pledem. Na widok wchodzącej matki podniosła się grzecznie z łóżka.

— Cóż? lepiej ci? — spytała Tuśka.

— Lepiej.

Dziecko chciało podejść, aby pocałować matkę w rękę, lecz Tuśka powstrzymała ją szybkim gestem.

— Nie, nie — daj spokój... nie podchodź! Jestem zmoczona. Możesz się przeziębic.

Doznała nawet uczucia ulgi, nie potrzebując się zbliżać do córki. Brak równowagi, w jaki popadła, migał przed jej oczyma chwilami fatalnym jej własnym obrazem. Wtedy lękała się formalnie zbliżenia dziecka.

Przebieierała się długo i starannie, aby zabić czas. Pita położyła się znów na łóżku i zamknęła oczy. Ściemniało się powoli. Szare, ohydne światło wypełniło pokój. Zdawało się, iż ktoś rozpylał masę popiołu. Sprzęty rzucały niepewne, rozwiane cienie.

Tuśka owinęła się w szal i usiadła przy piecu.

Drzewo dopalało się zwolna i rzucało już tylko krótkie, gasnące blaski,

Jakaś przedzimowa, dziwnie smutna, pod serce zaszywająca się atmosfera wkradała się, jak nietoperz i zapadała na duszę.

Ogromny smutek rzeczy minionych wyzierał z każdego kąta.

Tuśka zaciśnięte ręce, jak pieczęć przywarła do ust, tak jej wpil się ten smutek w nią całą.

Dokoła niej wszystko przypominało jej ubiegłe wieczory, spędzone z Porzyckim: niedojedzone ciastka złożone były na oknie, na talerzyku pachniały poziomki, woń szpilkowa przepelniała powietrze.

Farby Pity leżały rozrzucone na stole... Wszystko przypominało na każdym kroku tego człowieka, który tak niebacznie założył tu swój miły, cichy „dom“ i teraz odszedł, nie obejrzawszy się nawet za nią.

— Ile on musiał już mieć takich gniazd — myślała Tuśka z goryczą. — Ile!...

— Po co on tu do mnie przyszedł... po co?... — dodała w duszy — teraz mi będzie strasznie...

Myślą pobiegła w dawne swe życie, Wydało się jej straszne, jałowe, bez jaśniejszego promienia, bez ciepła, bez światła.

— Gdyby nie on, byłoby mi wystarczało!..,

Zmarszczyła brwi, zacięła usta z uporem.

— Musi wystarczyć? — pomyślała.

— Musi!...

Prawie już czarno było w pokoju.

Na rogu komody błyskał jakiś wazonik z pekiem maków rozstrzępionych, wesołych.

— Precz z tem! — postanowiła.

Wstała cicho, aby nie zbudzić Pity, wzięła kwiaty, ciastka, poziomki, wyniosła na werandę i rzuciła w błoto. Farb Pity nie ruszała, bo nie chciała tłómaczyć się przed dzieckiem. Pozostała chwilę na werandzie. Wiatr smagał ją z szaloną zaciętością. W jednej chwili miała twarz i włosy złane deszczem. Ale to jej nie otężeowało. Przeciwnie, zdenerwowało jeszcze więcej.

— Tak... tak!... powtarzała, poddając się tej lodowej chłości. †

Zdawało się jej, że w ten sposób karze się za swe przewinienia. Fizycznych cierpień zapragnęła jaknajwięcej. Sądziła, iż w ten sposób zagłuszy moralną udrękę. Po chwili oswoiła się z szarugą i ulewą. Cofnęła gwałtownie głowę i natrafiła na kant drzwi. Uderzyła się silnie. Ten ból sprawił jej chwilową ulgę.

Ponowiła uderzenie.

— Masz!... masz!... to dla ciebie! — myślała, bijąc głową o kant ramy.

Ktoś przechodził drogą i spłoszył ją. Powróciła do pokoju i zapaliła świecę.

Nie chciała zaświecać lampy. Ten jasny krąg byłby jej przysporzył bólu, przywodząc postać Porzyckiego z ciemni.

Pita zasnęła. Tuśka usiadła znów pod piecem i usiłowała zwrócić się myślą w koło „swych obowiązków.“

— Mam męża, dzieci — muszę myśleć o nich... *Tylko o nich...* to jedno mi wolno. Nic więcej. Jeśli myślę jeszcze o kimś, popełniam grzech! grzech! grzech!..

To słowo rozkrzyczało [się w niej, jak nagle zbudzony upiór.

Grzech! grzech!

Z ciemni zdawały się ku niej pełzać gadziny z kłębami śliny w pyskach. Te płazy podkradały się ku niej wolno i cicho. Jeden z nich miał długie, oślizgłe łapy, zakończone jakby wachlarzami palców. Po ziemi włókił całe masy wymion o zielonych, zgnitych refleksach.

— Grzech!... grzech!...

Przez umysł Tuśki przewijając się zaczynają całe masy obrazów, jej dzieci milczące i ciche w szkolnej odzieży ukryte za palmami, mąż tak chudy i nędzny, że serce ścisną się na jego widok, konfesyonały pełne księży surowych i smutno z po za kratki patrzących, zamknięte wrota kościołów, noce długie, bezsenne, w czasie których włosy mokre od lez, węzłem po poduszkach się wiją...

— Grzech! Grzech!...

Wicher lopeco w okna, wstrząsa chalupą, zda się zedrze lada chwila dach i odłoni izbę na to, aby w nią biły lodowe strugi i siekły czarnymi różgami z monotonią piekielną. I wtedy nic już nie osłoni Tuśki, nic nie osłoni Pity, nie będzie się

gdzie schować ze swemi myślami, ze smutkiem, z bólem i rozpazą wyjącego w duszy smutku.

Tuśka ogląda się po tej izbie, która od niedawna stała się dla niej jakby straszną pułapką, w której utopiła spokój swej duszy.

Izba ta jest pełna światła innego, nie tego, który powinien być jej światłem, lecz tego, który tu się wkradł podstępnie...

Czy jednak bez jej wiedzy?

Przejmuję ją znów lodowy dreszcz.

Wszak temu wszystkiemu, co się tu działo, ona była obecna...

Tak — była obecna, ale tylko obecna. Pozwalała, iż dział się cały łańcuch zdarzeń, co więcej, dopomagała do tego, że się właśnie działo...

Czy więc w ten sposób ona nie była winna, iż Porzycki postąpił dziś z nią tak, jak to się zdarzyło?...

Czy nie wyzwala ona niejako tego pocałunku, tego wyładowania się namiętności? Czyż codziennie niezliczoną ilość razy takie pocałunki nie drżały na ich ustach, przesyłane ku sobie wzrokiem?...

A więc...

Czy należy tak bardzo winić Porzyckiego?

Wiatr łopoce po szybach coraz gwałtowniej. Jakiś niepokój szeleści dokoła chałupy. Coś niewidzialnego i groźnego od gór się czai...

Grzech!... grzech!...

Tuśka zasłania oczy skostniałemi rękoma.

Jasno teraz spojrziała w głąb siebie.

Uraza do Porzyckiego za to gwałtowne garnięcie się do niej topnieje, ginie, lecz inny, stokroć silniejszy żal wzbiera i dławi.

Zazdrość, zazdrość szalona na myśl, że on teraz z tem ciepłem niezrównanem w oczy tamtej swej dawnej kochanki patrzył...

— Z nią jest teraz, z nią...

Aż jęknęły wiązania chałupy. — Ze świeżo zbu-

downej wicher belki strącił... Pita porwała się na postaniu.

— To nic, to wicher... śpij!...

Dziecko senne opadło jak kłos.

I znów jęki wichru, szalenie ulewy, pełzanie po kątach gadów.

Tak mija długa chwila.

Tuśka już drętwieć zaczyna. Nie pragnie nic, nie chce nic, tylko wie, że jest bardzo zmęczona i biedna.

Nagle cichy turkot furki zatrzymuje się przed Obidowską chałupą,

— On!...

Tuśka unosi głowę, dech zamiera w jej piersiach. Słyszy, jak on wchodzi do sieni, jak otrząsa okrycie, jak zrzuca kalosze i jak kieruje się ku swojej izbie.

I Tuśka doznaje nagle szalonego uczucia ulgi.

Wie, że wrócił, wie, że jest pod jednym z nią dachem, wie, że jutro zobaczy go wczesnym rankiem.

Wszystko, co było — mija. Nie pamięta, jak bardzo cierpiała. Wie tylko, że on jest tam.

I wdzięczna mu jest za to, że nie przyszedł, nie zapukał do jej drzwi, bo nie wie sama, jakby się zachowała, co mówiłaby mu, gdyby się ku niej zwrócił. Może wybuchnęłaby płaczem, a to byłoby najgorsze.

— Będę z nim teraz inaczej postępowała — myślała, powstając z krzesła. — Zamknę wszystko w sobie; on nie może, nie powinien wiedzieć, co się dzieje we mnie...

Spojrzała na zegarek. Była zaledwie dziesiąta godzina. — To ją uspokoiło do reszty.

— Cóż dziwnego, że pozostał trochę w cukierni z kolegami, przecież w tem niema nic złego...

Zbliżyła się do lustra, doprowadziła do porządku włosy.

W tej chwili zachrobotał ktoś we drzwi.

Obidowska wsunęła przez próg rękę.

— To dla nich! — wyrzekła — a to dla małej.

Paczka ciastek, na nich śliczna róża, kilka gazet, a dla Pity pudełko *cali chloricum*.

Drobnostka... nie...

Z piersi Tuśki spada ciężar, świat się jej rozjaśnia, mimo, że świeczka dogasa.

— Proszę podziękować!

Niewyraźny pomruk gaździny jest całą odpowiedzią.

— Więc myślał o niej!...

Zamyka drzwi i znów wicher wstrząsa chałupą, tak, że zdaje się rozniesie ją na skrzydłach nietoperza.

I te konfesjonały, w których księża patrzą smutnie przez koronkę kratak i te palmy, po za którymi grzeczne dzieci z Wareckiej ulicy stoją milczące i ciche...

Grzech! grzech!...

Tuśka kładzie na stole ciastka, różę i dzienniki i zbliża się do łóżka. Obok, na stoliczku leży książka do nabożeństwa, strojna książka, oprawna w perłową masę, jedna z tych książek, które stanowią dopełnienie niedzielnego stroju.

— Pomodłę się!... — postanowiła Tuśka. — Mogę, mam prawo, nie popełniłam jeszcze nic złego...

A tu znów płazy czolgać się zaczynają i syk wszczynają się po kątach.

— Grzech!... grzech!...

Strojna książka z ręki Tuśki wypada — i smutek kłębam, jak chmury przed burzą, wali się ku niej.

Tuśka pada twarzą na poduszki i pozostaje tak bez ruchu, gdy nad nią rozszalałe skrzydła szarugi biją z piekielną wściekłością o pazdury sadyby.

## WYCIĄG Z KATALOGU

### BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

## WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1904.

Tom	CENA	w oprawie brosz.	
		kop.	kop.
310, 311, 312, 314, 315, 316.	<b>Z. Kaczkowski.</b> OLBRACHTÓWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	<b>Hans Leuss.</b> Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąpczyńskiego.	40	25
317.	<b>T. Roosevelt,</b> prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIĘ WYTEŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	<b>Anatol France.</b> HISTORIA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węslawskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	<b>Kazimierz Gliński.</b> OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	<b>Henryk Brandt.</b> PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75

268955/2



